



KSIĄŻKA AUTORKI SZEPTU WSPOMNIENI

Maria Venturi

# Moja na zawsze

*—Kalendarz—*



**Maria Venturi**

**Moja na zawsze**

*Przełożyła z włoskiego Joanna Kluza*

*Tytuł oryginału Mia per sempre*

## Część pierwsza

### Mary

*...Mężczyzna ten rzucił się na mój stół uzbrojony po zęby niczym wojownik.*

*Zjadł mój chleb i moje mięsiwo.*

*Pożarł całe jedzenie, jakie miałem.*

Ibn Zabara

#### I

Z artykułu zamieszczonego w miesięczniku „Indiscreto” we wrześniu 1989 roku:

*Historia Mii O’Sullivan zaczęła się w Irlandii, kraju, który za sprawą magii potężnego Hollywood urósł do mitu - wywodzą się zeń przecież legendarni reżyserzy i aktorzy. Namiętność, walka i kontrasty przeplatają się tu z głęboko zakorzenionym powołaniem do prostego, spokojnego życia w harmonii z przyrodą i rytuałami codzienności, której wszakże nie da się przewidzieć z góry i która nigdy nie jest banalna. Nie ma dwóch takich samych Irlandczyków, a ich porywczą, upartą naturą zawsze wychodzi na wierzch, nawet w relacjach damsko-męskich.*

*Rudowłosa dwudziestolatka odkryta przez włoskiego fotografa Michele Russo w Clearcove - rybackiej wiosce, która ma trzystu mieszkańców i leży trzydzieści kilometrów od Baltimore - naprawdę nazywa się Mia O’Sullivan: nie tylko jej nazwisko, ale też koleje losu są typowo irlandzkie. W Clearcove ludzie rodzili się, pobierali i umierali zgodnie z niezmiennymi prawami ustanowionymi przez naturę i odwieczne zwyczaje aż do dnia gorszącego poczęcia Mii. Na miejsce każdego umierającego starca przychodził na świat noworodek, małżeństwa zaś nierzadko kojarzono jeszcze w kołysce.*

*Torton O’Sullivan, dziadek Mii, jako pierwszy i jedyne porzucił wioskę i swoją łódź, aby poszukać szczęścia gdzie indziej. Ukończywszy dwadzieścia lat,*

wyruszył do Ameryki wraz z młodą żoną Mary, ale szczęście wcale się doń nie uśmiechnęło, gdyż po trzecim poronieniu Mary popadła w skrajną apatię, która przykuła ją do łóżka na długie lata, a w końcu doprowadziła do śmierci. Kiedy Torton powrócił do Clearcove jako bezdzietny wdowiec, był zawiedzionym trzydziestolatkiem przepelnionym złością.

Pierwsze dwadzieścia miesięcy spędził w starym domu, który wcześniej opuścił. Deszcze i sól morska sprawiły, że dach zaczął butwieć, wiatr zaś zniszczył tynk, żłobiąc głębokie szpary między kamieniami. Torton jednak zdawał się o to nie dbać. Wypędzał z wrzaskiem każdego, kto zbliżył się do jego domu, nie wyłączając starego proboszcza i dawnych przyjaciół, którzy pragnęli go pocieszyć. Co cztery tygodnie udawał się do jedyne go sklepu w wiosce i ładował na zdezelowaną furgonetkę mąkę żytnią, solone ryby, suszone mięso i skrzynki pełne piwa. Bez słowa wręczał listę zakupów, wściekłym spojrzeniem zniechęcając każdego, kto ośmieliłby się doń uśmiechnąć czy otworzyć usta.

W Clearcove szeptano, że przez całe dni siedział przy wygasłym kominku opróżniając jedną butelkę piwa po drugiej, a wychodził dopiero po zmroku. Chwiejnym krokiem przemierzał luźne deski mola, doszedłszy zaś do końca, siadał, by wpatrywać się w morze wyjąc niczym wilkołak.

Odżył dopiero wtedy, gdy murarz Bobby Gabriel spadł z dwudziestometrowego rusztowania, pozostawiając wdowę w wieku odpowiednim do ponownego zamążpójścia. Krążą słuchy, że wdowa Betsey weszła do sklepu po pudełko świec stearynowych i została potrącona przez Tortona, który właśnie wychodził, żeby załadować na furgonetkę ostatnią skrzynkę piwa.

Ponieważ Torton minął ją bez słowa przeprosin, Betsey pobiegła za nim i chwyciła go za ramię wyzywając od chamów i prostaków. Bynajmniej niewystraszona jego groźnym spojrzeniem dodała, że nie on jeden utracił kogoś bliskiego i że to go wcale nie upoważnia do obwiniania mieszkańców Clearcove o wszystkie swoje nieszczęścia. Na koniec oznajmiła, iż Mary przewróciłaby się

w grobie, gdyby wiedziała, że jej mąż zmienił się w obłąkanego pijaka.

Nie wiadomo, czy rzeczywiście tak było. Pewne jest jednak to, że Torton, naprawiwszy swoją starą łódź, z dnia na dzień znów zaczął wypływać na połów. Miesiąc później pojechał do cieśli w Barley Cove i wrócił z furgonetką pełną desek i bali; wszyscy domyślili się, że zamierza wyremontować stary dom. Zaczął od dachu; przez osiem tygodni niemal każdy zarobiony grosz przeznaczał na potrzebny materiał, aż wreszcie zastąpił trzcinowe pokrycie solidną konstrukcją z drewna i piaskowca. Gdy dach był już gotowy, Torton przystąpił do odbudowy zewnętrznych ścian domu. Zalepiwszy wszystkie szpary, pokrył mury podwójną warstwą tynku. Była to długa, żmudna praca, która zajęła mu kolejne dwa miesiące.

Do listy zakupów dodawał teraz ług, mydło, gwoździe, lakier, pędzle, szczotki i ścierki. Świeże powietrze i słońce starty z jego twarzy niezdrową bladość, w oczach zaś znów pojawił się wesoły, chytry błysk jak za dawnych czasów.

Rankiem 18 lutego 1947 roku Torton umocował na zawiasach nowe drzwi pomalowane na niebiesko, dwa dni później zaś widziano wdowę po Bobbym Gabrieli jadącą doń z wizytą na rowerze z przytroczonym do kierownicy ogromnym rododendronem, który wiozła mu w prezencie.

Torton i Betsey pobrali się 2 maja tegoż roku, gdy zaczęły się rozwijać pierwsze pączki, a po upływie dziewięciu miesięcy ku ich radości przyszła na świat córeczka, której dano na imię Mary - na cześć ukochanej pierwszej żony Tortona.

W istocie energiczna, pełna temperamentu i niezmordowana Betsey nader szybko wymazała z pamięci męża obraz kruchej nieboszczki, kiedy zaś Tortonowi zdarzało się o niej myśleć, wiele wysiłku kosztowało go dopasowanie twarzy i postaci do niewyraźnego, zamazanego widma, jakim stała się w jego wspomnieniach Mary. Nowe życie wydawało mu się spełnieniem najskrytszych marzeń, ojcostwo natomiast wywarło na niego osobliwy wpływ: z jednej strony

*poczuł się znów jak dwudziestolatek, z drugiej zaś stał się mężczyzną zahartowanym, który wie, czego chce.*

*Wkrótce Torton został niekwestionowanym autorytetem w wiosce, której mieszkańcy zaczęli go po cichu uważać za przywódcę. Jedyne w domu musiał akceptować wyższość Betsey. Uwielbiał wszakże tę kobietę, jedyną osobę na świecie, która odważyła się stawić mu czoło. Jej siła uratowała go od upadku, pomogła mu odnaleźć w sobie własną siłę.*

*Matka Mii O'Sullivan, czyli mała Mary, dorastała w cieniu rodziców, przytłoczona ich osobowością. Nikt nie słyszał nigdy, żeby płakała. Ta dziewczynka o aksamitnych, nieruchomych, rozmarzonych oczach pierwszy rok życia spędziła siedząc na fotelu, podczas gdy matka zamyślała, myła, froterowała i mieszała zupy gotujące się w kociołku. Miała półtora roku, gdy tata Torton przywiózł z Baltimore ogromną lalkę. Mary spoglądała na nią z rozdziawioną buzią, wstrzymując oddech, aż Betsey musiała jej dać klapsa, by zaczęła znów oddychać. Lalka stała się dla małej nieodłączną przyjaciółką: siedząc na podłodze dziewczynka czesała ją, rozbierała i ubierała, obsypywała pocałunkami.*

*Aż do czwartego roku życia Mary była dzieckiem cichym i zdziaczalym, zamkniętym we własnym, niedostępnym, urojonym świecie. W wiosce zwano ją „dziwaczką”, Betsey zaś w głębi duszy żywiła przekonanie, że z mózgiem jej córki rzeczywiście coś jest nie tak. Rozdarta między strachem a gniewem, potrzasała nią i zadawała jej razy, mając głęboką nadzieję, że wywoła jakąś normalną reakcję. Mary jednak spoglądała tylko na nią wzrokiem pełnym uwielbienia, uważała bowiem za zupełnie naturalne, że ukochana mamusia traktuje ją w ten sposób.*

*Podobnie jak ongiś Torton pewnego dnia dziewczynka nagle otrząsnęła się z letargu i zaczęła zachowywać jak inne dzieci. Wyróżniała się niepowtarzalną urodą: twarz o bursztynowej cerze okalała burza czarnych włosów, w których pobłyskiwały miedziane refleksy. Miała zgrabny, mały nosek,*

pełne usta i lśniące oczy. Wszystko to pozwalało przypuszczać, że wyrośnie na piękną dziewczynę.

Zdjęta niezrozumiałym lękiem Betsey przewidywała wszakże i to, że czeka jej łatwe życie. Mary odziedziczyła po rodzicach ich najlepsze cechy; u niej jednak zmieniły się one w wady: stanowczość i energia matki przerodziły się w popędliwość i ośli upór, duma i pracowitość ojca - w pychę i obsesyjne dążenie do doskonałości. Ukończywszy cztery i pół roku, nauczyła się czytać i pisać, w wieku lat siedmiu ugruntowała raz na zawsze swą pozycję najlepszej uczennicy w klasie, mając zaś lat czternaście dowiedziała się, że - całkiem niepotrzebnie - zdobyła stypendium średniej szkoły w Baltimore.

Niepomna na błagania córki i protesty męża Betsey zdecydowała, że czas nauki dobiegł końca. „Nie wypadło”, aby Mary codziennie wyjeżdżała z wioski, a poza tym i tak zdążyła się już nauczyć o wiele więcej, niż potrzeba, żeby być dobrą żoną i matką.

W ten oto sposób Mary dowiedziała się, że jej przyszłość jest już postanowiona: po ukończeniu osiemnastu lat miała poślubić Seana Ryana, syna najlepszego przyjaciela jej ojca, starszego od niej o trzy i pół roku. Lecz ani Betsey, ani Torton nie mogli wiedzieć, że Mary zakochała się w Seanie jako mała dziewczynka i już wówczas postanowiła, że wyjdzie za niego. Nigdy nie czuła się upokorzona czy zniechęcona tym, że ją ignorował, traktując jak smarkulę. Przeciwnie, pewność tego, o czym Sean nie miał jeszcze pojęcia, dawała jej poczucie wyższości, toteż ilekroć go spotykała, posyłała mu współczujące i wyzywające spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Biedaku, wcale nie wiesz, że będziesz mój”.

Młody Ryan zdecydował się na nią spojrzeć dopiero, gdy miał osiemnaście lat. Prowokacyjny ognik, który dostrzegł w jej wzroku, uderzył go jeszcze bardziej niż odkrycie, że ze smarkuli wyrosła zachwycająca dziewczyna. Przyglądał się jej długo z podziwem i zaciekawieniem; wówczas Mary zrozumiała, że oczekiwany dzień wreszcie nadszedł. Wprawdzie odniosła

zwycięstwo, ale jej duma domagała się potężnego zadośćuczynienia: Sean powinien zapłacić za wszystkie te lata, kiedy traktował ją jak powietrze. Poczęła z nim igrać niczym kot z myszą, pewna siebie i drwiąca, doskonale się bawiąc, podczas gdy on adorował ją z coraz większą rozpaczą.

Pewnego popołudnia, wracając ze sklepu, Mary wybrała dłuższą drogę i pojechała na rowerze aż na sam koniec cypla. Usiadła na skale, gdzie wiatr targał jej włosy, przyglądając się z zachwytem albatrosom, kormoranom i maskoniurom. Nagle czyjeś silne dłonie chwyciły ją za ramiona i uniosły do góry. Był to Sean Ryan. Nie mówiąc ani słowa, nim zdążyła ochłonąć z zaskoczenia, namiętnie i ze złością pocałował ją w usta. Potem natychmiast ją puścił i zostawił drżącą z gniewu i ze szczęścia.

Paradoksalnie, kiedy tylko Mary dowiedziała się, że jej nieodwołalna decyzja dotycząca Seana jest zgodna z wyborem, jakiego dokonali dla niej rodzice, jej buntownicza natura natychmiast dała o sobie znać. Poślubienie młodego Ryana nagle przestało być zwycięstwem, a stało się obowiązkiem, na który straciła już ochotę. Mary nie wzięła wszakże pod uwagę woli Seana ani miłości, którą zdążyła w nim wzbudzić. Przez trzy lata uganiali się za sobą, kłócili, rzucali i znów godzili; było to pełne żaru zetknięcie dwojga jednakowo dumnych zakochanych, których wzajemne zadawanie sobie ran jednocześnie podniecało i wyczerpywało. Wojna zdawała się dobiegać końca, kiedy Mary osiągnęła wiek osiemnastu lat i ojciec Michael obwieścił z ambony mający się wkrótce odbyć ślub córki Tortona O'Sullivan z synem Josepha Ryana.

Betsey, która z przerażeniem obserwowała tę wojnę, odetchnęła z ulgą i rzuciła się w wir przygotowań. Należało przecież wyjąć ze skrzyń i odświeżyć wyprawę, zamówić w Barley, w sklepie wdowy Garner, suknię ślubną, uzgodnić z Ryanami zakup mebli w zależności od tego, jak dużą część domu zamierzali odstąpić młodej parze. Torton pojechał do Baltimore po osiem bali klonowych oświadczając, że zamierza własnymi rękami zbudować sypialnię, w której jego córka będzie spała i rodziła mu wnuki.



*Mary i Sean, uznani oficjalnie za narzeczonych, mogli zacząć wychodzić bez przyzwoitki. Pewnej niedzieli poszli do mieszczącego się w sąsiedniej wiosce kina, w następną popłynęli statkiem na Clear Island, aby zwiedzić słynne obserwatorium ornitologiczne, a w trzecią z kolei zrobili sobie wycieczkę na górę Gabriel. Jednakże nawet najbardziej uderzające i zachwycające widoki czy miejsca nie zdołały w obojgu zakochanych równie silnych wzruszeń, jakie przeżywali podczas tych lat, kiedy toczyli ze sobą wojnę.*

*Teraz, gdy wszystko zostało postanowione i czekał ich przeznaczony im los, czuli pustkę i głęboki smutek. Nie byli przyzwyczajeni do uporządkowanego związku. Pojąwszy to, Mary starała się odtworzyć burzowy klimat, objawiając instynktowną mądrość w prowokowaniu, udawaniu obojętności, wzbudzaniu pożądania i lęku.*

*Początkowo Sean zdawał się oszołomiony i uległy, gdyż nie potrafił zrozumieć, dlaczego u diabła ona znów go dręczy, i to na kilka tygodni przed ślubem. Nie zdając sobie sprawy, że Mary po prostu usiłuje sztucznie odtworzyć słodkie miłosne męczarnie, potraktował jej strategię jako brak uczucia. Przestraszony i rozwścieczony, zaczął także ją ranić i upokarzać, ponieważ był przekonany, że to jedyny sposób, aby ją odzyskać.*

*Nagła śmierć jego matki sprawiła, że musieli odłożyć ślub. Żaloba wymusiła na nich zawieszenie broni. Gdy minął zwyczajowy okres, Sean poprosił Mary, aby jak najprędzej ustaliła nową datę ślubu. Był pewien, że podobnie jak on nie może się doczekać, kiedy wreszcie będą razem. I rzeczywiście tak było, ale wiedzona jakimś szalonym impulsem i oszołomiona własnymi słowami Mary odrzekła, że nie ma pośpiechu, może powinni jeszcze przemyśleć własne uczucia.*

*Wojna rozpoczęła się na nowo i trwała jeszcze trzy lata. Zakończyła się wtedy, gdy zdesperowany Sean chwycił się ostatniej deski ratunku i jął się spotykać z chudą i wysoką, starszą od niego o dwa lata Lilibeth O'Casey, która mieszkała w sąsiedniej wiosce. Wszyscy pojęli, że jest to beznadziejna próba*

wzbudzenia zazdrości w ukochanej kobiecie. Wszyscy, tylko nie Mary. Kiedy Sean pojawił się u niej po dwóch tygodniach strategicznego milczenia, mając zuchwałą pewność, że zastanie ją we łzach i nareszcie poskromioną, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Następnego dnia ogromnie zakłopotany Torton udał się do swego przyjaciela Josepha Ryana z wiadomością, że córka postanowiła zerwać zaręczyny. Przepelniona smutkiem Betsey odłożyła do skrzyń wyprawę i suknię ślubną. Ta wariatka Mary sama złamała sobie życie, skazując się na dziwaczną egzystencję starej panny.

Sześć miesięcy później ojciec Michael obwieścił z ambony mający się wkrótce odbyć ślub syna Josepha Ryana z lekliwą Lillibeth, córką godnych najwyższego szacunku O'Casey'ów z Mizen Head. Na trzy dni przed ceremonią wzburzony Sean przybiegł do Mary. Zastał ją siedzącą na molu z rękami splecionymi na kolanach i spojrzeniem utkwionym w białych spienionych falach. Ledwie położył dłoń na jej ramieniu, zerwała się z gniewem i odepchnęła go z taką siłą, że Sean wpadł do morza. Gdy wydostał się z powrotem na nabrzeże, Mary już nie było.

Dwa lata później, podczas uroczystości chrztu swego pierworodnego syna, Johnny'ego, Sean usłyszał, jak jego stryjenka szepcze sąsiadce do ucha, że widziano Mary O'Sullivan rozmawiającą na plaży z „obcym”, a nawet wsiadającą do jego samochodu.

Ów obcy był jednym z nielicznych turystów, którzy w tamtych czasach trafiali do wioski, przez pomyłkę bądź żądzę przygód zbaczając z utartych szlaków prowadzących na wyspę Clear, plażę w Barley Cove czy przylądek Mizen Head. Sean, rozpytując wokół niby to od niechcienia, dowiedział się, że obcy jest mniej więcej w jego wieku, ma na imię Paul, pochodzi z Francji i jest malarzem. Zatrzymał się w domu starej, bezdzietnej wdowy Dunne i po upływie trzech tygodni od przyjazdu wcale nie zamierza wyjeżdżać.

Pewnego wieczoru przed wypłynięciem w morze Sean poszedł za nim i

widząc, że tamten kieruje się ku domowi Mary, zadrzał z wściekłości i zazdrości. Przycupnąwszy za skałą, wkrótce potem ujrzał, jak jego była narzeczona idzie obcemu naprzeciw, po czym śmiejąc się obejmuje go za szyję.

*Na ten widok poczuł w sercu bolesne uklucie.*

*Paul został w Clearcove dwa miesiące, wyjechał zaś pod koniec września. Rankiem w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Mary wkroczyła do kościoła trzymając matkę pod rękę, dumnie wyprostowana, z widocznymi oznakami zaawansowanej ciąży. Od wielu miesięcy w ogóle nie pokazywała się w miasteczku, toteż w pierwszej chwili Sean bał się, że wyjechała do Francji, do swego malarza.*

*Widząc ją w takim stanie, dosłownie osłupiał. Żona szarpnęła go za ramię i spiorunowała wzrokiem, ocknął się więc udając obojętność. Oszolomienie ustąpiło miejsca głuchej złości. Złość ta wzmożła się jeszcze, kiedy zobaczył, jak ukochana wyzwała się z opiekuńczego uścisku matki i podążyła ku ławce z wysoko podniesioną głową, nie zwracając najmniejszej uwagi na pytające spojrzenia i pomruki zdziwienia, które towarzyszyły jej krokom.*

*O młodym francuskim malarzu wszelki śluch zaginął. Jego córka przyszła na świat pewnego słonecznego i wietrznego poranka w marcu 1969 roku. Mary na jej widok zawołała: „Ta dziecinka jest moja i tylko moja, moja na zawsze”. I właśnie tak ją nazwała: Mia, czyli „moja”. Jednakże teraz, gdy minęło już dwadzieścia lat, za sprawą fotografika Michele Russa, który odkrył Mię, a następnie opowiedział nam jej historię, ta rudowłosa dzika irlandzka piękność należy do nas wszystkich...*

Mary przerwała lekturę „Indiscreto” czując wściekłość i obrzydzenie. Nie dość, że grzebali w jej przeszłości, to jeszcze zrobili z niej melodramat okraszony idiotycznymi epitetami i głupim komentarzem. „Typowe irlandzkie koleje losu”, też coś!

- Przykro mi, mamó - westchnęła Mia. - Skąd mogłam wiedzieć, że ten fotografik wyjawia gazecie to, co mu opowiadałam...

- Kto ci pozwolił rozmawiać z obcym człowiekiem o sprawach, które cie nie dotyczą? To moje uczucia, moje życie! - wybuchnęła ze złością Mary.

Mia potrząsnęła głową.

- Mylisz się. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo się mylisz. - Chociaż jej słowa były prowokacyjnie zagadkowe, brzmiał w nich smutek.

Mary wszakże była za bardzo rozzłoszczona, by zwrócić na to uwagę.

- Wystawiłaś na pośmiewisko również moich rodziców, Seana Ryana, jego żonę... - Nagle spojrzała na córkę oczami szeroko otwartymi z przerażenia i zasłoniła dłonią usta. - O mój Boże! - jęknęła. - Tylko nie mów, że rozmawialiście też o ich synu! Johnny Ryan właśnie się zaręczył, a ty niedługo wyjeżdżasz z Clearcove. Odgrzebywanie waszej starej historii nie miałoby żadnego sensu!

- Niczego nie odgrzebywałam. - Mia pokręciła głową, spuściła wzrok i natychmiast go podniosła. - Ale to nie jest stara historia, mamó. Wyjeżdżam dlatego, że jestem w ciąży z Johnnym Ryanem.

Dopiero trzy dni później, siedząc w samolocie, który miał ją zabrać do Rzymu, ku nieznaney, pełnej zmartwień przyszłości, Mia wróciła myślami do minionych zdarzeń. Torton i Betsey, Mary i Sean mieli na nie decydujący wpływ, jako że wszelkie radości i smutki, nadzieje i porażki w życiu Mii i Johnny'ego uzależnione były od gwałtowności, z jaką kochali się i nienawidzili ich dziadkowie i rodzice.

Wbrew oskarżeniom matki wcale nie uciekała jak tchórz z Clearcove ani też nie goniła za sławą, jak szeptali między sobą mieszkańcy wioski. Po prostu pragnęła uchronić tę nienarodzoną jeszcze istotę od z góry przesądanego losu, trwającego od dwóch pokoleń, fatum i powielania tych samych błędów. Jedynie odchodząc mogła przerwać ten zaklęty krąg...

## II

*Śpijże, ach śpijże, moja dziecino  
Powiedz dobranoc wszystkim delfinom*

*Niech ci się przyśni w wielkim budynku...*

Co wieczór Betsey, kładąc wnuczkę spać, wymyślała dla niej rozmaite rymowanki i wyliczanki. Właśnie tę Mia lubiła najbardziej, ponieważ za każdym razem babka dodawała kolejny sen, a niektóre z nich były tak zabawne, że nie mogła usnąć ze śmiechu.

- Dlaczego nigdy nie ma snu z tatą? - zapytała któregoś wieczoru. Dopiero co skończyła trzy lata i właśnie zdała sobie sprawę, że jest jedyną dziewczynką, która nie ma ojca.

Betsey poderwała się natychmiast.

- Śpij, już późno.

- Gdzie jest mój tatuś?

- Daleko.

- I nigdy nie przyjedzie?

- Nie, nigdy. Może poleciał do nieba.

- Tak jak delfiny?

- Delfiny nie latają. Śpij już, Mio.

Gdy miała cztery lata, usłyszała po raz pierwszy słowo „bękart”. Właśnie tak nazwała ją jedna z koleżanek z przedszkola, Donna, rozgniewana, że Mia nie chce jej pożyczyć żółtej kredki is do narysowania słońca. Po jakimś czasie, przy kolacji, dziewczynka przypomniała sobie to dziwne określenie i wkładając do buzi kolejną łyżkę zupy spytała:

- Co to znaczy „bękart”?

Zanim jeszcze dziadkowie i mama zdążyli odpowiedzieć, z ich min i spojrzeń wywnioskowała, że to jakieś brzydkie słowo. Dość długo nikt więcej jej tak nie nazywał, ponieważ następnego ranka Betsey odprowadziła ją do przedszkola, aby porozmawiać z wychowawczynią. Donna za karę otrzymała dziesięć różg w otwarte dłonie, stała dwie godziny w kącie i przez tydzień nie wolno jej było wychodzić na dwór.

Chęć przypodobania się wychowawczyni, a przede wszystkim strach

przed podobną karą skłoniły dzieci do wyjątkowo grzecznego zachowania w stosunku do Mii. Na wyścigi stawały z nią w parze, jedno ofiarowywało jej ołówek, drugie kawałek ciasta, ledwie zaś podchodziła do huśtawki, zajmując ją dziecko natychmiast ustępowało jej miejsca. Nie zdążyła poprosić, a upragniona rzecz już znajdowała się w jej rękach.

Początkowo wszystkie te przejawy serdeczności napawały ją szczęściem. Wkrótce jednak zaczęła odczuwać jakieś dziwne, nieznośne zakłopotanie, które zdołała zrozumieć dopiero mając jedenaście lat, kiedy to babcia Betsey opowiedziała jej ze szczegółami historię rodziny i jej narodzin. Sztuczna uprzejmość dzieci z przedszkola przypominała zachowanie mieszkańców Clearcove, w ich oczach bowiem „bękart” był jeszcze jedną pokrzywdzoną przez los istotą, którą należało traktować ze współczującym uśmiechem i wymuszoną grzecznością, podobnie jak kulawą Annie, pijaczkę Rose czy biedną bezdzietną Ethel.

Teraz rozumiała, że owo nieznośne zakłopotanie, które odczuwała jako dziecko, nie było niczym innym jak zranioną dumą i wstydem. Gdy skończyła dwanaście lat, jej nadzwyczajna uroda załśniła podobnie jak swego czasu uroda Mary, Betsey zaś po raz drugi dojrzała w tym smutną zapowiedź niełatwego życia, jakie miało się stać udziałem wnuczki. Wyglądało na to, że Mia odziedziczyła po matce trudny charakter. Przejawiała też skłonność do ryzykanctwa, która dodatkowo przysparzała trosk Betsey.

Wnuczka reagowała na własną „inność” stawiając jej odważnie czoło, prowokując i porywając się na to, na co nikt inny by się nie ośmielił, wiedząc zaś, że nie ma nic do stracenia, robiła to z przekonaniem o swej bezkarności, które wzmagало jeszcze jej zuchwałość i bezczelność.

Pewnego wieczoru ni stąd, ni zowąd spytała babkę:

- Dlaczego mama nie chce odzyskać Seana Ryana?

- Bo Sean Ryan ma żonę i syna - odrzekła sucho Betsey.

Mia posłała jej przebiegły uśmiech.

- Ale i tak nadal jest zakochany w mamie.  
- Skąd ci to przyszło do głowy? Cóż ty za głupstwa wygadujesz?  
- To prawda. Na mszy Sean Ryan bez przerwy na nią patrzy, a któregoś wieczoru schował się za szopą dziadka, żeby ją podglądać. Parę razy widziałam go też pod moło.

Betsey rzuciła się na wnuczkę i złapała ją za ramiona.

- Nie wiem, czy to, co mówisz, jest prawdą, ale jeśli ośmielisz się powiedzieć o tym matce albo komukolwiek innemu, policzę się z tobą.

- Powiedziałam o tym Johnny'emu, babciu.

- Jo... Johnny'emu? Kiedy? - w głosie Betsey zabrzmiało przerażenie.

- Dziś rano, kiedy czekał na pana Hope'a, żeby go podwiózł do szkoły w Baltimore. Weszłam do sklepu po zeszyt, a kiedy wychodziłam, pogadaliśmy chwilę. I wtedy mu powiedziałam.

- Zachowałaś się perfidnie, Mio!

- Nienawidzę jego matki i tego, że się wywyższa. Kiedy się mijamy mierzy mnie z góry na dół i nawet nie mówi dzień dobry.

To przez nią mama nie wyszła za Seana Ryana.

- Nie możesz tego wiedzieć na pewno. W każdym razie tak chciał los, a biedny Johnny nie ma z tym nic wspólnego.

- On też zawsze zadzierał nosa. Dostał dobrą nauczkę. Wszyscy dostali nauczkę - odrzekła przez zęby Mia.

- Na miłość boską, to już przeszłość!

- Ja i Johnny należymy do teraźniejszości - dziewczynka posłała jej zagadkowy, niewinny uśmiech.

- Trzymaj się z dala od Johnny'ego Ryana, błagam cię! - powiedziała Betsey z nagłym przestraszeniem.

- To on zaczął mi się kłaniać i zaczepiać mnie, kiedy się mijamy.

- Nie wolno ci się zatrzymywać. To rozkaz, jasne?

- Dobrze, babciu - parsknęła Mia. Babka zawsze potrafiła postawić na

swoim!

Kiedy Mia miała piętnaście i pół roku, Betsey umarła, a widok opuszczonej do grobu trumny rozdarł serce dziewczynki. Była wprawdzie mocno przywiązana do matki i dziadka, lecz babcię darzyła szczególnym uczuciem. Betsey nauczyła ją chodzić, mówić, rozglądać się wokoło, rozpoznawać kolory kwiatów, rozróżniać rośliny i ptaki, wsłuchiwać się w niekiedy burzliwe, a niekiedy łagodne odgłosy morza. Dni po pogrzebie mijały Mii na długich i smutnych spacerach. Świat bez babki wydawał się pogrążony w milczącej szarości; nie było w nim już ani głosów, ani barw, ani dźwięków, ani czarów.

Pewnego poranka, jadąc do Baltimore po cztery nowe sieci, Sean Ryan ujrzał ją wchodzącą na cmentarz. Skręcił na pobocze drogi i zatrzymał samochód, gdyż uderzył go powolny, niemal chwiejny krok dziewczyny.

Widział, jak podchodzi do grobu babci i siada skulona na brzegu płyty, opierając łokcie na kolanach, a skronie na dłoniach.

Wracając cztery godziny później z Baltimore, Sean spostrzegł, że Mia wciąż jest na cmentarzu i nadal siedzi w tej nienaturalnej pozycji. To samo powtarzało się przez kilka następnych dni. Wiedziony jakimś tajemniczym impulsem Sean powrócił w to samo miejsce po tygodniu i z przerażeniem stwierdził, że Mia jest już bliska szaleństwa. Zamiast chodzić do szkoły, spędza całe dni na cmentarzu.

Nie namyślając się wiele, włączył silnik i ruszył w kierunku domu byłej narzeczonej. Wsiadłszy z samochodu, głośno zawołał Mary.

Ponieważ nie usłyszał żadnej odpowiedzi, zaczął walić pięściami w drzwi.

- Otwieraj natychmiast, wiem, że tam jesteś!

Wreszcie drzwi się uchylły i w szparze, niczym w ramce, ukazała się ponura twarz Mary.

- Idź sobie, Seanie Ryanie - warknęła.



- Muszę z tobą porozmawiać. - Spróbował otworzyć drzwi szerzej, lecz Mary podparła je kolanem i zamiast odpowiedzieć, starała się je zamknąć.

Sean jednym pchnięciem udaremnił jej wysiłki i za ramię wyciągnął Mary na zewnątrz.

- Chcę z tobą porozmawiać o twojej córce. Gdzie ty masz oczy? Nie widzisz, co jej grozi?

Mary przestała się wyrywać i spojrzała nań z takim niepokojem, że na jedną krótką chwilę zrobiło mu się jej żal.

- Co się stało? Gdzie Mia? - wyszeptwała.

- Na cmentarzu. Właśnie tam przesiaduje przez całe dnie. Twoja córka oszaleje z rozpaczy, jeśli zaraz czegoś z tym nie zrobisz.

W pierwszej chwili do Mary nie dotarło to, co powiedział, zaraz jednak pojęła, że nie stało się żadne nieszczęście. Wydała z siebie westchnienie ulgi tak głębokie, że aż jej opadły ramiona. Seanowi wydało się, że patrzy na kukłę, której nagle odcięto sznurki i która opada bezwładnie na ziemię. Odruchowo wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. Dotknięcie podziałało nań niczym prąd elektryczny. Mary wyprostowała się i cofnęła o krok.

- Jak śmiesz tu przychodzić i mnie straszyć? Nie wtrącaj się w sprawy mojej córki! - zawołała drżącym z gniewu głosem, z oczyma miotającymi błyskawice, jak niegdyś oczy Tortona.

Sean potrząsnął głową wcale się tym nie przejmując.

- W takim razie ty to zrób. Najwyższy czas, żebyś zajęła się wreszcie Mią, skoro zabrakło twojej matki.

- Wynoś się!

- Gdyby nie babka, twoja córka pozostałaby zamknięta w tym domu jak dzikie zwierzę. Kto ją prowadził do przedszkola, kto ją zapisał do szkoły, kto ją zabierał na mszę, kto jej bronił jak lwica, kto pilnował, żeby ludzie nie traktowali jej jak bękarta? Na pewno nie ty! Byłaś zbyt dumna i zbyt tchórzliwa, żeby stawić czoło skutkom własnej głupoty i zgodzić się na ludzki osąd.

Nadszedł czas przyjąć na siebie odpowiedzialność, Mary O'Sullivan.

- Właśnie tak o mnie myślisz? - Jej twarz przybrała purpurowy odcień.

- Zgadza się, moja pani.

- Jezu... - w jej głosie słychać było tyleż samo zdumienia co goryczy. - Powinieneś wiedzieć, że gdy moja matka zajmowała się Miał, ja myślałam o jej przyszłości. Masz pojęcie, ile pieniędzy dla niej zaoszczędziłam? Wystarczająco dużo, żeby ją wysłać na naukę do Baltimore. A wiesz, jak je zarobiłam? - W jej głosie zabrzmiały wysokie tony. - Gręplując wełnę Bloomów, soląc i nadziewając ryby, które złowił mój ojciec, zwężając i dopasowując ubrania dla sklepu wdowy Garner, robiąc marmoladę i cukierki na sprzedaż. Może nie mam oczu, ale ręce tak...

Mary potrząsnęła dramatycznie dłońmi przed nosem Seana.

- Spójrz! Są powykrzywiane i spuchnięte. Czasami wieczorem tak mnie bołą, że muszę je obwiązywać. Właśnie tymi rękami chciałam ustrzec Miał przed losem bękarta, podczas gdy moja matka, niech spoczywa w pokoju, nabijała jej głowę mrzonkami albo wyklócała się z nauczycielką! - Teraz już krzyczała.

Sean odwrócił wzrok nie mogąc znieść jej widoku.

- Niech cię diabli, Mary. Nie potrafię ci współczuć, bo sama sobie zniszczyłaś życie, mnie zresztą też. Całkiem słusznie teraz za to płacisz, ale twoja córka nie jest niczemu winna. Ona nie ma tu nic do rzeczy.

Mary rzuciła mu spojrzenie pełne sarkazmu.

- Mia chodziła jeszcze do przedszkola, kiedy przezywali ją bękartem. Nigdy nie miała przyjaciółki, nikt jej nigdy nie zaprosił ani do zabawy, ani na wspólne odrabianie lekcji, nigdy nie otrzymała dowodu szczerzej sympatii. Jak możesz mówić, że ona nie ma tu nic do rzeczy?... Chcę, żeby zrobiła dyplom i znalazła sobie dobrą pracę; to jedyny sposób, aby stała się kobietą wolną.

- A o tym, co się dzieje teraz, nie myślisz? Do dyplomu pozostało jej jeszcze mnóstwo lat, a tymczasem szaleje z rozpaczy.

- Ja i mój ojciec także jesteśmy zrozpaczeni. I bez ciebie wiedziałam, że

Mia spędza całe dnie na cmentarzu. Nie mogę jej zabronić cierpieć. Ból musi trwać tyle, ile musi, a dziewczyna ma prawo wypłakać się tam, gdzie chce.

Sean westchnął.

- Czy twoim zdaniem to normalne, żeby całymi dniami przesiadywała nad grobem?

- Cierpiałaby tak samo, gdyby siedziała na krześle albo nad brzegiem morza. Kiedy nadejdzie czas, babka powie jej, żeby wróciła do domu, i wyjaśni, co powinna zrobić.

Sean wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Przecież Betsey nie żyje! Jak może mówić?

- Skoro Mia godzinami przy niej przesiaduje, to znaczy, że słyszy jej głos. Umarli przestają mówić tylko wtedy, kiedy nie chcemy ich już o nic pytać ani ich słuchać - wyjaśniła cierpliwie Mary.

Sean wpatrywał się w nią niezdolny do odpowiedzi, jednocześnie onieśmielony i urażony. Miał przed sobą tę samą Mary, która wiele lat temu, jako mała dziewczynka, doprowadzała go do szału swoimi kaprysami, zaczepkami i paplaniną. W jej ogromnych lśniących oczach, otoczonych teraz delikatną siateczką zmarszczek, ciągle czaił się błysk szyderstwa i wyższości.

Niech cię diabli, Mary O'Sullivan, powtórzył w myślach. Jedną połowę życia strawił kochając ją jak wariat, drugą zaś nienawidząc jej tak samo gwałtownie. Nikt w świecie, nawet jego syn Johnny, nie potrafił w nim wzbudzić równie silnych uczuć. Z upływem czasu zatarły się granice między nienawiścią a miłością. Obie miały nad nim całkowitą władzę. Nawet gdy nie myślał o Mary, czuł ją każdą cząsteczką ciała.

- Wracaj do żony i syna - powiedziała nagle. Spuściła wzrok, jej głos był łagodny i smutny.

Sean spojrzał na nią krzywo.

- Zniszczyłaś mi życie! - powtórzył.

- Zapłaciłam za to najwyższą cenę.

Sean obrócił się na pięcie i bez słowa oddalił się biegiem. Współczucie dodane do nienawiści i miłości rozdarłoby mu serce.

Zgodnie z przewidywaniami Mary, w pewnej chwili Mia po prostu przestała chodzić na cmentarz, a miejsce rozpaczy stopniowo zajęła rezygnacja. Dziewczynka potrzebowała aż trzech miesięcy, by oswoić się z prawdą, że babci Betsey już nie ma i powinna przestać oglądać się za siebie w nadziei ujżenia jej. Jedyłą rzeczą, z jaką miała się nigdy nie rozstać, było wspomnienie - głos, pieśczoćy, łajanie, uśmiejch babki na zawsze pozostały w jej sercu. Nie można naprawdę umrzeć, pomyślała pewnego wieczoru Mia spoglądając w lustro, jeśli zostawia się po sobie dzieci i wnuki. Mama ma figurę i oczy babci, ja odziedziczyłam po niej rude włosy i dłonie. W naszych żyłach płynie jej krew, a moje dzieci też coś po niej przejmą...

Podeksycytowana tymi rozmyślaniami Mia zaczęła się po raz pierwszy zastanawiać nad swym nieznanym ojcem. Kim był? Co po nim odziedziczyła? Czy wiedział, że ma córkę? Przez kilka dni krążyła wokół matki nie mając odwagi, by poruszyć ten temat. Instyktownie czuła, że sprawi jej potworny ból. Zabrakło jej sił.

Problem rozwiązała sama Mary. Mia poszła za nią do szopy i przez dobrą godzinę przyglądała się, jak matka szybko i sprawnie patroszy śledzie, po czym wkłada je do soli.

- Nie mogłabym ci pomóc? - spytała po raz nie wiadomo który.

- To nie jest zajęcie dla ciebie, a poza tym sama zrobię to szybciej - powtórzyła po raz kolejny Mary. Tym razem jednak podniosła wzrok na córkę. - Można wiedzieć, o co ci chodzi? Wyglądasz na przygnębioną.

- Nieważne...

- Mia, wal prosto z mostu. Stało się coś w szkole? Masz jakiś kłopot, o którym powinnam wiedzieć?

Mia przełknęła ślinę.

- Chciałabym się czegoś dowiedzieć o ojcu.

Reakcja, której się obawiała, nie nastąpiła. Po chwili milczenia Mary pokiwała głową.

- Co dokładnie chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Kim był, jak go poznałaś, dlaczego za niego nie wyszłaś. -

Ulga sprawiła, że dziewczyna stała się rozmowna.

- Myślałam, że babcia ci wszystko opowiedziała.

- Tak. Ale chciałabym to usłyszeć od ciebie.

Mary wytarła ręce w fartuch i kazała usiąść Mii na stołku.

- Nie stój jak słup, to mnie denerwuje. Twój ojciec miał na imię Paul. Był Francuzem i...

- Wiem.

- Nie przerywaj! Przyjechał tu na rok przed twoim urodzeniem. Miał dotrzeć do Ballydehob, ale pomylił drogę. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, szukał czegoś na mapie, którą rozłożył na masce samochodu. Jechałam na rowerze, właśnie wracałam ze sklepu. Dał mi znak, żebym się zatrzymała, i zapytał, gdzie jest i jak ma jechać do Ballydehob.

- Był przystojny?

- Co to za pytanie?

- Ciekawi mnie to.

- Był wysoki, szczupły i miał jasne włosy. Tak, był przystojny, ale wtedy widziałam tylko to, że ma brudne dżinsy i białą włożoną koszulkę. Jednym słowem, nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia, więc powiedziałam tylko, że musi zawrócić, bo pojechał w złą stronę.

- A co on na to?

- Powiedział, że jest w drodze od jedenastu godzin i ledwie stoi na nogach ze zmęczenia. Zapytał, czy w okolicy nie ma jakiegoś hotelu, w którym mógłby się zatrzymać, a ja na to, że w Clearcove nie ma ani hoteli, ani restauracji. Pożegnałam się i wsiadłam na rower, ale po chwili przypomniało mi się, że wdowa Dunne latem wynajmuje pokój przyjezdnym. Jeszcze dziesięć lat temu

robiła to tylko ona, z czasem zaczęli się pojawiać turyści i za jej przykładem...

- Mów dalej, mamó - przerwała niecierpliwie Mia. - Co zrobiłaś potem?

- Zawróciłam, żeby mu to powiedzieć. Wydawał się bardzo zadowolony i zapytał, czy u tej pani można też coś zjeść. Odrzekłam, że nie, i dodałam, że w Clearcove jest sklep, w którym sprzedają także żywność. Wtedy on się skrzywił, jakby chciał powiedzieć: „Co to za dziura?”. Zmierzyłam go z góry na dół i powiedziałam lodowato, że nikt go nie zmusza, żeby został, i że tym gorzej dla niego, skoro woli miasta pełne hałasu i samochodów, zamiast zachwycać się urodą Clearcove. W zapale opisałam mu nawet widok, który rozciąga się z cypla, kolor morza, zielone pastwiska Bloomów; jednym słowem trochę przesadziłam.

- A on?

- Słuchał mnie z coraz większym zainteresowaniem i wcale się nie obraził za mój lodowaty ton. Na koniec zawołał, że Clearcove jest właśnie tym, czego szukał. Ponieważ nie rozumiałam, o co mu chodzi, wyjaśnił, że jest malarzem i przyjechał do Irlandii, by malować. Chcąc mi udowodnić, że nie kłamie, otworzył bagażnik i pokazał mi płótna, farby i sztalugę. Miał tam jeszcze gitarę, ale nigdy nie słyszałam, jak gra. Poprosił, żebym pojechała przed nim na rowerze aż do domu wdowy Dunne. Spotkałam go trzy dni później na molo, rysował w szkicowniku sylwetki łodzi, które wypływały w morze. Był tam też Sean Ryan. Nie chciałam, żeby do mnie podszedł i zaczął rozmowę, więc czym prędzej podbiegłam do obcego i przywitałam się z nim jakbym go znała od zawsze. Zaczekałam, aż skończy rysować, i pozwoliłam mu się odprowadzić do domu. Ot, i cała historia.

- To dopiero początek! - zaprotestowała Mia. - Co było potem? Kiedy się w nim zakochałaś?

Mary zawahała się na moment.

- Zawsze dawałam do zrozumienia wszystkim, nie wyłączając rodziców, że umieram z miłości do twojego ojca. Ale wobec ciebie muszę być uczciwa.

Prawda jest taka, że spotkałam go wkrótce po narodzinach syna Seana Ryana. Czułam się przegrana, załamana, pełna żalu i gniewu i zaczęłam chodzić z Paulem na złość Seanowi. Potem zorientowałam się, że przebywanie z nim, słuchanie tego, co mówi, i obserwowanie go przy pracy sprawia mi przyjemność. W pewnym momencie wydawało mi się nawet, że jestem w nim zakochana, i właśnie wtedy zostałam poczęta. W rzeczywistości nigdy naprawdę go nie kochałam, ale powinnaś wiedzieć, że twój ojciec był porządnym człowiekiem.

Mia zacisnęła usta.

- Więc dlaczego mu nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

- Bo zorientowałam się dopiero po jego wyjeździe. A nawet gdybym chciała to zrobić, nie mogłabym, bo nie zostawił adresu. Zerwał ze swoją rodziną i wyjechał stąd sam nie wiedząc dokąd.

- Gdyby był porządnym człowiekiem, napisałby list, chciałby wiedzieć, co u ciebie słyhać. Najwyraźniej niewiele go obeszłaś i prędko o tobie zapomniał.

Mary westchnęła.

- Mylisz się! Twój ojciec napisał do mnie, kiedy miałaś zaledwie kilka miesięcy. Przeprosił za długie milczenie, oznajmił, że ciągle jest skłócony z rodzicami i po raz pierwszy wyjawiał mi przyczynę: otóż dwa lata wcześniej miał dziecko z koleżanką ze studiów i ojciec nigdy mu tego nie wybaczył.

- Mam... mam rodzeństwo?

- O ile wiem, brata. Paul pisał, że spotkanie mnie i pobyt w Clearcove były dla niego czymś bardzo ważnym, bo pomogły mu zrozumieć, jakie są „prawdziwe wartości” w życiu. Dokładnie tak się wyraził.

- A ty co na to?

- Nic. Przeczytałam list i życie toczyło się dalej. Rok później napisał znowu, żeby mi jeszcze raz podziękować. Ożenił się z matką swojego syna i pogodził z rodzicami. Zapewnił, że nigdy mnie nie zapomni i życzył mi

szczęścia. Później babcia Betsey dowiedziała się, że napisał też do wdowy Dunne, ale nie wiem, po co. Może po to, żeby jej podziękować i dać dowód pamięci - dorzuciła Mary z nutą gorzkiej ironii. Po chwili dodała: - Teraz wiesz już wszystko. Nie pytaj, gdzie mieszka Paul ani co robi, bo od czternastu lat nie mam od niego żadnych wiadomości. I wcale nie jestem ciekawa.

- Ale ja jestem, mam. Przecież to mój ojciec.

- Nie wygaduj głupstw. To obcy, którego nawet na oczy nie widziałaś i którego nigdy ci nie brakowało.

- To ty tak twierdzisz!

- Brakowało ci ojca, nie Paula. Niestety miałaś tylko jednego rodzica. To tak, jakbyś przyszła na świat bez nogi albo bez oka; nie można nic na to poradzić.

- Jak się nazywał? Tyle chyba możesz mi powiedzieć? - nalegała nieprzekonana Mia.

- Miał na imię Paul i to ci musi wystarczyć. Koniec dyskusji.

### III

Stewardesa stanęła obok fotela Mii i powiedziała:

- Powinna pani zapiąć pasy; weszliśmy właśnie w strefę turbulencji.

Zatopiona we wspomnieniach Mia nie zwróciła uwagi ani na powitanie pilota, ani na czerwony napis, który zaświecił się na końcu korytarza. Poderwała się słysząc głos stewardesy.

- Oczywiście, przepraszam, już zapinam - wyjąkała. Paliły ją uszy i wstrząsały nią lekkie mdłości.

- Źle się pani czuje?

- Nie, nie! Czuję się świetnie. - Zapięła pasy i posłała spoglądającej na nią pytająco dziewczynie najbardziej uspokajający uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć. W rzeczywistości wcale nie była spokojna, przyszło jej nawet do głowy, że stewardesa zwróciła uwagę na jej stan.

Gdyby zauważył to również Michele Russo, wszystkie jej plany spełzłyby



na niczym, ponieważ z pewnością odesłałby ją natychmiast do domu. Patrząc w ślad za stewardesą odsunęła od siebie tę bezsensowną obawę. Była zaledwie w dziewiątym tygodniu ciąży, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, i ani jej twarz, ani ciało nie zdążyły jeszcze ulec jakimkolwiek zmianom.

Poprzedniego wieczoru obejrzała się ze wszystkich stron w lustrze: nie dostrzegła żadnych śladów opuchlizny, zaokrągleń ani sińców pod oczami. Przestrzegając diety i starannie dobierając stroje, mogła mieć nadzieję na ukrycie swego stanu przez co najmniej kolejne trzy miesiące. Wprawdzie nie było to wiele, ale dokładnie zapamiętała to, czego nauczył ją dziadek Torton: gdy nadchodzi burza, zamiast płakać albo trząść się ze strachu przed tym, co ma nastąpić, ciesz się ostatnimi promieniami słońca, które ci jeszcze zostały.

Za trzy miesiące miała się znaleźć na łasce losu. Zamiast jednak wyobrażać sobie własną przyszłość panny z dzieckiem, bez pracy i bez przyjaciół, w obcym kraju, wołała skupić się na tym, co czeka ją dobrego i pięknego: na przyjaźni z Michele Russem, kontrakcie, który miała podpisać, poznaniu Rzymu, fascynującej pracy... A przede wszystkim na tym, że Johnny Ryan i cała przeszłość pozostaną gdzieś daleko.

Mia położyła głowę na oparciu fotela i odetchnęła z ulgą. Dziękuję, dziadku, powiedziała w duchu. Ledwie jednak przypomniała sobie jego słowa i wyobraziła ukochaną, wyrzeźbioną przez słońce i wiatr twarz, na nowo zatopiła się we wspomnieniach z przeszłości.

Śmierć babci Betsey nie tylko zerwała łączącą ją z wnuczką magiczną i wyjątkową więź, nie tylko oznaczała dla Mii koniec dzieciństwa, ale otworzyła przed nią drzwi do innego, nieznanego świata. W pewnym sensie, Betsey odchodząc pozostawiła ją gotową do rozpoczęcia nowego życia i otwartą na nowe uczucia.

Pierwszą osobą, jaką odkryła Mia, był dziadek Torton. Aż do tamtej pory traktowała go tak samo jak dom, molo, matkę, czyli coś pięknego, co miała od urodzenia i bez czego absolutnie nie potrafiłaby się obejść. Coś pięknego, lecz

oczywistego i niepodlegającego żadnej dyskusji: dziadek po prostu był i już.

\*

Pewnego dnia po powrocie ze szkoły zastała go siedzącego w kuchni z głową opartą o stół. Zawołała do niego, lecz nie odpowiedział. Podeszła bliżej i potrząsnęła nim, ale nadal się nie poruszał. Umarł, pomyślała przerażona. Nie mogła znieść myśli, że nigdy go więcej nie zobaczy, tak jak babci Betsey.

Godzinę później matka, wróciwszy ze sklepu, znalazła ją siedzącą naprzeciwko dziadka z oczyma pełnymi łez, drżącą na całym ciele.

- Nie żyje - załkała Mia.

Zamiast się rozpłakać z powodu tak strasznego nieszczęścia, Mary schyliła się pod stół pociągając nosem i podniosła pustą butelkę.

- Dziadek wypił za dużo whisky i zasnął - oznajmiła prosto z mostu.

- Upił się? - spytała z niedowierzaniem Mia.

- Zamiast zadawać głupie pytania, pomóż mi go zanieść na łóżko. - Później wyjaśniła, że dziadek bardzo kochał babcię i ciągle nie może się pogodzić z jej śmiercią.

Odkrycie, że dziadek Torton odczuwa stratę równie boleśnie jak ona, sprawiło, że zaczęła nań patrzeć innymi oczami. Byli tacy sami. Coś ich łączyło. Tylko on był w stanie ją zrozumieć. Poczęła za nim chodzić, zadawać mu pytania, rozmawiać z nim, wkrótce też stali się prawdziwymi przyjaciółmi. Na pozór Mia odbudowała opartą na wyłączności i uwielbieniu więź, jaka łączyła ją z Betsey, ale w rzeczywistości ich jedynym wspólnym mianownikiem była miłość. Babka wprowadziła ją w zaczarowany świat fantazji i piękna, Torton zaś pomagał jej poznawać świat realny, zastępując postacie z bajek bohaterami i zdarzeniami z prawdziwego życia.

Opowiadał jej o swej dalekiej podróży do Ameryki i o śmierci pierwszej żony, o powrocie do Clearcove i o miesiącach, jakie przeżył w gniewie i samotności, zanim Betsey siłą przywołała go do rozsądku. Historia związku jej matki z Seanem Ryanem, przedstawionego jej przez babkę jako pasjonująca

walka dumy z miłością, opowiedziana na nowo przez dziadka, umożliwiła jej także zrozumienie głupoty, podłości i gwałtowności, które przywiodły dwoje zakochanych do nieszczęścia.

W przeciwieństwie do swojej żony Torton nie wydawał się zaskoczony ani nie wpadł w złość, gdy Mia oznajmiła, że Sean Ryan ciągle szpieguje mamę.

- Mieli przeznaczone, że się pobiorą - skomentował ze spokojem - a kiedy ktoś ucieka przed własnym przeznaczeniem, idzie prosto do piekła.

Dziadek miał odpowiedź na wszystko i potrafił znaleźć wytłumaczenie dla każdego zjawiska, często w formie wypowiedzianej z największą powagą maksymy. Chociaż Mia nie zdawała sobie z tego sprawy (miała to pojąć dopiero po wielu latach), maksymy te stały się dla niej codzienną szkołą prawd życiowych. Ślepo wierzyła dziadkowi i wcale jej nie dziwiło, że po czterdziestu latach nadal jest uważany za najmądrzejszego człowieka w Clearcove, i to nawet przez młodych. Kiedy była mała, babcia Betsey opowiadała jej, że dziadek jest władcą morza; wprawdzie przestała już wierzyć w bajki, ale w głębi duszy żywiła przekonanie, iż jest w tym ziarno prawdy.

Na temat morza Torton wiedział wszystko: dobrze znał jego głos, kaprysy, pieszczoty, pułapki i gwałtowne wybuchy gniewu; nie pozwalał mu się zastraszyć ani zwieść, umiał bowiem odróżnić nieszkodliwy pomruk od podstępnej furii, zwodnicze milczenie od łagodnej, kojącej ciszy. Co wieczór, nim wyruszył na połów, zatrzymywał się na parę chwil, aby poodychać morskim powietrzem i popatrzeć na horyzont. Nikt nie odważył się rzucić morzu wyzwania, jeśli Torton poczuł zapach burzy.

Znał również wszystkie tajemnice łodzi. Jako dziecko całymi godzinami oglądał *curragh* swojego ojca; raz wydawała mu się olbrzymią, rozciągniętą łupiną orzecha, to znowu gigantyczną dryfującą kołyską. Kiedy podrósł, począł dokładnie studiować jej budowę: dwanaście bali z mocnego drewna powiązanych ze sobą gęstą siecią lin. Chociaż może się to wydać dziwne, Torton zastąpił starą *curragh* nową łodzią nie zdradzając żadnych oznak żalu.

Teraz wystarczyło postukać palcem, żeby odróżnić długi i czysty odgłos, jaki wydaje dobrze powiązane sezonowane drewno, od krótkiego skrzypnięcia łodzi, która pod warstwą farby skrywa same usterki, niczym stara prostytutka.

Osobliwe może się wydawać także to, że Torton był zagorzałym zwolennikiem nowoczesności. Strawił całe miesiące na dyskusjach i wrzaskach, nim wreszcie przekonał mężczyzn z wioski, aby wyposażyli swoje łodzie w silniki. Biegnąca wzdłuż brzegu szosa zawsze omijała położone na pagórkowatym, skalistym wrzynającym się w morze cyplu Clearcove. Ze światem łączyła je tylko wąska droga wijąca się pod górę. Trwająca całe wieki izolacja umocniła w mieszkańcach wioski głęboko zakorzenioną nieufność wobec wszystkiego, co pochodzi „z zewnątrz”, a jednocześnie nasiliła ich zadufanie i poczucie niezależności. Po wsi kursowały tylko trzy stare ciężarówki, którymi wożono ryby na targ do sąsiedniej wioski, oraz mikrobus, którym wracało z Baltimore sześciu chłopców uczęszczających do szkoły średniej. Samochód uważano za zbędny, a nieliczne motorynki, wprowadzone przez najmłodsze pokolenie, traktowano jako źródło nieznośnego hałasu.

Wyglądało na to, że wygrawszy bitwę o zmotoryzowanie łodzi, Torton definitywnie przegrał inną, o wiele ważniejszą wojnę o utworzenie miejscowej spółdzielni. Indywidualizm rybaków i niechęć do wszelkich zmian skłoniły ich do gwałtownego sprzeciwu wobec propozycji zjednoczenia się i zakupu bardziej nowoczesnych i praktycznych łodzi.

Mia była przekonana, że ostateczna klęska Tortona O’Sullivana i dramatyczne wydarzenia, które potem nastąpiły, miały swój początek w tej właśnie porażce. Dzień po dniu zacietrzewiał się coraz bardziej i pogrążał w coraz większej frustracji, podobnie jak wówczas, gdy wrócił z Ameryki bez żony i bez majątku. Tym razem nie zamknął się w samotności, lecz wyrzucał wszystko, co mu leżało na sercu. Przyjaciele poczęli nań mówić „gorąca głowa”. Jednakże mimo iż stał się ponury i kłótlivy, a jego propozycję oceniono jako nie do przyjęcia, nikt nie ośmielił się podać w wątpliwość jego uczciwości i

łatwości rozwiązywania problemów.

W sobotnie wieczory mężczyźni zbierali się w jedynym wioskowym pubie, urządzonym przez właścicieli sklepu w dawnej szopie na narzędzia. Dopiero wraz z nadejściem Tortona rozpoczynała się zabawa, czyli zbiorowe pijaństwo, podczas którego głosy stawały się coraz bardziej ochryple, dowcipy coraz cięższe, śmiechy coraz bardziej tubalne. W takie wieczory Torton topił swoje smutki w piwie i wodził prym w dyskusjach wypowiadając maksymy i prowadząc niekończące się monologi.

Mia słyszała, jak wraca w środku nocy. Rozpoznawała dobrze znane odgłosy: klucza niezdarnie wkładanego do dziurki, zamykanych drzwi, suchego kaszlu, potrącanego krzesła, stóp z trudem wspinających się po drewnianych schodach i drgania poręczy.

Gorzki czas upijania się w samotności, jaki nastąpił po śmierci żony, należał już do przeszłości. Gdy jednak Mary czuła z tego powodu ogromną ulgę, Mia dostrzegała w trzeźwości dziadka coś, co rozdzierało jej serce: unikając pijaństwa, które uwalniało od myśli i wspomnień, Torton zuchwale wystawiał się na tortury rozpaczy.

Na szczęście Mia miała dopiero szesnaście lat, była zatem w wieku, kiedy jest się zbyt ruchliwym i zbyt młodym, aby móc się skupić na jednej sprawie. Ponadto w owym czasie zaczęła naukę w Baltimore: wychodziła z domu o siódmej rano i wracała późnym popołudniem, na krótko przez wypłynięciem dziadka w morze.

Niewiele czasu zatem mogła spędzać razem z nim; zdarzały się dni, kiedy z trudem udawało im się zamienić dwa słowa.

Liceum w Baltimore było szkołą średnią o profilu zawodowym. Poza obowiązkowymi zajęciami ogólnokształcącymi można było uczęszczać na specjalistyczne zajęcia praktyczne; każdy uczeń miał prawo wybrać przedmiot, który uznał za najbliższy jego zainteresowaniom i najbardziej przydatny w późniejszej pracy. Mia zdecydowała się na turystykę i hotelarstwo, które były

wtedy jeszcze w fazie eksperymentalnej.

Pewnego lutowego popołudnia, na krótko przed swymi siedemnastymi urodzinami, wsiadając do autobusu poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw.

Był to Johnny Ryan.

- Cześć! Może usiądziesz obok mnie? - zapytał.

Przestraszona i zaskoczona Mia znieruchomiała na chwilę. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą.

- Mam gdzie siedzieć, dziękuję - odparła odchodząc. Nie słyszała jego głosu od czterech lat, czyli od dnia, w którym uroczyście przyrzekła babci Betsey, że zawsze będzie się trzymać z dala od młodego Ryana. Okazało się to nie takie łatwe. Przede wszystkim Johnny był najprzystojniejszym chłopakiem w Clearcove i bardzo jej się podobał; ponadto przez całe tygodnie łaził za nią nie potrafiąc pojąć, dlaczego nagle zaczęła go unikać.

Któregoś pięknego dnia zniknął i nie pokazał się więcej. Później się dowiedziała, że po ukończeniu szkoły Sean Ryan wysłał go na specjalistyczny kurs organizowany przez stocznnię Mahoneya w Galway. Mii, która nigdy nie zapuściła się dalej niż trzydzieści kilometrów od wioski, wydawało się, że Galway jest na końcu świata. Ukończywszy kurs, Johnny rozpoczął pracę u Mahoneya, a pewnej niedzieli w kościele Mia usłyszała przypadkiem, że młody Ryan zamierza się przeprowadzić do Connaughtu. Zmienił zdanie czy jechał do wioski odwiedzić rodziców? Tak czy inaczej, powiedziała sobie w duchu Mia, to nie moja sprawa. Wyjęła z torby pierwszą książkę, jaka wpadła jej w ręce, i zajęła się lekturą w nadziei, że wygląda na wystarczająco pochłoniętą tą czynnością, aby go zniechęcić, gdyby ośmielił się do niej zbliżyć.

Johnny nie tylko się ośmielił, ale usiadł tuż obok niej. Nie mówiąc ani słowa, począł się jej przyglądać z tak prowokującą i wesołą miną, że nie mogła go zignorować.

- Twoja ławka właśnie spłonęła czy też może z tego okna jest lepszy widok? - spytała z przekąsem Mia patrząc mu prosto w oczy.

- Chciałem sprawdzić, czy z bliska wyglądasz tak samo jak z daleka.

- Bardzo śmieszne.

- Wiem, wszyscy mi to mówią.

Mia spuściła wzrok na książkę nie udzielając żadnej odpowiedzi. Był to jedyny sposób, aby go zniechęcić i zmusić do powrotu na dawne miejsce. Tymczasem po upływie pięciu minut wciąż siedział obok i wpatrywał się w nią z tym samym uśmiechem.

- Nie przyjrzałeś mi się jeszcze dość dokładnie? - wybuchnęła rozdrażniona.

- Tylko z profilu. Teraz chciałbym sprawdzić, czy masz prosty nos i ładny uśmiech.

Mia zerwała się z miejsca.

- Przepuść mnie, chcę się przesiąść.

Chłopak przytrzymał ją za ramię.

- Można wiedzieć, co ci złego zrobiłem? - Z jego twarzy zniknął bezczelny wyraz.

- Nic. Nie mam ochoty z tobą rozmawiać i tyle.

- Jestem aż tak wstrętny?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz! Dobrze wiesz, co zaszło między twoim ojcem a moją matką!

Johnny patrzył na nią ze spokojem.

- A co my mamy do tego?

- Zapytaj matkę, ona ci to lepiej wytłumaczy niż ja. A teraz czy łaskawie pozwolisz mi przejść?

- Zostań tu, ja sobie pójdę. Ale niech ci się nie wydaje, że to koniec.

Kiedy autobus zatrzymał się w Clearcove, Mia udała, że coś jej spadło pod siedzenie, i schyliła się chcąc dać Johnny'emu czas na opuszczenie pojazdu przed nią. Gdy się wreszcie podniosła, już go nie było.

Ledwie dotarła do domu, natychmiast pobiegła do szopy, aby

opowiedzieć dziadkowi ze szczegółami, co się wydarzyło. Torton właśnie naprawiał sieć i słuchał jej ze spuszczoną głową, nie przerywając pracy i tylko od czasu do czasu przytakując.

- Johnny Ryan ci się podoba? - zapytał w końcu.

- Nie znam go, ostatni raz go widziałam, jak byłam mała! Babcia kazała mi przyrzec, że będę się od niego trzymała z daleka.

Torton ponownie skinął głową.

- Wiem, mówiła mi o tym. - Wreszcie zdecydował się podnieść wzrok. - To tak, jakby wierzyć, że od noszenia parasola przestanie padać deszcz.

- Co przez to rozumiesz, dziadku?

- Jeśli ma padać, to i tak będzie. Jeśli jest ci przeznaczone zobaczyć się z synem Seana Ryana, nie ma takiego miejsca, w którym mogłabyś się ukryć.

Pewnej soboty Mary kazała córce zanieść kulawej Annie syrop od kaszlu, placek jęczmienny i parę znoszonych ubrań. Mia spełniła polecenie, a ponieważ było jeszcze wczesnie, postanowiła nie wracać tą samą drogą. Skręciła w ścieżkę Świętego, nazwaną tak z powodu legendy głoszącej, że tędy właśnie święty Patryk potajemnie dotarł do Clearcove, by uwolnić jego mieszkańców z rąk pogan.

Legendę tę opowiedziała jej babcia Betsey dodając, że pierwszy napotkany mieszkaniec wioski wskazał świętemu złą drogę i za karę został zamieniony w drzewo białej morwy. Drzewo to, nim uschło, przekształciło się w dziki, skłębiony gąszcz, miejscowi zaś wierzyli, że na tego, kto celowo bądź niechcący dotknie choć jednej gałęzi, spadnie straszne nieszczęście.

Mia przez całe dzieciństwo toczyła walkę między lękiem przed tajemniczą groźbą a chorobliwą ciekawością, jakie to mogło być nieszczęście. Wielokrotnie po wyjściu ze szkoły zapuszczała się aż na odludną ścieżkę. Położywszy na ziemi rower, stawiała naprzeciw morwy i spoglądała na nią bez tchu, z drżącymi kolanami. Wiedziała, że nigdy nie starczy jej odwagi, by wyciągnąć rękę i dotknąć gałęzi, lecz chwile dręczącej pokusy sprawiały jej



cichą radość. A jeśli nic by się nie stało? A jeśli klątwa świętego Patryka już wygasła? Podniecała ją sama świadomość, że mogłaby to natychmiast sprawdzić, toteż przeciągała jak tylko się dało to milczące wyzwanie, które na wiele godzin pogrążało ją w stanie błędnego wyczerpania.

Z upływem lat ścieżka Świętego straciła dla Mii swój posępny urok, dawny strach zaś przekształcił się w spokojne tabu: lepiej nie dotykać przeklętej morwy i tyle. Od czasu do czasu nie mogła się wszakże powstrzymać, by nie wrócić w to miejsce. Wówczas opadały ją wspomnienia i emocje z dzieciństwa; wchodząc na ścieżkę Mia miała wrażenie, że przekracza próg świątyni.

Tamtej soboty jednak spostrzegła nagle, że nie jest sama. Ciszę zakłócił czyjś głos. Głos Johnny'ego Ryana. Zaskoczenie natychmiast ustąpiło miejsca niepokoju graniczącemu z paniką. Trzymając w dłoni sierp, syn Seana obcinał gałęzie morwy.

#### IV

Ilekcioć Mia powracała myślami do tamtego sobotniego popołudnia, ogarniało ją przygniatające poczucie nieuchronności. To samo wrażenie odniosła natykając się na Johnny'ego Ryana, ale wówczas wzięła je błędnie za strach przed gwałtownym naruszeniem tabu. Lęk natomiast wzbudziło w niej nagle i silne przeświadczenie, że jej los został przypieczętowany. Ona i Johnny spotkali się na ścieżce Świętego tego samego dnia i o tej samej porze, ponieważ takie było ich przeznaczenie, a - jak powiedział dziadek Torton - nie ma takiego miejsca, w którym można by się ukryć ani dokąd można by uciec przed tym, co jest nam pisane.

Nie mogła tego zrobić także teraz, chociaż leciała do innego kraju, odległego o wiele kilometrów od Irlandii, ponieważ dziecko, które w sobie nosiła, stanowiło część tajemnego zamysłu. Na zawsze połączyły ją z Johnnym więzy krwi. Splotła palce na brzuchu i zamknęła oczy, przeżywając w myślach na nowo owo fatalne popołudnie.

- Mia! - usłyszała głos Johnny'ego i poczuła na sobie jego uporczywy

wzrok. Była pewna, że on także czuje nieuchronność tego, co się dzieje.

Oparła rower o krawężnik i podeszła do niego z westchnieniem rezygnacji.

- Cześć.

- Cześć, Mia... Ty też zbierasz morwę?

Potrząsnęła głową.

- Nie, tylko tędy przejeżdżałam. Nie powinieneś dotykać tych gałęzi, bo może cię spotkać nieszczęście.

- To przesady starych kumoszek - odparł Johnny, lecz w jego głosie nie było słycać zaczepki. - Moja matka robi z tych liści napar przeciwgorączkowy.

Zapanowało długie milczenie.

- Nie wracasz już do Galway? - spytała nie wiedząc, co powiedzieć.

- Nie, zostaję tutaj. Skończyłem kurs i wkrótce zaczynam pracę.

- Tu, w Clearcove?!

Johnny wydawał się zaskoczony jej zdziwieniem.

- Mówisz tak, jakby Clearcove znajdowało się na końcu świata albo było niewidzialne.

- A tak nie jest? Nie dochodzą do nas drogi, nie dociera postęp, wnuki postępują tak samo jak dziadkowie...

- Właśnie dlatego jest miejscem szczególnym i nieskażonym.

- Mówisz jak ci nieliczni turyści, którzy przyjeżdżają tu latem i bawią się w dzikusów w rybackich chatkach. Ale gdy tylko kończy się sezon, uciekają, gdzie pieprz rośnie - zacietrzewiła się Mia. Do rzeczywistego zainteresowania problemem, który leżał jej na sercu, dołączyła ulga, że wreszcie znalazła temat do rozmowy. Nie zamierzała przepuścić takiej okazji za nic w świecie. - Jak tylko zrobię dyplom, też stąd ucieknę - dodała prędko.

Johnny rzucił jej spojrzenie pełne współczucia i potępienia.

- Ciekawe, gdzie pójdziesz z tym swoim dyplomem? Będziesz się musiała zmierzyć z dziewczynami mającymi tysiąc razy większe doświadczenie i lepsze

przygotowanie niż ty, będziesz musiała stawić czoło problemom i trudnościom, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić. Ja spędziłem w Galway dwa lata i nie mogłem się doczekać, żeby wrócić.

- Nie wszyscy poddają się bez walki.

- A o co miałbym walczyć? Żeby co dzień odbijać kartę i stać się tylko numerem? Żeby mieszkać w jakiejś klitce i zadrećcać się żyjąc w obcym mieście, głuchnąc od hałasu i wdychając smrody? - Teraz z kolei Johnny się zacietrzewił.

- Mówisz, jakby poza Clearcove istniało już tylko piekło.

- Poza Clearcove nie ma nic, co by mnie interesowało. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie mam plany.

Mia przyjrzała mu się zaciekawiona.

- Jakie plany?

- Zamierzam budować piękne łodzie. Zamierzam sprawić, żeby praca naszych rybaków stała się bardziej dochodowa i bardziej...

- Dziadek próbował tego na długo przed tobą, ale nikt go nie słuchał - przerwała Mia.

- Twój dziadek proponował technologie i modele spółdzielni pochodzące z zewnątrz i dlatego przegrał. Ale ja jestem miejscowy i zamierzam pracować dla miejscowych, więc nikt nie będzie mógł mi nie ufać ani toczyć ze mną wojny.

- Życzę ci tego z całego serca.

Ponownie zapadła krępująca cisza. Tym razem przerwał ją Johnny:

- Naprawdę chcesz stąd wyjechać, jak zrobisz dyplom?

- Tak. Jestem jak te technologie mojego dziadka: nie należę do Clearcove. Bękart, tak mnie zawsze nazywała twoja kuzynka Donna.

- Donna to kretynka.

- Ale nie ona jedna tak uważa. Nie mogę przez całe życie wymyślać wszystkim od kretynów.

- Które z nas poddaje się bez walki?

- Mogę ci odpowiedzieć twoimi własnymi słowami: o co miałabym walczyć? O to, żeby się zaszyć w zapadłej dziurze, której nienawidzę, w próżnej nadziei, że na twarzach napotkanych ludzi dostrzegę miły uśmiech albo cień powitania? - głos Mii drżał z goryczy.

- Mogłabyś walczyć o nas oboje.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Gorycz natychmiast ustąpiła miejsca czujności. Długo krążyli wokół, lecz w końcu wkroczyli na niebezpieczny grunt. Johnny zawahał się na moment.

- Ani ja nie mogę się trzymać z dala od ciebie, ani ty ode mnie - rzekł.

Mia ujrzała w duchu przerażoną twarz babci i dopiero wówczas pojęła, dlaczego Betsey tak usilnie starała się ją odsuwać od Johnny'ego Ryana. Gdyby byli razem, mieliby wszystkich przeciwko sobie. W ich wspólnej przyszłości nie potrafiła dostrzec nic prócz goryczy i kłopotów. Odwróciła się na pięcie i bez słowa wsiadła na rower. Pedalując z wściekłością, czuła, jak narasta w niej bunt. Nikt nie zdoła jej upokorzyć ani unieszczęśliwić. Kiedy tylko będzie to możliwe, wyjadę stąd, powiedziała sobie w duchu, a na razie będę omijać Johnny'ego z daleka, tak jak obiecałam babci. Nienawidzę jego matki, nienawidzę jego ojca i nienawidzę jego samego, bo chciał mnie schwytać w pułapkę. Zniszczyli życie mojej matce, ale nikomu nie uda się zrobić tego samego ze mną. Nigdzie nie jest napisane, że muszę się spotykać z Johnnym, dzisiaj" wpadliśmy na siebie przypadkiem, a wszystkie moje fantazje to tylko przesady kumoszek...

Wróciła do domu z tak zaciętą miną, że Mary poczuła lęk. Usłyszawszy stanowcze: „Nie, nic się nie stało!”, przestała wypytywać. Jednakże dwa tygodnie później, dostarczywszy do sklepu świeżo upieczone ciasta, dowiedziała się od pana Hope'a - właściciela autobusu kursującego do Baltimore - czegoś, co wydało jej się niejasne i lekko niepokojące: otóż w przeciwieństwie do swych kolegów jej córka nabrała zwyczaju wsiadania na trzecim przystanku. W drodze

powrotnej opuszczała autobus w tym samym miejscu.

Oznaczało to codziennie niepotrzebne dwanaście kilometrów rowerem, choć pętla autobusowa znajdowała się blisko domu - po co zmuszać się do takiego wysiłku?

Właścicielka sklepu wtrąciła się do rozmowy stwierdzając, że Mia przestała sama robić zakupy.

- Oddaje twoją listę młodszemu synowi Maude i czeka kilometr stąd, aż jej przyniesie pełną torbę - wyjaśniła oszołomionej Mary.

Przez resztę poranka i całe przedpołudnie Mary zastanawiała się, czy i w jaki sposób zażądać wyjaśnień. Mogło przecież chodzić o ekstrawagancję albo zwykły kaprys. Albo też zdarzyło się coś, o czym Mia najwyraźniej nie miała ochoty powiadomić matki. I w jednym, i w drugim wypadku wolałaby się nie wtrącać.

Już jako dziecko Mary zazdrośnie strzegła przed ciekawskimi fantazjami, marzeń i obaw, które instynktownie uważała za tajne. Bywały dni, kiedy musiała się bronić przed gadaniną i wścibskimi spojrzeniami Betsey, jeżdżąc bez celu na rowerze albo zaszywając się pod mołem.

Dorosła szanując cudze tajemnice. To, że Mia była jej córką, niczego nie zmieniał. Tysiące razy widziała ją nachmurzoną, rozmarzoną, milczącą czy pogrążoną w myślach. Zawsze dawała jej spokój bądź zmieniała temat w obawie, że wdrze się w jej prywatne sprawy.

Mary żywiła przekonanie, że do tej nietykalnej sfery należą także kłopoty: każdy ma prawo zmagać się z nimi w milczeniu i na swój sposób. Istnieją wszakże problemy wymagające pomocy z zewnątrz. Czy ktoś zranił albo gorzej, skrzywdził jej córkę? W takim wypadku miała obowiązek interweniować.

Mia wróciła z Baltimore o wpół do szóstej i od razu usiadła na rogu stołu mówiąc, że ma dużo do zrobienia. Była to prawda czy też wykręt, aby zniechęcić matkę do rozmowy?

Wątpliwości Mary rozwiały się w niedzielę, kiedy to córka nie chciała

pójść z nią na mszę zasłaniając się mało przekonującym pretekstem. Po wyjściu z kościoła wdowa Dunne spytała, czy Mia nie jest przypadkiem chora, usłyszawszy zaś odpowiedź przeczącą, wyjaśniła, że wpadło jej to do głowy, ponieważ już od dwóch tygodni nie widuje Mii na cmentarzu.

Musiało zajść coś naprawdę poważnego, skoro dziewczyna przestała odwiedzać babkę Betsey. Dla Mary stało się jasne, że nie może dłużej zwlekać; Mia była nieszczęśliwa albo wpadła w tarapaty, żeby zaś udzielić jej pomocy, musiała wiedzieć, w czym rzecz.

Podjąwszy decyzję, zaraz po powrocie do domu bez dalszych wstępów rozpoczęła rozmowę.

- Masz mi natychmiast powiedzieć, co się z tobą dzieje, a jeśli usłyszę, że nic, to jak Bóg na niebie dam ci po buzi.

Dziewczyna powoli podniosła wzrok znad skarpetki, którą właśnie cerowała, i spojrzała na nią spokojnie, niemal z uśmiechem. Lecz Mary, która potrafiła czytać w oczach ukochanej córki niczym w otwartej księdze, dostrzegła w nich to, co Mia rozpaczliwie starała się ukryć: zaskoczenie, nieufność, nieustępliwość, lęk.

Nie dała jej czasu na obronę. Zanim Mia zdążyła otworzyć usta, dodała:

- Wsiadasz do autobusu sześć kilometrów od pętli, wysyłasz syna Maude po zakupy, przestałaś chodzić na cmentarz, a teraz na dodatek odmawiasz pójścia do kościoła. Musisz mi wyjaśnić, co się stało i dlaczego to wszystko robisz.

Mia spuściła głowę.

- Nie chcę się więcej spotykać z Johnnym Ryanem - szepnęła.

Twarz Mary oblała się rumieńcem.

- Obraził cię? Naprzykrzał ci się? - zawołała niczym rozwścieczona lwica.

Mia gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nic mi nie zrobił, mamó.

- No więc dlaczego... - Mary przerwała w pół zdania jakby rażona

gromem, z jej ust wydobył się jęk. - Mój Boże, nie! Nie wolno ci go więcej widywać. Musisz zapomnieć o jego istnieniu... Trzymaj się z dala od kłopotów, Mia.

- Właśnie to usiłuję zrobić - odpowiedziała niemal z urazą dziewczyna. - To on za mną chodzi i ciągle mnie zaczepia. Sama już nie wiem, gdzie mam się przed nim ukryć!

Mary zacisnęła usta.

- Ja się tym zajmę. Zostaw to mnie.

- Johnny nie boi się nikogo! Mówi, że jestem jego dziewczyną i że nic nie może nas rozdzielić.

Mary chwyciła córkę za ramiona.

- Spójrz mi w oczy. Co zrobiłaś, żeby go zachęcić?

- To boli, mamo!

- Jak się to zaczęło? Co między wami zaszło? Nie można rozdzielić czegoś, co się nigdy nie złączyło!

Mia wyrwała się gwałtownie.

- Nic nie zaszło. Ale to niesprawiedliwe, żebyśmy ja i Johnny musieli płacić za błędy twoje i jego ojca!

Mary przytaknęła z głębokim westchnieniem.

- To rzeczywiście niesprawiedliwe, lecz tak już jest. Wyślę cię do szkoły z internatem w Baltimore. Musisz zapomnieć, że syn Seana w ogóle istnieje.

- Nigdzie mnie nie wyślesz. Musieliby mnie przywiązać, żebym została w szkole - w głosie Mii pobrzmiwała groźba.

- W takim razie każę cię przywiązać - odparła Mary sucho, choć bez przekonania. Wyszła z pokoju przeklinając chwilę, w której zdecydowała się wtrącić. Dlaczego nie zaufała własnej córce? Mia miała silną wolę i jeśli postanowiła trzymać chłopaka na dystans, w końcu dopięłaby swego. Niestety, za sprawą jej interwencji silna wola ustąpiła miejsca wyzwaniu. Córka była taka sama jak ona; doskonale wiedziała, co to jest zaciekły bunt i uparte dążenie do

wolności.

Mary się nie pomyliła. Nazajutrz rano Mia wsiadła do autobusu jadącego do Baltimore na przystanku przed sklepem, czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie, gdy nie dostrzegła w pobliżu Johnny'ego. Ujrzała go przez okno kilka kilometrów dalej: stał na posterunku w miejscu, w którym aż do tamtego dnia wsiadła do autobusu usiłując przed nim uciec. On także ją zauważył; podczas jazdy Mia zdążyła zobaczyć na jego twarzy wyraz niedowierzania i zmieszania.

Podczas lekcji siedziała jak na szpilkach, nie potrafiąc się skupić i z niecierpliwością oczekując końca. Czy Johnny będzie czekał na pętli czy też dwa przystanki dalej? A jeśli się obrazi za psikusa, którego mu zrobiła rano, i mając dość ciągłego odtrącania postanowi więcej o nią nie zabiegać?

Strach przez tą zupełnie realną ewentualnością, przed tym, że nie ujrzy go wysiadając z autobusu (Kocham go! Jeśli go więcej nie zobaczę, pęknie mi serce!) popchnął ją do tchórzliwego i nierozważnego czynu: niespodziewanie wstała i poprosiła pana Hope'a, aby pozwolił jej wyjść, gdyż źle się czuje. Dotarła do domu na drżących nogach - powrót na piechotę zajął jej półtorej godziny. Mary powstrzymała się od pytania, gdzie była i dlaczego nie ma ze sobą roweru. Nie robiła też żadnych uwag, gdy przez kilka następnych dni Mia odmawiała pójścia do szkoły twierdząc, że nie czuje się najlepiej. W rzeczywistości dziewczyna była przerażona na samą myśl, że Johnny już jej nie chce.

Pewnego poranka, widząc Mię gotową do jazdy autobusem i powrotu do normalnego życia, Mary odetchnęła z ulgą: kryzys minął, zdrowy rozsądek przewyciężył w końcu niszczącą chęć postawienia na swoim.

Nawet nie przypuszczała, że jej zuchwała, dumna córka postanowiła sama wyruszyć na poszukiwanie Johnny'ego. Jeśli wszystko skończyło się, nim się jeszcze zaczęło, musiała o tym wiedzieć.

Mia wskoczyła na rower, lecz zamiast udać się w kierunku sklepu, gdzie



powinna wsiąść do autobusu, ruszyła polną drogą, która wijąc się między brzegiem a bazaltowymi skałami wiodła prosto do domu Seana Ryana. Z odległości stu metrów dostrzegła wychodzącego Johnny'ego. Zahamowała gwałtownie i postawiwszy stopy na ziemi czekała w milczeniu, aż on także ją zobaczy.

Stało się to parę chwil później. Zawahawszy się przez moment, jakby nie wierzył własnym oczom, chłopak ruszył w jej stronę. Mia czekała z zapartym tchem. Zdawał się nie spieszyć, w jego powolnych ruchach było coś uroczystego, jakby świadomie szedł na spotkanie przeznaczenia.

- Nareszcie - powiedział stając naprzeciw niej.

- Chciałam... Musiałam cię zobaczyć.

- Ja też. Wszędzie cię szukałem. Potem Hope mi powiedział, że jesteś chora.

Rozmawiali niemal szeptem, onieśmieleni i wzruszeni.

- Johnny, boję się.

Chłopak chwycił ją za rękę.

- Jestem przy tobie.

- Rozdzielą nas. Nigdy nie pozwolą, żebyśmy...

- Musimy tylko być cierpliwi i nie tracić głowy, Mia.

- Nie chcę się z tobą spotykać po kryjomu, jakby to była hańba - powiedziała nieco głośniej.

Przez poważną twarz Johnny'ego przemknął cień uśmiechu.

- W ciągu ostatnich dni rozpytywałem o ciebie wszystkich. To tak, jakbym w całym Clearcove porozwieszał transparenty: chłopak Ryanów kocha dziewczynę O'Sullivanów...

- Co się z nami teraz stanie?

- Jestem zbyt szczęśliwy, żeby o tym myśleć.

- Naprawdę mnie kochasz?

- Odkąd byłaś taka mała - wykonał zartobliwy gest ręką, lecz oszołomiona

Mia pojęła, że mówi poważnie. Wkrótce miała uzyskać całkowitą pewność.

## V

Pierwszym wspomnieniem zachowanym przez Johnny'ego z dzieciństwa był obraz matki, która z zaczerwienionymi oczyma i zaciśniętymi ustami drze na strzępy jakąś fotografię. Tego samego (albo następnego) dnia ojciec włożył do kominka, pod warstwę rozżarzonych węgla i popiołu, dwa ziemniaki, by upiec je dla Johnny'ego. Po pewnym czasie odwrócił je szczypcami i z powrotem przykrył, a wtedy z popiołu wyłonił się róg zdjęcia. Między osmalonymi brzegami, niczym w ramce, widniało kobiece oko.

Johnny na zawsze zapamiętał wzburzenie ojca i zacieklą kłótnię, jaka po tym nastąpiła. Właśnie wówczas po raz pierwszy usłyszał imię Mary, a ton, jakim wypowiedziała je matka, był tak pełen złości i pogardy, że instynktownie pomyślał o kimś złym, takim jak karzeł Puk albo czarownica Fiona.

Jako że był dzieckiem nadzwyczaj ciekawym i odważnym, gdy tylko został sam na sam z Lillibeth (Sean wyszedł trzasnąwszy drzwiami), zapytał:

- Kto to jest Mary, mamó?

Potok epitetów, jakie wywołało pytanie Johnny'ego, był jego pierwszym zetknięciem z ordynarnym słownictwem. Najbardziej utkwiał mu w pamięci wyraz „dziwka”, tym bardziej że nie było dnia, aby nie słyszał go z ust matki.

Ponieważ zaś imię Mary następowało zaraz po nim, na długi czas zakorzeniło się w jego umyśle skojarzenie: Mary znaczy dziwka. Dziwka znaczy Mary.

Miał zaledwie pięć lat, kiedy w kościele kuzynka Donna wskazała mu ją szeptem, zakrywając ręką usta.

Johnny przyglądał się Mary przez całą mszę jak zahipnotyzowany, usiłując zgłębić znaczenie tego zarazem obcego i tak dobrze znanego określenia. Poczul wszakże ogromne zdumienie, nie znajdując ani w jej twarzy, ani w gestach nic niegodziwego czy odmiennego.

Kiedy Mia zaczęła uczęszczać do przedszkola, Donna powiedziała mu, że

to córka Mary. Zainteresowanie Johnny'ego rozciągnęło się także na „bękarta”, jak nazwała ją kuzynka (choć nie wolno było tak mówić pod groźbą bury i najsurowszej kary). Podczas przerwy nie spuszczał jej z oka ani na chwilę w nadziei, że przynajmniej u niej odkryje jakąś inność.

Pewnego popołudnia zauważył, że dziewczynka ma trudności z zawiązaniem sznurowadła. Natychmiast podbiegł, żeby jej pomóc, lecz Mia podniosła głowę i oznajmiła, że da sobie radę sama. Kiedy Johnny opowiedział o tym matce, zaskoczyła go jej gwałtowna reakcja.

- Nie waż się więcej zbliżać do tego dziecka! Nie wolno ci na nią patrzeć, nie wolno ci z nią rozmawiać ani się z nią bawić!

Zakaz ten tylko wzmógł chorobliwą ciekawość Johnny'ego. Dopiero gdy skończył trzynaście lat, poznał wreszcie prawdę o ojcu i Mary O'Sullivan. Matczyne oskarżenia, niezrozumiałe obelgi i ataki wściekłości naraz stały się dlań jasne. Skoro nigdy nie widział, aby matka się uśmiechała, żartowała albo obdarzyła męża jakimś czułym gestem, działo się tak dlatego, że w ich domu nigdy nie gościła miłość. Serce ojca należało do tej kobiety. Ta kobieta skradła mu duszę - tak szeptały kumoszki z Clearcove. Kiedy zaś spostrzegł, że ojciec szpieguje ją i wodzi za nią wzrokiem potępieńca, do ciekawości dołączyła zazdrość.

Nie mógł znieść myśli, że on i matka zajmują w sercu ojca tak niewiele miejsca. Upokarzała go świadomość, że przed rzuceniem wszystkiego i pobiegnięciem do Mary powstrzymuje Seana tylko poczucie obowiązku. Miał wrażenie, że on sam jest dla ojca kulą u nogi.

Jako dorastający chłopak nienawidził tej kobiety i jej nieślubnej córki. Mia była jej częścią, a zatem odebrała mu miłość ojca tak samo jak ona. Jednakże nawet nienawiść nie zdołała stłumić ciekawości, jaką budziła w nim Mary. Z upływem czasu, gdy przestał mieć dzieciinną nadzieję, że uda mu się odkryć w niej jakąś potworną tajemnicę, począł na nią patrzeć oczyma dorosłego, usiłując zrozumieć, jakąż to ukryta moc pozwoliła jej przywiązać do

siebie Seana na zawsze.

Aż nagle pojawił. Stało się to w dniu, w którym natknął się na Mię w sklepie i przyglądał się jej przez długą chwilę. Z rozdziawionymi ustami, jakby pierwszy raz ją zobaczył. Wypiękniała tak bardzo, że aż mu dech zaparło. Przede wszystkim zaś uderzył go jej sposób mówienia i poruszania się: Mia zamawiała przedmioty z listy zakupów cichym głosem i wkładała je do siatki oszczędnymi gestami, jakby się bała, że ktoś zwróci na nią uwagę albo że zajmie za dużo miejsca. Gdy podniosła na niego wzrok, ujrzał w nim jednocześnie dumną rezygnację i lodowatą wściekłość. Tak jakby mówiła: możecie mnie ranić do woli, lecz nadejdzie dla was wszystkich dzień zapłaty.

Ile upokorzeń i samotności musiała zaznać ta dziewczynka, aby zamknąć się w twardej skorupie? Johnny zadał sobie to pytanie wstrząśnięty i w ciągu następnych dni bez przerwy myślał o Mii. Zakochał się w niej i gdy uświadomił sobie tę prawdę, przestał się zastanawiać nad Seanem i Mary. Teraz wszystko stało się jasne. Jego ojciec darzył tę kobietę takim samym uczuciem, jakim on darzył Mię. Nie istniały ani wina, ani wstyd, tylko miłość, od której nie było odwrotu. Kiedy zaś począł sobie wyrzucać, że śledzi i zaczepia Mię, całkowicie utożsamiał się z ojcem.

Zaczął z nim rozmawiać, zadawać mu pytania, interesować się jego pracą, chodzić z nim na ryby. Dokonał też odkrycia, które odegrało istotną rolę w jego przemianie z wyrostka w dorosłego mężczyznę: Sean to człowiek o ogromnych zaletach, który go szczerze kocha. Johnny wcale nie jest mu kulą u nogi, lecz jedyną radością jego życia.

Im bardziej zbliżał się do ojca, tym bardziej oddalał od matki. Chociaż ciągle ją kochał, nie mógł nie dostrzegać przywar jej charakteru: Lillibeth była kobietą zamkniętą w sobie, oschłą, niezdolną do stworzenia serdecznego związku. Każdy mężczyzna, nie tylko Sean, mając taką żonę poczułby się w końcu nieszczęśliwy i sfrustrowany.

Mimo wszystko (było to kolejne zaskakujące odkrycie) ojciec kochał

matkę na swój sposób; było mu jej żal, czuł do niej wdzięczność za to, że dała mu rodzinę, doceniał sprawność i skrupulatność, z jaką dbała o dom i o nich dwóch. Brak miłości wynagradzał jej głębokim poczuciem odpowiedzialności. Lillibeth zawsze mogła liczyć na jego wsparcie i pomoc - a to o wiele więcej niż większość kobiet z wioski otrzymywała od swych mężów. Johnny stopniowo nabrał przekonania, że nikt i nic nie jest w stanie uszczęśliwić jego matki, ponieważ ona po prostu nie potrafi być szczęśliwa.

Lillibeth była wprawdzie ograniczona, ale odznaczała się przenikliwością, typową cechą egocentryka i samotnika, który uważa się za pępek świata. Wrodzona czujność połączona z przeświadczeniem, że wszystko, co ludzie robią bądź mówią, wymierzone jest przeciwko niej, wykształciły w niej paranoiczną wprost wrażliwość na wszelkie niedopowiedzenia i zdolność odczytywania każdego gestu czy dostrzegania najdrobniejszej nawet zmiany.

Z łatwością zatem spostrzegła, że coś się stało z jej synem. Patrzył na nią teraz innymi oczami. Kiedy z nią rozmawiał, w jego głosie słychać było nieznany dotąd odcień irytacji. Stosunek Johnny'ego do niej stał się wymuszenie uprzejmy, jakby nie było już w nim dawnej spontaniczności ani ciepła. Kiedy skarżyła się na męża, Johnny milczał albo szukał pretekstu, by wyjść z pokoju.

- Ojciec nastawił cię przeciwko mnie! - zawołała któregoś dnia będąc u kresu wytrzymałości. Takie bowiem było najprostsze wyjaśnienie zmiany zachowania syna. Lillibeth nie poprzestawała jednak nigdy na pierwszym wrażeniu. Nie mając innych zainteresowań ani innych problemów poza sprawami dotyczącymi jej samej, skupiła się na dokładnej analizie każdego słowa, każdego gestu, każdego niedopowiedzenia i po kilku dniach doszła do wniosku, że zbliżenie Johnny'ego do ojca nie było przyczyną, lecz skutkiem tej nieznośnej zmiany. Kto zatem nastawił syna przeciwko niej? Kto nim manipuluje?

Ostateczną i jednoznaczną odpowiedź uzyskała, ujrawszy przez okno,

jak Mia O'Sullivan w drodze do domu zatrzymuje rower i najwyraźniej na kogoś czeka. Powstrzymała się, żeby nie wybiec i nie zmieszać jej z błotem, pozostała na miejscu, choć to, co zobaczyła, wstrząsnęło nią do głębi. Otóż zrównawszy się z dziewczyną, Johnny przystanął, aby porozmawiać; nawet z tak dużej odległości rzucało się w oczy, że bękart mu się podoba i że od dawna są w komitywie. Ta bezwstydna zażyłość była nie do przyjęcia.

Lillibeth musiała zadać sobie niemal fizyczny gwałt, by pozostać przy oknie, później zaś - aby nie zdradzić się przed synem, że go widziała. Gniew pozwolił jej wszakże logicznie rozumować. Musiała znaleźć sposób, aby na Zawsze odsunąć Johnny'ego od córki Mary i zdawała sobie «prawe, że krzykiem, groźbami i szantażem nic nie wskóra. Zadręczała się przez dwa dni, w końcu jednak trzeba było się przyznać do własnej bezsilności: jedyną osobą, która potrafiła ochronić ich dom i życie przed grożącym im niebezpieczeństwem, był Sean.

Doszedłszy do tego wniosku, z niecierpliwością czekała na powrót męża, aby z nim porozmawiać. Niebo zasnuło się chmurami i wiał wiatr zwiastujący burzę. Z pewnością tej nocy rybacy nie wypłyną w morze, Sean zatem będzie musiał ją wysłuchać, zamiast kazać jej się streszczać albo przełożyć rozmowę na później, bo spieszy się na połów. Choć jednak minęła dziewiąta, Sean nie wracał. Johnny też nie.

Podejrzanie, że ojciec i syn zabawiają się w najlepsze w pubie, ciesząc się odzyskaną bliskością, na parę chwil odsunęło od niej obraz Johnny'ego i Mii. Nie potrafiła nawet znieść myśli, że ma się dzielić z Seanem swoim dzieckiem. Kto się nim zawsze opiekował, kto je rozumiał, kto słuchał jego zwierzeń? Tylko ona, nikt więcej. To niesprawiedliwe, że Sean otrzymuje od chłopca miłość, na którą nie zapracował ani nie zasłużył.

O dziesiątej nadal ich nie było. Zatrzasnęła ze złością drzwi od kredensu i zaczęła się rozbierać do spania. Teraz stało się jasne, iż rzeczywiście siedzą w tym przeklętym pubie.

Lillibeth nie myliła się sądząc, że ojciec i syn są razem, nie wyobrażała sobie jednak wcale, co się wydarzyło kilka godzin wcześniej. Sprawa była o wiele poważniejsza niż pijaństwo, którego tak się obawiała.

Rybacy, nie mogąc wypłynąć w morze z powodu silnego wiatru, zamiast rozejść się do domów, schronili się w nieużywanym magazynie. Rozpoczęły się zwykle pogaduszki, przekomarzanie, przewidywania, kiedy burza ucichnie. Sean, który został na zewnątrz, by obejrzeć starą łódź jednego ze swych przyjaciół, zobaczył naraz, jak Torton O'Sullivan okłada pięściami młodego Hope'a. Nie miał pojęcia, co było przyczyną bójki i od jak dawna trwała, lecz zdawał sobie sprawę zarówno z tego, że obaj przeciwnicy są w gorącej wodzie kąpani, jak i z drzemiącej w pozostałych rybakach skłonności do zwady, objawiającej się zwłaszcza podczas przymusowej i deprymującej beczynności.

Sean rzucił się do magazynu, ale awantura rozpętała się już na dobre. Poszły w ruch pięści, w powietrzu fruwały obelgi i przekleństwa. Na próżno usiłował rozdzielić Tortona i Hope'a - dwaj przyjaciele ojca Mary przytrzymali go za ramiona.

- Zostaw, niech O'Sullivan da nauczkę temu lalusiowi!

Chociaż Torton był o czterdzieści lat starszy od swego przeciwnika, zdołał go unieruchomić: jedną ręką mocno go trzymał, drugą zaś zadawał mu cios za ciosem. Z ciałem wygiętym w łuk i oczyma ciskającymi błyskawice, zdawał się obdarzony nadludzką siłą. Gdy młody Hope bezwładnie opadł na podłogę, Torton odwrócił się na pięcie, po czym torując sobie drogę łokciami wyszedł z magazynu.

- Uważaj na swojego syna, Ryan! - zawołał jeden ze znajomych potrząsając głową.

- Na mojego syna? A co on ma do tego?

- Wszystko zaczęło się od tego, że Hope widział go na cyplu z dziewczyną O'Sullivanów. Bezdzienna Ethel też ich widziała, byli...

Sean oddalił się bez słowa, nie dając mu dokończyć zdania, i biegiem

dogonił Tortona. Wyglądało na to, że po wyładowaniu całej wściekłości O'Sullivanu opuściły wszystkie siły - szedł ze spuszczoną głową, powłócząc nogami i sapiąc. Usłyszawszy wołanie Seana, wyprostował się.

- Czego chcesz? - spytał nie zwalniając kroku.

- Nie powinieneś się bić z Hope'em, mogło ci się coś...

- Sam dobrze wiem, co mam robić. Przecież go położyłem.

- Zatrzymasz się wreszcie, do diabła? Skoro chciałeś się na kimś wyładować, trzeba było pobić mojego syna.

- A to dlaczego?

- Wiem wszystko. Jeśli Johnny nie zostawi w spokoju twojej wnuczki, przysięgam, że skręcę mu kark własnymi rękami.

Torton zatrzymał się nagle.

- Lepiej popatrz na siebie, Ryan.

- Nie wiem, o czym mówisz - burknął Sean.

- Dobrze wiesz. Już od lat krążysz wokół mojego domu jak złodziej, żeby szpiegować Mary. Czego od niej chcesz? Nie wystarczy ci, że zniszczyłeś jej życie?

- To ta wariatka wodziła mnie za nos! Sam powiedziałeś mojemu ojcu, że nie chce za mnie wyjść! Może już zapomniałeś? - wrzasnął Sean.

Tamten pokręcił głową z kpiącym uśmiechem.

- Gdybyś był prawdziwym mężczyzną, zaciągnąłbyś ją siłą do ołtarza i dobrze nią potrząsnął, żeby odzyskała rozum. Właśnie tego oczekiwała od ciebie Mary. Ale ty podkuliłeś ogon i pobiegłeś się wyplakać w ramionach O'Caseyówny. Zawsze był z ciebie chłop bez jaj, Ryan.

- Nie dam ci nauczki, bo jesteś stary. I stuknięty, jak twoja córka.

- Nie byłem stuknięty, kiedy walczyłem o unowocześnienie naszych łodzi i pracy! Ale ty byłeś zbyt ostrożny... Bałeś się zmian, bałeś się przeciwstawić innym!

- To zupełnie inna historia, Torton.



Mężczyzna ponownie pokręcił głową.

- To ciągle ta sama historia. Ty i twoje tchórzostwo, Johnny i Mia. Tylko że twój chłopak ma jaja, a ty nie.

- Pleciesz bzdury.

- Stuknięty jesteś ty, skoro nie dostrzegasz tego, co masz pod nosem. A teraz zejdz mi z drogi i idź się położyć do ciepłego łóżeczka. Nie czujesz, że nadchodzi burza? Nie boisz się?

Dochodziła dziesiąta, gdy Sean postanowił opuścić pub. Dwa kufle piwa i jedna whisky nie wystarczyły, żeby go oszołomić, ani żeby obudzić w nim bunt i agresję, które w najgorszych chwilach pomagały mu przetrwać awantury wywoływane przez Lilibeth. Wprawdzie Torton go obraził, lecz Sean nie potrafił go znienawidzić. Brutalne oskarżenia wywołały w nim poczucie męczącej niemocy. Nie był w stanie przestać kochać Mary, ale musiał przestać zadrećcać serce i umysł dawno przebrzmiałą historią. Koniec ze szpiegowaniem i czatowaniem, koniec ze wspomnieniami.

Zamknawszy drzwi pubu, znalazł się w strugach deszczu i na porywistym wietrze. Niebo przecięła błyskawica, oświetlając smagane ulewą gałęzie drzewa. Wkrótce potem rozległ się grzmot. Sean włożył kaptur i ruszył ze spuszczoną głową. Co ja robię, dokąd zmierzam, jaki sens ma moje życie, zastanawiał się. Bez Mary czuł się tak, jakby wisiał w próżni i nigdy nie miał się wydostać z tego piekła. Kolejna błyskawica, kolejny grzmot. A potem, coraz bliżej, kolejny dźwięk podobny do grzmotu. Gdy ucichł hałas, zanim zorientował się, że to warkot silnika, usłyszał wołanie zaskoczonego Johnny'ego.

- Co tu robisz w taką okropną pogodę? Wsiadaj, zawiozę cię do domu.

- Później przyjdę.

- W taką ulewę przemokniesz do suchej nitki, tato.

- Ty też. Jedź do domu, ja przyjdę później - powtórzył Sean.

- Jeśli musisz gdzieś iść, podwiozę cię.

- Zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

Johnny zsiadł z motoru i popchnął go pod dach.

- Schowaj się, tato. Czy coś się stało?

- Skąd wracasz? - spytał nagle Sean, nie odpowiadane na pytanie.

Johnny zdjął ociekający wodą kask.

- Musiałem się z kimś zobaczyć. Ale zrobiłem ci...

- Z córką Mary?

Chwila wahania.

- Tak.

- Trzy godziny temu, na molo, Torton O'Sullivan pobił syna Hope'a. Ale nie może położyć na łopatki wszystkich, którzy rozsiewają plotki o jego wnuczce. Musisz ją zostawić w spokoju, Johnny.

- Kochamy się.

- Jesteście jeszcze dziećmi! Daj sobie z nią spokój, zanim narobisz nowych kłopotów.

- Nigdy jej nie zostawię. Już to powiedziałem jej matce, a teraz powtarzam tobie.

Sean aż podskoczył.

- Widziałeś się z Mary? Kiedy?

- Matka Mii nakryła nas, gdy rozmawialiśmy w stodole. Możesz sobie wyobrazić, co się działo. Ale teraz przynajmniej ona wszystko wie i nie musimy się więcej ukrywać.

- Johnny, nie macie żadnej przyszłości. Nie pomyślisz o matce? Nawet sobie nie wyobrażasz, jakim piekłem byłoby dla was życie w Clearcove. Nagromadziło się zbyt wiele nienawiści i...

- Wasza przeszłość i urazy nic nas nie obchodzą. Nie my powinniśmy płacić za wasze błędy.

- Ale i tak za nie zapłacicie! Na miłość boską, rusz głową! Mia to jeszcze dziecko, pozwól jej przynajmniej dorosnąć. Niech sama zrozumie, czy warto tak zaciekle walczyć o twoją miłość.

- Mary była jeszcze młodsza, kiedy się z tobą zaręczyła.

- Ale nasze rodziny żyły w zgodzie! Nie było żadnych przeszkód, problemów, plotek...

- To dlaczego się nie pobraliście? - w głosie Johnny'ego słychać było wyzwanie.

- Bo ona była szalona, a ja jeszcze bardziej! - I bez jaj, dodał w duchu ze ściśniętym gardłem.

- Za to ja i Mia wiemy, co robimy. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Kiedy trzy dni później Mia wyszła ze szkoły, matka czekała już na nią z walizką w ręku. Odwiozła ją prosto do Skibbereen, do sióstr z zakonu Świętego Patryka. Miała pozostać w internacie aż do uzyskania dyplomu.

## VI

Pierwszym tygodniom pobytu Mii w Skibbereen towarzyszyło przekonanie, że została uwięziona, chociaż jest niewinna. niesprawiedliwość ta poczyniła w niej tak wielkie spustoszenie, że nie miała nawet siły się zbuntować. Siedziała na lekcjach nic nie widząc i nie słysząc, przez resztę dnia zaś wałęsała się między jadalnią, salą do nauki, kaplicą i pokojem rekreacyjnym z poczuciem całkowitego wyobcowania.

Dwa miesiące później przyjechała ją odwiedzić matka; kiedy Mii powiedziano, że czeka w rozmównicy, odrętwienie ustąpiło miejsca zaskoczeniu, które stopniowo przerodziło się w poczucie ulgi, podniecenie, nadzieję na odmianę losu.

Mary siedziała przy długim orzechowym stole. Ujrawszy wchodzącą Mię, powoli wstała i zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, jakby jej nie poznała. Miała zaciśnięte usta i twarz wykrzywioną złością. Gdy jednak przemówiła, jej głos brzmiał przerażająco spokojnie.

- Matka przełożona powiedziała, że jeśli tak dalej pójdzie, zostaniesz na drugi rok w tej samej klasie. Nie możemy sobie na to pozwolić.

- Mamo, ja...

- Od jutra będziesz się uczyć i nadrobisz wszystkie zaległości. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Oznajmiwszy to, odeszła bez słowa pożegnania. Oszołomiona Mia przez długą chwilę tkwiła w pustej sali, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Matka nie robiła jej wyrzutów, nie groziła, nie biła - po prostu wyliczyła jej przewinienia i określiła karę.

Mia odetchnęła głęboko, prostując się na krześle. Od tamtego dnia minęło wiele czasu, a przecież wspomnienie to nadal sprawiało jej przykrość. Nie czuła tak silnego niepokoju nawet dziesięć dni temu, kiedy ginekolog z Baltimore stwierdził, że owszem, z całą pewnością jest w ciąży.

„Będziesz się uczyć i nadrobisz wszystkie zaległości”... Zapamiętane na zawsze słowa jeszcze po tylu latach wywoływały w niej to samo poczucie winy i wstydu. Jak mogła aie nie robić, gdy matka zapracowywała się na śmierć, żeby opłacić chesne? Zagrzały trąby na Sąd Ostateczny, ją zaś czekał ogień piekielny.

Nawet przez chwilę nie pomyślała, by uchylić się od nakazu, i bynajmniej nie znenawidziła matki, przeciwnie: pokochała ją jeszcze mocniej właśnie za jej nieugiętość. Wiedziona masochistycznym pragnieniem odkupienia win, podsycanym panującą u Świętego Patryka atmosferą mistycznej i religijnej żarliwości, Mia pogrzyżyła się bez reszty w modlitwie i nauce. Często wstawiała w nocy, na palcach szła przez sypialnię i zamykała się w łazience, by powtórzyć lekcję albo poprawić pracę domową, która zdaniem Mii nie była jeszcze doskonała.

Pierwsze dwa miesiące oddawała się lenistwu, teraz zaś stała się prawdziwą niewolnicą nauki. Była nazbyt zajęta, aby rozmawiać z koleżankami na przerwach czy w czasie wolnym od zajęć, aby nawiązać przyjaźnie.

W rzadkich chwilach, gdy zdarzało jej się wspomnieć Johnny'ego, z przerażeniem kierowała myśli na inny temat, jakby przywołała diabła. Dużo później dowiedziała się, że pisywał do niej regularnie przez długi czas, lecz

przewidująca Mary uprzedziła matkę przełożoną, aby ta przechwytywała wszelką korespondencję kierowaną do Mii. Okazało się też, że zesłanie Mii do Skibbereen było częścią planu, jaki jej matka uzgodniła wspólnie z rodzicami Johnny'ego.

Nazajutrz rano po tym jak zaskoczyła ją w stodole z chłopakiem, Mary wsiadła na rower i pojechała do domu Ryanów, ogarnięta ślełą furją, nad którą nie zdołała zapanować przez całą noc. Kiedy znalazła się twarzą w twarz z Seanem i Lillibeth, wściekłość wybuchła nieprzerwanym potokiem inwektyw, oskarżeń i grózb. Rozpętała się karczemna awantura. Kiedy wreszcie zabrakło im tchu, mogli spokojnie poszukać rozwiązania dręczącego ich problemu: należało zdusić w zarodku niedozwoloną miłość łączącą ich dzieci i na zawsze je rozdzielić.

Umieszczenie Mii w internacie ułatwiło im zadanie. Johnny dopiero co powrócił do Clearcove, aby rozpocząć pracę, do której się przyuczył. Ponadto będąc już dorosłym mężczyzną nigdy nie zgodziłby się wyjechać wbrew swej woli.

Mary musiała się z tym pogodzić, lecz gdy wracała do domu, na nowo ogarnął ją gniew połączony z bólem.

- Poświęcam Mię - krzyknęła - ale biada wam, jeśli wasz w gorącej wodzie kąpany synalek udaremni jej poświęcenie! Trzymajcie go z dala od niej, bo mu nogi z tyłka powyrywam!

Mia uzyskała świadectwo z najlepszymi ocenami na początku lata 1987 roku i nazajutrz po tradycyjnej uroczystości wróciła do domu. Spędziła z dala od Clearcove dwa lata, teraz zaś widok miejsc, o których tak długo śniła i które opłakiwała niczym raj utracony, nie wzbudzał w niej żadnych emocji. Krytyczny dystans, którym popisywała się przed Johnnym Ryanem, chcąc go sprowokować podczas rozmowy na ścieżce Świętego, naraz stał się prawdziwy. Chcę stąd wyjechać, powiedziała sobie z mocą. W tej zabitej deskami dziurze nie ma dla mnie miejsca; i tak zawsze będą mnie nazywać odmieńcem i

bękartem.

Jedyną radosną chwilę jej gorzkiego powrotu stanowiło spotkanie z dziadkiem. Lecz gdy uwolniła się z jego uścisku i spojrzała mu w twarz, nie posiadała się ze zdumienia: wokół oczu i ust widniały głębokie bruzdy, nadające wychudłej twarzy melancholijnie uroczysty wygląd. W ciągu zaledwie dwóch lat postarzał się o dwadzieścia.

Kiedy zostały same, Mary krótko opowiedziała córce o tym, co wydarzyło się w Clearcove podczas jej nieobecności i co doprowadziło Tortona do takiego stanu. Upór rybaków broniących się przed założeniem spółdzielni i przez nowymi technologiami sprawił, że ich praca stawała się coraz bardziej anachroniczna i przynosiła coraz mniejsze dochody. Ani ich łodzie, ani ciężarówka, którą przewozili ryby, nie były wyposażone w chłodnie, toteż na targu rybnym w Baltimore, gdzie od dziesiątków lat kupowano od nich towar, zrezygnowano z ich usług. Do uchybień w zakresie higieny dołożyło się nikłe zainteresowanie stale malejącą produkcją, w dodatku uzależnioną od pogody.

W przeciwieństwie do solidnych kutrów z pobliskich wiosek, mogących wypływać w morze nawet przy złej pogodzie, dla starych łodzi z Clearcove zwykła burza czy większa niż zwykle fala stanowiła niebezpieczne wyzwanie. Już od miesięcy rybacy byli zmuszeni sami rozprowadzać towar, sprzedając go za grosze restauracjom i przybrzeżnym sklepom. Wszystko to znacznie obniżyło ich morale wytwarzając atmosferę napięcia i prowokując liczne kłótnie.

Mia uważnie wysłuchiwała opowieści matki.

- A jaka jest w tym wszystkim rola dziadka?

Mary westchnęła.

- Ponieważ dziadek już dawno przewidział, że nastąpi kryzys, teraz prawie wszyscy rybacy uważają, że wykrakał nieszczęście i na niego zwalają winę za swoje niepowodzenia i kłopoty.

- Przecież to bez sensu! To niesprawiedliwe!

- Zgadza się. Ale stał się ich kozłem ofiarnym. Na dodatek często broni

się używając pięści, jakby zapomniał że ma ponad siedemdziesiąt lat.

Mia zawahała się przez moment.

- Czy Sean Ryan także jest przeciwko niemu?

- Nie. Ale jego solidarność ogranicza się do tego, że odprowadza ojca do domu, kiedy ten nie potrafi się utrzymać na nogach.

To, co Mary przemilczała, Mia odkryła sama parę dni później. Dziadek znów zaczął pić i niekiedy już wczesnym popołudniem stawał się przygnębiony i nieznośny. I chociaż pijany czy nie, co wieczór wypływał na połów, jego rodzina dotkliwie odczuła kryzys, który powalił na kolana całą wioskę. W jaki zatem sposób udało się Mary opłacić Skibbereen? Nasuwająca się odpowiedź wywołała u Mii wyrzuty sumienia: zapracowywała się na śmierć, podobnie jak to robiła teraz.

Raz w miesiącu chłopak Bloomów przywoził ciężarówkę wełny, którą Mary gręplowała i przędła aż do późna w nocy, a następnie farbowała w kociołku za stodołą. Zostawiała sobie w ramach częściowego wynagrodzenia kilka motków, po czym robiła z nich swetry i kardigany, które zanosila do sklepu wdowy Garner, by w sezonie sprzedać je turystom. Ani przez chwilę nie siedziała beczynnienie.

Mia czekała na listonosza z bijącym sercem. Jeszcze będąc w Skibbereen i przygotowując się do dyplomu wysłała dziesiątki ofert do hoteli i biur podróży na południowym zachodzie kraju. Dokładnie określiła własną specjalność, dodając jednocześnie, że jest gotowa przyjąć również stanowisko niewymagające kwalifikacji. Na razie jednak nikt nie odpowiedział.

Pewnej nocy Mia przysłała do kuchni porozmawiać z matką.

- Nie mogę patrzeć, jak się zamęczasz - oznajmiła bez żadnych wstępów.

- Przecież wysłałaś podania o pracę. Musisz się uzbroić w cierpliwość.

- Mamo, sezon letni już się zaczął i nie sądzę, żeby były gdzieś jeszcze wolne miejsca. Nie wydaje mi się także, by moja przyszłość leżała między Bantry a Cobh.

- Co przez to rozumiesz? - spytała obronnym tonem Mary.
- Chcę żyć i pracować daleko stąd. Świat nie kończy się na Irlandii.
- Nie. Ale Irlandia jest wystarczająco duża dla ciebie. A także dla mnie i twojego dziadka.
- Nigdy nie będę żyła tak jak ty!
- Myślisz, że w Anglii albo w Ameryce tylko czekają, żeby rzucić ci pod nogi szczęście i bogactwo?
- Ja chcę tylko mieć odpowiednie warunki, mam.
- W takim razie szukaj ich tutaj, zamiast uciekać. A teraz wracaj do łóżka i daj mi skończyć robotę.

Na miesiąc przed powrotem Mii do Clearcove zmarł Peter O'Donnel, stary właściciel sklepu. Molly, wdowa po nim, miotła się między ładą, zapleczem a półkami, sapiąc i lamentując. Teraz, gdy mając blisko siedemdziesiąt pięć lat została sama, było jej o wiele trudniej. Zniekształcone przez artretyzm palce zwijały papier w rożki z bolesną powolnością; ponadto strzykało jej w kościach za każdym razem, gdy wstawiała, żeby po coś sięgnąć.

- Reumatyzm i tęsknota za Peterem zżerają mi serce - żaliła się kobietom wchodzącym do sklepu.

Gdy początkowe współczucie wygasło, jej skargi zaczęto traktować jak coś oczywistego i zwyczajnego, podobnie jak ważenie jęczmienia czy pakowanie cukru.

Za pierwszym razem, gdy Mia przyszła po zakupy do Molly, złożyła jej szczere kondolencje. Mając przed sobą jedyną osobę nieznającą jeszcze wszystkich jej nieszczęść a co za tym idzie, mogącą jej wysłuchać z zainteresowaniem - Molly znów stała się rozmowna i jęła się żalić z dawną werwą.

- Już dłużej nie mogę! - zakończyła. - Kuzyn biednego Petera otwiera wieczorem pub i obsługuje gości, ale przez cały dzień muszę dawać sobie radę sama!



- Nie myślała pani, żeby poszukać sprzedawczyni... Albo kogoś, kto pomógłby w sklepie? - wtrąciła Mia usiłując ukryć podniecenie. Pomysł ten dopiero co wpadł jej do głowy.

- Ale kto by chciał? - westchnęła Molly. - O tej porze roku wszystkie dziewczęta usługują turystom albo pracują w okolicznych hotelach. A kiedy skończy się sezon, będą potrzebne do roboty w domu.

- Ja byłabym wolna... To znaczy mogłabym pani pomagać nawet przez cały dzień. O zapłatę nie musi się pani martwić - czym prędzej dodała Mia, widząc nagły wyraz czujności i zakłopotania na twarzy kobiety. - Zadowolę się tym, co może mi pani dać.

- Moja panno, pensje bardzo się skurczyły przy dzisiejszym kryzysie. Nawet komiwojażerzy uciekają jak szczury z tonącego okrętu.

- Gdybyśmy pokazały towar z najlepszej strony, umyły półki i urządziły specjalną wyprzedaż starych rzeczy, które znajdują się na zapleczu, mogłybyśmy przyciągnąć turystów... Pojawiliby się także komiwojażerzy - nalegała Mia.

Jej entuzjizm okazał się wystarczająco zaraźliwy, aby Molly poczęła się wahać.

- Gdybym tylko była młodsza i miała więcej siły! Bez Petera sama muszę dźwigać ten krzyż dopóki...

- Niby dlaczego? Proszę pozwolić sobie pomóc przynajmniej do końca sezonu. Do licha, Molly, jak tak dalej pójdzie, straci pani resztkę sił.

- No dobrze - powiedziała wdowa po dłuższym namyśle. - Wezmę cię na próbę na lato.

Kiedy Mia oznajmiła, że nazajutrz zaczyna pracę u wdowy O'Donnel, Mary poczerwieniała na twarzy i już chciała krzyknąć, że jej córka nie po to zrobiła dyplom, żeby sprzedawać w jakimś starym zapyziałym sklepie; niech no zaraz leci do Molly i powie, że zmieniła zdanie.

W porę się jednak powstrzymała. Wrzaski na nic by się zdały - nawet by

sobie w ten sposób nie ulżyła. Była bardziej niż wściekła, z przerażeniem i bezsilnością odkryła bowiem po raz pierwszy, że Mia jest zupełnie taka sama jak ona. Nikt nie zdołałby jej powstrzymać ani utemperować. Dwa lata spędzone w Skibbereen nie były dla niej niczym innym jak straszną próbą, którą potraktowała jak wyzwanie i przeszła pomyślnie. Przekłęci Ryanowie, pomyślała Mary. Niech mnie diabli porwą za moją głupotę. Jedyne, co osiągnęła, to jeszcze większy upór Mii, który dał jej pewność, że może stawić czoło każdemu wyzwaniu i poddać się każdej próbie.

To tak, jakbym jej dała do ręki zabójczą broń, pomyślała z niepokojem Mary. Teraz nie pozostaje mi już nic innego, jak prosić Boga, żeby się śmiertelnie nie zraniła.

Uzbrojona w miotły, szczotki, ścierki i ług, Mia spędziła trzy dni na uprzątnięciu zewsząd pajęczyn i brudu. Drzwi do sklepu zostały zamknięte; klienci będący w nagłej potrzebie mogli wejść do pubu i poczekać, aż Molly przyniesie im towar.

- Poprzewracałaś wszystko do góry nogami! Krzyż mi pęka od ciągłego schylania się i szukania różnych rzeczy! - bezustannie skarżyła się Molly. Dostała niemal ataku hysterii, gdy Mia zamiast poustawiać wszystko z powrotem na półkach, zaproponowała, by odmalować lokal. - Nie masz dla mnie żadnego szacunku! Umieram ze zmęczenia!

- Ja też - odparła spokojnie dziewczyna, stojąc na drabinie z pędzlem w dłoni. - Ale na pewno będzie pani zadowolona.

Ostateczny rezultat potwierdził jej słowa: umyty i pomalowany na nowo sklep z towarem poukładanym w funkcjonalny i kuszący sposób bardzo się różnił od walącej się, obskurnej nory, którą był jeszcze tydzień temu. Fama natychmiast rozeszła się po wiosce, toteż w ciągu kilku następnych dni przychodziły całe tłumy kobiet, które wprawdzie nic nie kupowały, lecz chciały na własne oczy zobaczyć sklep i gratulowały Molly pomysłu. Molly zaś dziękowała i pokazywała z dumą ulepszenia, jakby były jej dziełem, podczas

gdy Mia stała za ladą i obsługiwała tych, którzy przyszli tu nie tylko z ciekawości, lecz aby coś kupić.

Pewnego poranka, o wpół do dziewiątej, wszedł Johnny Ryan.

Molly jeszcze nie było. Mia dopiero co otworzyła sklep i stojąc tyłem do drzwi lustrowała półki zapisując, jakich produktów brakuje. Gdy rozległ się dźwięk dzwonka wiszącego nad wejściem, nie zdążyła się nawet odwrócić, kiedy usłyszała niezapomniany głos:

- Cześć. Wybacz, że przeszkadzam.

Chwila, której Mia tak się obawiała, nadeszła. Mimo że spotkanie z Johnnym było nieuchronne, poruszona i zaskoczona dziewczyna przez chwilę nie mogła dojść do siebie.

- Odejdź stąd natychmiast - powiedziała nie odwracając głowy.

- Przyszedłem porozmawiać z Molly. Umówiliśmy się, że wpadnę dzisiaj rano.

Uprzejmy, bezosobowy głos Johnny'ego zarazem sprawił jej ulgę i wzmógł zaskoczenie. Przygotowała sobie odpowiedź na wszelkie rodzaje zaczepek z jego strony (czynione tonem urażonym, namiętym, wyzywającym, beczelnym, niepoważnym), lecz jego obojętność była czymś zupełnie nieoczekiwanym.

- Molly jeszcze nie ma. - Mia odwróciła się powoli. Mając nadzieję, że jej głos jest równie bezosobowy i uprzejmy, dodała:

- Możesz zaczekać, powinna zaraz przyjść.

Johnny skinął głową i podał jej kartkę, którą bezmyślnie wzięła do ręki.

- Żeby nie tracić czasu, mogę zrobić zakupy. To lista, którą dała mi matka.

- Bała się sama przyjść? Powiedz jej, że nie gryzę - odrzekła impulsywnie i z sarkazmem Mia.

- Matka jest chora.

- Przykro mi.

- Jak widać, w Skibbereen nauczyli cię dobrych manier.

- Co ty wiesz o Skibbereen? - zawołała.

- Dałaś się zamknąć w klatce jak wystraszony królik.

- Patrzcie no, przemówił lew!

Johnny spojrzał na nią zwężonymi oczyma.

- Też się bałem, ale twojego tchórzostwa. Gdybyś została ze mną, zamiast uciekać prosto w pułapkę, nasze rodziny nigdy nie zdołałyby nas rozdzielić.

- Mogłeś walczyć sam. Ale zdaje się, że nie...

- Walczyć o co? O urojenie? Pisałem do ciebie przez cały rok, zanim zrozumiałem, że zakonnice i matka zrobiły ci wodę z mózgu.

Mia szeroko otworzyła oczy.

- Pisałeś do mnie? Nie dostałam żadnego listu!

Przez chwilę Johnny wydawał się zdumiony i zmieszany. Natychmiast jednak znów przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Tym lepiej; zdaje się, że wszystko potoczyło się tak, jak się miało potoczyć.

- I to zamyka sprawę. Zaraz podam ci zakupy - odparła dumnie Mia zabierając się do czytania listy Lillibeth.

## VII

Myśląc o lecie, które nastąpiło po jej powrocie do Clearcove (czy to możliwe, że od tamtej pory minęły zaledwie dwa lata?), Mia zdała sobie sprawę, że wrażenia są silniejsze niż wspomnienia.

Dwa tygodnie po rozpoczęciu pracy w sklepie wydawało jej się, że przez całe życie nie robiła nic innego niż stanie za ladą, ważenie, owijanie w papier, sumowanie, wkładanie ręki do szuflady. Zaspokoiwszy ciekawość w ciągu paru dni, gospodynie domowe powróciły do dawnego rytmu zakupów. Na ogół przychodziły tłumnie w czwartki między dziewiątą a dziesiątą rano - po tym, jak z Shull przyjeżdżała ciężarówka z tygodniowym zapasem produktów żywnościowych i innych towarów. Były tam fartuchy, podomki, nici, guziki,

ścierki, proszki do prania czy żarówki.

Przez resztę tygodnia zdarzało się, że między jednym a drugim klientem upływała godzina.

Clearcove nadal omijali turyści, ponieważ nie było tu ani restauracji, ani hoteli; w sezonie letnim kilka rodzin (od lat ciągle tych samych) wynajmowało pokoje lub całe domy letnikom. Mia umieściła na widocznym miejscu w sklepie stare maszynki do kawy, butelki, dzbanki, serwetki, posążki i wszystko, co tylko znalazła na zakurzonych półkach zaplecza, w nadziei że przyjezdni coś kupią - jak na razie jednak z marnym rezultatem.

Tak więc gdy Molly, jak sama mawiała, zostawała w domu, by dać odpocząć swym biednym kościom, Mia siedziała za ladą i pustym wzrokiem patrzyła przed siebie. Letni skwar przedostawał się do mrocznego pomieszczenia przez stare ściany z trzciny i natychmiast zamieniał się w lepłą wilgoć. Mię ogarniała śmiertelna nuda, która niczym trujący jad pozbawiała ją całej energii i wszelkich myśli. Te wolno mijające godziny, te dni podobne do siebie, ta nużąca beczynność... Co jakiś czas miewała przeblęski świadomości, które wyrywały ją z apatii, wywołując dreszcz niepokoju i lęku. Co ja tu robię? Dlaczego nie uciekam? Co się stało z moimi planami i marzeniami?

To Molly złapała Pana Boga za nogi. Przybycie Mii zdjęło z niej ciężar wysiłku i kłopotów, toteż przy każdej okazji wychwalała pod niebiosa pracowitość i szlachetność młodej O'Sullivanówny. Dzięki tym peanom wygłaszanym autorytatywnie na jej cześć mieszkańcy wioski zaczęli traktować Mię jak swoją. Uśmiechy kobiet stały się bardziej serdeczne, gesty bardziej spontaniczne, jednakże zbliżenie to zamiast ją uspokoić, tylko wzmogło jej obawy. Nie chciała pozostać w Clearcove, nie zamierzała się zadowolić byle jakim i spóźnionym spokojem, który mogłoby jej zapewnić życie w wiosce.

Tymczasem wszakże była zmuszona odwzajemniać uśmiechy kumoszek i uczestniczyć w pogaduszkach. Właśnie z ich gadaniny dowiedziała się w pewien czwartek czegoś, o czym jeszcze nie wiedziała: od półtora roku Johnny

prowadził własną firmę. Naprawiał łodzie i sprzedawał sieci rybackie. Niedawno pokłócił się z ojcem, Ponieważ ubzdurał sobie, że wyremontuje opuszczony magazyn obok mola i będzie w nim budował nowoczesne łodzie.

Bezdzietna Ethel na własne uszy słyszała od Lillibeth, jakoby Johnny zamierzał wziąć kredyt z banku w Baltimore i że Sean jest na niego wściekły właśnie z tego powodu. Tata Ryan uważa, że chłopak nabił sobie głowę bzdurami i mierzy siły na zamiary.

Maude odparła na to, że czasy się zmieniły, a Johnny dobrze robi idąc z postępem, tym bardziej że osiągnął już odpowiedni wiek do założenia rodziny.

- Przecież nawet się jeszcze nie zaręczył! - wtrąciła żona Hope'a, kierowcy autobusu.

Bezdzietna Ethel uśmiechnęła się zarazem złośliwie i ze współczuciem.

- A ty co o tym wiesz. Jego kuzynka Donna ma osiemnaście lat i wyrosła na bardzo ładną dziewczynę. Lillibeth mówi, że...

- Donna ładną dziewczyną? - naskoczyła na nią Maude. - Dobrze się jej przyjrzałaś? Ma krzywe zęby, za długi nos i nogi jak serdelki!

- Myśl sobie, co chcesz. Ważne, że podoba się Johnny'emu i jego matce - ucięła dyskusję niemal obrażona Ethel.

Mia obsługiwała kobiety mając nadzieję, że jej chłodna i obojętna mina jest przekonująca. W rzeczywistości rozmowa głęboko ją poruszyła. Johnny i Donna razem. Podobne przypuszczenie nawet nie powstało jej w głowie - było po prostu absurdalne.

Gdy jednak została sama, musiała przyznać, że nigdy nie wyobrażała sobie żadnej dziewczyny u boku Johnny'ego. Prędzej czy później na pewno by się zakochał i ożenił, ale na samą myśl, że jego wybranką okaże się kuzynka, krew uderzała jej do głowy. Już jako dziecko Donna starała się za wszelką cenę zranić i upokorzyć Mię. Dokładnie tak jak Lillibeth. Obydwie jako jedyne kobiety w Clearcove nigdy nie przekroczyły progu sklepu, odkąd Mia zaczęła pracować u Molly.

Dla matki Johnny'ego zakupy robiła bezdzietna Ethel; Mia zdążyła już poznać potrzeby i upodobania każdej rodziny, podawana jej przez Ethel lista zakupów była identyczna jak ta, którą podsunął jej Johnny w czasie pierwszej i ostatniej wizyty w sklepie. Było dla niej jasne, że Lilibeth i Donna traktują ją jak trędowatą, a nawet stosują wobec Molly subtelny szantaż: dopóki będziesz zatrudniać u siebie tego bękarta, dopóty my będziemy się trzymać z daleka.

Już ja bym wiedziała, jak wam dopiec, pomyślała w przyływie nienawiści. Niestety, nie pozwalała jej na to miłość do Mary. Odzyskując Johnny'ego przysporzyłaby matce nowych cierpień i kłopotów. Tego zaś nie mogła zrobić - było to jedyne tabu, przed którym korzyła się jej buntownicza natura.

Mia popełniła typowy błąd, jaki staje się udziałem osób dumnych i o silnym charakterze, zmagających się z nieszczęśliwą miłością: po podjęciu ostatecznej decyzji uważają one sprawę za zamkniętą i przestają się liczyć z pragnieniami i uczuciami drugiej strony. Tak też się stało w jej przypadku.

Pewnego sierpniowego wieczoru, wracając do domu rowerem - jak zwykle na skróty - natknęła się na Johnny'ego Ryana. Postawił motor w poprzek drogi i oparł się o niego. Mia usiłowała ominąć go tak, żeby nie wpaść w krzaki, Johnny jednak stanął z podniesionymi rękami uniemożliwiając jej manewr. Gdyby towarzyszyły temu aroganckie słowa bądź zachowanie, dzielnie stawiałaby mu czoło.

Tymczasem Johnny miał cierpiącą minę, niczym Chrystus na krzyżu. Nie opuszczając ramion powiedział cicho, z rezygnacją i bezbrzeżnym smutkiem:

- Próbowałem, ale już dłużej nie mogę bez ciebie żyć.
- Nie wolno nam! - wybuchnęła Mia, przerażona uczuciami, które jego słowa wydobyły z najgłębszego zakamarka jej duszy, choć miała nadzieję, że zostaną tam na zawsze: tęsknotą, miłością, rozpaczą, niemocą.
- Wyjedźmy z Clearcove!
- Kochasz to miejsce, nigdy nie potrafiłbyś się zmusić, żeby...

- Kocham ciebie i musisz dać mi tylko trochę czasu, żebym wszystko zorganizował.

- Johnny, rozpęta się prawdziwe piekło!

- Prawdziwe piekło to nie móc być razem. - Opuścił ręce i oplótł nimi jej ramiona, powoli i łagodnie przytulając ją do siebie. - Chcę tylko ciebie.

- Musimy być ostrożni... Nie zniosłabym, gdyby matka znowu mnie wysłała do Skibbereen - szepnęła z twarzą w jego marynarce.

- Nie wyśle cię. Jestem już mężczyzną i nikt nie może mnie zastraszyć ani zaszantażować.

- Co się z nami stanie?

- To, co sami zechcemy. Najważniejsze to chcieć tego za wszelką cenę.

Kiedy Mia wróciła do domu, Mary nie było, Torton zaś siedział w milczeniu przed wygasłym kominkiem.

- Nie wybierasz się na połów, dziadku? - O tej porze zazwyczaj był już na molu.

- Moja stara łajba przecieka; jutro razem z O'Flahertym sprawdzimy, co z nią jest.

- Twoja łódź przecież nie jest stara, wymieniłeś ją zaledwie parę lat temu!

- Było to nie tyle stwierdzenie, ile okrzyk pełen nadziei.

Torton skrzywił się.

- Powiedzmy, że jaśnie pani była zbyt delikatna i nie wytrzymała mojej harówki.

- Dziadku, powinieneś... - przerwała Mia czując się bezsilnie i głupio. Przestać wypływać w morze? Kupić nową łódź? Dziadek nie mógł zrobić dwu jedynie sensownych rzeczy. - Przygotuję ci coś do jedzenia - powiedziała odwracając się tyłem, aby nie dojrzał wzbierających w jej oczach łez. Torton i Mary poświęcali się dla niej, a ona co robiła najlepszego? Zamiast im odplacić owocami długiej nauki, zostawia ich na pastwę nędznej starości, żeby się połączyć z Johnnym. Czy kiedykolwiek starczy jej sił, by to uczynić?



Po raz pierwszy zdobyła się na odwagę, by powrócić do wspomnień tamtych dni, ale choć upłynęło już tak dużo czasu, lęk i złość ścisnęły ją za gardło. Odwróciła głowę do okna i odetchnęła głęboko. Uspokój się. Wszystko skończone. Zostawiasz daleko w tyle Clearcove i przeklęte wspomnienia. Mary została, uparcie trzymając się swych korzeni i zmarłych. Obok grobu Betsey znajdował się teraz grób Tortona. Czy śmierć była dlań drogą ucieczki, czy też sposobem, by pozostać tam na zawsze? Mia nigdy się tego nie dowie; dziadek zabrał ze sobą do grobu wszystkie odpowiedzi. I nikt nie zdołał go powstrzymać.

Wszystko zaczęło się od niespodziewanej katastrofalnej awarii łodzi. Torton spędził cały ranek ze swym starym przyjacielem O'Flahertym, usiłując zgłębić przyczynę uszkodzenia i naprawić łódź. Wczesnym popołudniem Mia widziała, jak obaj idą do baru żywo rozprawiając. Kiedy później tam weszła, mieli już w czubie. Przysiedli się do nich dwaj inni rybacy i początkowo, słysząc śmiechy i docinki, sądziła, że wspominają jakąś wesołą psotę albo opowiadają jak zwykle sprośne kawały. Wystarczyło jednak kilka chwil, by zrozumiała, że obiektem wesołości była łódź Tortona: „zauroczona”, „opętana przez Croma”, „suka”, »grymaśnica”, „niedostępna jak dziewczica”.

- Co się stało z twoją łodzią, dziadku? - Musiała niemal wrzasnąć, żeby przekrzyczeć śmiech i gwar.

Odpowiedział jej szyderczy rehot O'Flaherty'ego:

- Wielka mi tajemnica! Jej wysokość przecieka i ciągle nie wiadomo, w którym miejscu! Nie pozostaje nam nic innego, jak ją zwodować...

Przerwał mu Torton, zwracając się do niej:

- Nie martw się, mała, usterka już naprawiona, a te trochę wody nie powstrzyma mnie przed wypłynięciem w morze!

Przerażona Mia pobiegła czym prędzej po Johnny'ego prosząc, żeby obejrzał łódź dziadka.

Johnny zacisnął usta.

- Nadaje się tylko na podpałkę.
- Jak możesz tak mówić, skoro jej nie widziałeś?
- Widziałem ją w zeszłym roku, po tym, jak uderzyła o rafę w płytkiej zatoce.

Niechętnie i krótko Johnny opowiedział jej, jak wypiwszy za dużo, Torton wypłynął w morze i natknął się na statek rybacki z sąsiedniej wioski, który kierował się wprost na ławicę łososi. Rozwścieczony tym wtargnięciem Torton rzucił się w szalony pościg i nadział na podwodne skały.

- To cud, że wyszedł z tego cały i zdrowy. Rozwalił pół łodzi. Zamiast ją łątać, powinien był kupić nową - dodał na zakończenie.

- A skąd miał wziąć pieniądze? Łatwo ci mówić!

Johnny zawahał się przez chwilę.

- Miałem do sprzedania po okazyjnej cenie łódź w doskonałym stanie. Zaproponowałem mu, żeby kupił ją na raty albo zaciągnął w banku kredyt, który bym mu podżyrował, ale oburzył się, jakbym go czymś obraził.

- Dobrze wiesz, jaki dziadek jest dumny. Wolałby umrzeć niż...

- Prędzej czy później straci życie w tej dziurawej skorupie - odparł z goryczą Johnny.

- Nie mógłbyś czegoś zrobić, żeby był bardziej bezpieczny? Przecież to twój zawód; jesteś o wiele lepszy niż stary O'Flaherty.

- Mia, ta łódź to wrak.

- Rozumiem. Johnny Ryan nie po to był na praktyce w stoczni Mahoneya, żeby naprawiać wraki biednych rybaków - powiedziała z przekąsem Mia.

- W ogóle nic nie rozumiesz! Łódź twojego dziadka przełamała się na pół.

- Została naprawiona i pływała po morzu przez cały rok.

- To kupa skleconych razem desek, która jakimś cudem nie rozpada się na fali. Każda kolejna naprawa tylko pogarsza sytuację. Twój dziadek jest lekkomyślny, a ja nie jestem w stanie mu pomóc; to by go tylko zachęciło do jeszcze większego ryzyka.

Nazajutrz rano Mię obudził nagle grzmot. Chwilę później półmrok pokoju rozjaśniło światło błyskawicy i kolejny grzmot przeszył powietrze niczym huk bomby. Daremnie próbowała otworzyć okiennice - wiatr wiał z taką siłą, że zdawały się przyśrubowane.

Ubrała się w pośpiechu i zeszła do pustej kuchni. Deszcz lał się strumieniami z ołowianego nieba, z rynien zaś wypływały z chlupotem potoki wody.

- Mamo, dziadku, gdzie jesteście? - zawołała kierując się na tyły domu. Dostrzegła ich podchodząc do okna: w ociekających wodą sztormiakach, kuląc się przed wiatrem, Mary i Torton przynosili do szopy nawleczone do tuszenia ryby.

- Nie wychodź, już kończymy! - krzyknęła Mary na widok córki.

Kiedy Mia mogła wreszcie pójść do sklepu, była prawie dziesiąta. Zachowała jedynie niewyraźne wspomnienia tego dnia: pełnej kałuż ulicy, po której walały się połamane gałęzie, wycia wiatru, zasmuconej twarzy Molly („Zalało piwnicę i pub”), godzin spędzonych na usuwaniu wody miotłą z sorga, bolących pleców, przenikającej całe ciało wilgoci.

Około czwartej po południu przez ołowiane chmury zaczęły prześwitywać skrawki błękitu. O szóstej zaświeciło słońce, chociaż gałęzie nadal się ugiwały pod silnymi porywami wiatru, nadal trzaskały drzwi i okna. Dwaj rybacy weszli do pubu i zamówiwszy po kuflu piwa, jęli rozprawiać o pogodzie. Jeden uparcie twierdził, że wieczorem nie da się wypłynąć na połów, drugi zaś był przekonany, że wkrótce wichur ucichnie.

Niestety, mylił się. O wpół do siódmej, gdy Molly opuściła sklepową żaluzję, a Mia wybierała się właśnie do domu, wiatr ciągle wiał, w pubie zaś zaroilo się od rybaków, którzy zmuszeni przez sztorm do pozostania na lądzie, zamierzali spędzić noc na głośnych rozmowach i picciu. Mia stanęła w drzwiach i rozejrzała się za dziadkiem. Nie było go.

Dostrzegła go chwilę później, wjeżdżając na ścieżkę wiodącą do domu:

Torton szedł na przelaj przez pole jęczmienia Bloomów. Postanowiła na niego zaczekać. Posuwał się z trudem, lekko chwiejąc się pod naporem wiatru, kiedy zaś znalazł się blisko niej, Mia ze ściśniętym sercem spostrzegła w jego dłoni butelkę. Rzuciła rower i podbiegła do niego.

- Dokąd idziesz w taką pogodę, dziadku?

- O'Flaherty jest w pubie? - odpowiedział pytaniem Torton.

- Nie zwróciłam uwagi, ale wszyscy rybacy się tam zebrali.

Torton burknął coś o „tchórzliwych zającach”.

- Dziadku, wróć ze mną do domu. - Naraz przelękała się na myśl, do czego byłaby zdolna grupa doprowadzonych do ostateczności i podchmielonych mężczyzn.

- Sam wiem, co mam robić.

Mia z westchnieniem wskazała butelkę.

- Nie powinieneś pić o tej porze...

- Moja panno, matka czeka na ciebie z kolacją. Wsiadaj na rower i daj mi święty spokój.

- Ale dokąd zamierzasz pójść? Co chcesz zrobić?

- Dość tych pytań. Nie jestem jeszcze dzieciinniałym starcem i nie muszę się spowiadać z tego, co robię.

Skończy się na tym, że się upijesz i jak zwykle wdasz w bójkę, sarknęła w duchu.

Przez cały wieczór Mia krążyła z niepokojem po domu, gdy tymczasem Mary drobniutkim ścięciem obszywała perełkami bolerko dla panny młodej. Wiatr przeciskał się przez szpary w starych oknach, w drzwiach skrzypiały zawiasy.

O wpół do jedenastej Mary przerwała robótkę i odłożyła do koszyka igły i nici.

- Idę spać.

- Dziadek jeszcze nie wrócił...

- Wróci, kiedy zechce. Nie ma sensu, żebyś męczyła się tu do rana.

- Martwię się o niego, mamó - odparła niemal i oburzeniem Mia.

- Ja też, ale nie możemy nic na to poradzić. To trudny okres dla wszystkich rybaków, nie tylko dla niego.

- Łódź dziadka to wrak, który ledwie się trzyma na wodzie...

- Prawie wszystkie łodzie w Clearcove to stare wraki - przerwała z goryczą Mary.

- Ale jego jest w najgorszym stanie. - W porę się powstrzymała przed wyjawieniem tego, co dzień wcześniej powiedział jej Johnny.

- Mia, dziadek sam potrafi o siebie zadbać. I o swoją łódź też.

Dwie godziny później Mia nadal przewracała się w łóżku nie mogąc zasnąć. Nagle wydało jej się, że słyszy jakieś głosy. Nadstawiła uszu i wstrzymała oddech. Nie, nie myliła się; ktoś zbliżał się do ich domu i wyraźnie usłyszała, jak wrzeszczy na całe gardło: „Mary, Mary!”

Mia włożyła podomkę i wyszła z pokoju, mając nasieję, że hałas nie obudził matki. Stało się to, czego obawiała się przez cały wieczór: dziadek Torton wracał kompletnie pijany, podtrzymywany przez swych podchmielonych i wrzaskliwych przyjaciół, i z pewnością nosił na ciele ślady potężnej bójki.

Zszedłszy do połowy schodów, usłyszała głośnie walenie w drzwi i rozpoznała głos starego O’Flaherty’ego.

- Mary, Mary, otwórzcie!

- Chwileczkę, już idę! - zawołała Mia przyspieszając kroku. Zdjęła klucz z haczyka i przekręciła go w zamku.

- Cicho, mama śpi...

Obok O’Flaherty’ego stała Molly, za nimi zaś grupka rybaków.

Mia przyglądała im się przez chwilę w osłupieniu.

- Co się stało? - spytała podchodząc krok naprzód. Nie było wśród nich Tortona. Zaskoczenie ustąpiło miejsca lodowatemu strachowi.

- Gdzie jest mój ojciec? - spytała Mary stając cicho za plecami córki.

- Nie martw się, na pewno go uratują - uspokajała ją współczująca Molly.
- Wezwaliśmy straż przybrzeżną z Barley; wypłynęli czterema szalupami
- odezwał się tym razem O'Flaherty.
- Wypłynęli?! Dokąd? Można wiedzieć, co się stało? - krzyknęła ogarnięta paniką Mia.

## VIII

Torton O'Sullivan dotarł do pubu o dziesiątej wieczorem, dwie godziny po spotkaniu z Mią na polu jęczmienia. Kilku chłopców bawiących się do późna w opuszczonym magazynie widziało go, jak siedział na molu z butelką w ręce. Gdy wszedł do pubu, chwiał się na nogach i miał wykrzywioną twarz.

- Co tu robicie? Byle wietrzyk wystarczy, żeby was powstrzymać? - zagrzemiał donośnym, choć bełkotliwym głosem.

Sean Ryan wstał i chwycił go za ramię.

- Chodź, napij się z nami piwa.
- Nie chcę pić, tylko łowić! Czy nikt nie zamierza płynąć ze mną?
- Daj sobie spokój, Torton! - zawołał ktoś z głębi sali.
- Idź do domu i nie zwracaj głowy! - warknął młody Hope.
- Biorę łódź i wypływam w morze. Ktoś płynie ze mną czy wszyscy straciliście ikrę jak ta baba Hope?

Sean dał chłopakowi znak, żeby nie reagował na zaczepkę, po czym zwrócił się do starego:

- Torton, chodźmy się trochę przewietrzyć.
- Nie jestem ani idiotą, ani szaleńcem! I dosyć się już przewietrzyłem.
- W takim razie usiądź i pogadaj z nami - odparł Ryan, usiłując zaciągnąć go do swojego stołu.

Torton wyrwał się gwałtownie.

- Gadać! Tylko to potraficie. A tymczasem ci z Shull i z Barley podbierają nam wszystkie ryby...
- W taki sztorm żadna łódź nie zdoła wypłynąć - odrzekł cierpliwie Sean.

- Moja tak. - Torton powiódł wokoło groźnym spojrzeniem. - Pytam po raz ostatni: czy nikt nie ruszy tyłka?

Przy stołach dały się słyszeć cięte, pogardliwe uwagi.

Torton obrócił się na pięcie i wyszedł odpychając Seana, który próbował go zatrzymać.

Nikt nie wierzył, że Torton naprawdę wyruszy na połów w taką pogodę; przekonani, że to tylko zwykła pijacka fanfaronada, mężczyźni powrócili do rozmów i picia.

O wpół do jedenastej wkroczył do pubu policjant z Barley, niejaki O'Shea. Zadzwoił doń latarnik morski z ostrzeżeniem, że w pobliżu Clearcove dryfuje jakaś łódź. Prawdopodobnie wiatr zerwał cumy, ale policjant wolał się upewnić.

- Wszyscy tu jesteście? - zapytał rybaków, poprosiwszy przedtem, aby poświęcili mu chwilę uwagi. - Czy możemy mieć pewność, że żaden z was nie wypłynął w morze?

Sean Ryan zerwał się na równe nogi. Ten szaleniec Torton mówił poważnie!

- Panie policjancie - rzekł wzburzony - trzeba natychmiast zawiadomić straż przybrzeżną...

Molo było oświetlone jak za dnia, po wzburzonym morzu prześlizgiwały się snopy długiego światła. Przybyłym na miejsce Mary i Mii zdawało się, że wylądowały w jakimś ponurym lunaparku.

Mieszkańcy Clearcove zjawili się wraz z rodzinami; wyrwani ze snu malcy płakali żałośnie, starsze dzieci biegały podniecone po molu wrzeszcząc wniebogłosy.

W tłumie słyhać było niewyraźny szmer: jedni rozmawiali, drudzy modlili się, inni klęli, jeszcze inni płakali. Wkrótce też rozbrzmiał chór komentarzy: O'Sullivanowie nigdy nie mieli szczęścia, Torton zawsze był w gorącej wodzie kąpany, nie powinien był tego robić, nigdy go nie wyłowią...

Czy ktoś powiadomił te biedaczki?

O'Flaherty zaprowadził obie kobiety na cypel pod latarnią morską - była to wystająca część plaży, którą straż przybrzeżna z Barley Cove otoczyła barierkami, by powstrzymać napór tłumu, a która stanowiła bazę operacji ratunkowej.

O'Shea wyszedł na spotkanie Mary i Mii i przeprowadził je przez barierkę.

- Zaraz wypłynie ostatnia łódź ratunkowa - wyjaśnił zwracając się do Mary. - Jak twierdzi Sean Ryan, pani ojciec mógł szukać schronienia między skałami w Jaskini Łososi. Podobno był już taki przypadek.

Mary odparła gniewnie:

- Sean Ryan dobrze wie, że mój ojciec był kompletnie pijany, kiedy wychodził z pubu! Jak może sądzić, że był w stanie panować nad łodzią i szukać schronienia w jakimkolwiek miejscu? Mógł go powstrzymać przed wypłynięciem w morze, ale tego nie zrobił. To bardzo wygodne siedzieć sobie tutaj i wygadywać idiotyzmy, podczas gdy ojca zniosło Bóg wie gdzie!

O'Shea potrząsnął głową z lekkim wyrzutem.

- Sean Ryan bierze udział w akcji ratunkowej i za kilka minut wypłynie wraz ze strażą przybrzeżną, żeby spróbować się dostać do Jaskini Łososi. - Wskazał szalupę kołyszącą się dwadzieścia metrów dalej na spienionych bałwanach. - To już piąta, która wyrusza na poszukiwania.

- Jak długo będziecie je prowadzić? - wtrąciła drżącym głosem Mia.

Mężczyzna rozłożył ręce.

- To już ostatnia próba. Jeśli nie znajdziemy łodzi utkwionej między skałami, będziemy musieli przerwać aż do rana, kiedy się zrobi jasno, a sztorm ucichnie.

- A co się stanie z dziadkiem? Myślicie, że wytrzyma do rana? - wrzasnęła Mia.

Mary chwyciła córkę za ramię.



- Oni są przekonani, że gdyby stara łajba dziadka wytrzymała aż do teraz, byłby to prawdziwy cud. - Jej głos był ostry niczym smagnięcie bicia.

O'Shea westchnął.

- Niestety właśnie tak się sprawy mają, droga pani, i musimy być przygotowani na najgorsze. Sean Ryan uparł się przy poszukiwaniach w Jaskini Łososi, ale nawet jego syn twierdzi, że łódź Tortona nie zdołałaby...

Mia nie pozwoliła mu dokończyć.

- Gdyby Johnny Ryan łaskawie zechciał ją naprawić, teraz z pewnością byłby większym optymistą - powiedziała przez zęby.

- Moja panno, w taką burzę jak dziś łodzią pani dziadka i tak nie dałoby się sterować.

- Skończmy tę bezsensowną dyskusję - wtrąciła nagle Mary. Utkwiła wzrok w szalupie. Sean Ryan przy pomocy syna wkładał właśnie taką samą kamizelkę ratunkową, jaką miał na sobie stojący obok funkcjonariusz straży przybrzeżnej. Obaj mężczyźni rozmawiali z ożywieniem.

O'Shea powiódł wzrokiem za spojrzeniem kobiety.

- W czym problem? - spytała Mary.

- Młody Ryan chce płynąć z ojcem, ale nie pozwolili mu. Już i tak zbyt wiele osób ryzykuje.

Zanim policjant zdążył ją powstrzymać, Mary puściła się biegiem w kierunku szalupy.

- Sean, stój! - krzyknęła.

Zawołany mężczyzna, który wkładał teraz sztormiak ciągle dyskutując, odwrócił się gwałtownie.

- Co tu, u diabła, robisz?

- To ja powinnam cię o to spytać - odrzekła Mary ciężko dysząc. - Zdejmij to wszystko i wracaj do domu.

- Nie płacz się pod nogami, z łaski swojej.

- Nie pozwolę ci zgrywać bohatera albo męczennika kosztem mnie i

mojej córki! Nie sądzisz, że to wystarczająca tragedia? Chcesz, żebyśmy czuły się winne? - Wybuchnęła płaczem.

- Mary, jestem pewien, że twój ojciec żyje. Wiatr wieje z północnego wschodu i z pewnością zepchnął go do Jaskini Łososi. - Gniew Seana ostygł.

- A jeśli łódź się przewróciła? Jeśli nabrała wody i poszła na dno?

Sean popatrzył na nią ze spokojem.

- To bardzo prawdopodobne. Ale odcinek morza, który prowadzi do jaskini, jest pełen skał. Zapewne Torton instynktownie wyskoczył z łodzi, żeby się schronić na którejś z nich.

- Naprawdę myślisz, że będąc tak pijany potrafił się utrzymać na powierzchni i płynąć w taką burzę?

- Nie doceniasz swojego ojca. Nawet po pijanemu ciągle jest najlepszy.

- Funkcjonariusz O'Shea i ci z Barley Cove na pewno mają inne zdanie.

- To dlatego, że nie znają twojego ojca tak dobrze jak ja. Ani nie znają tak dobrze jak ja każdego metra i każdej skały tego odcinka morza. Właśnie dlatego ja ich muszę poprowadzić.

Mary zerknęła na Johnny'ego, który słuchał w milczeniu z pochmurną miną.

- Twój syn nie chce, żebyś tak ryzykował - sprzeciwiła się.

- A od kiedy to słucham rozkazów mojego syna? Nie zatrzymuj mnie dłużej, Mary, czekają już tylko na mnie.

- Wziął ją za rękę. - Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Mary powoli wyswobodziła dłoń.

- Dziękuję. - Spoglądała bez ruchu, jak wsiada do szalupy, kiedy zaś odpłynął przecinając fale, zamknęła oczy, by powstrzymać łzy.

- Chciałem popłynąć z ojcem, a nie zabronić mu udziału w poszukiwaniach - powiedział cicho, lecz stanowczo Johnny.

- Nie musisz się usprawiedliwiać.

- Ja tylko mówię, jak jest. Naprawdę mam nadzieję, że Tortonowi udało

się ukryć między skałami wśród wysepek.

- Spostrzegł, że Mary drży. - Proszę stąd odejść. Minie sporo czasu, zanim go odnajdą.

Wziął ją za ramię i poprowadził za barierkę. Mia podążyła za matką nie zaszczycając Johnny'ego ani jednym spojrzeniem.

- Co mówią ci ze straży przybrzeżnej? Zobaczyli łódź dziadka? - spytała z niepokojem.

- Rozmawiałem tylko z Seanem Ryanem. Szukają go właśnie wśród wysepek.

- Jak długo to potrwa? Czy nie mogłybyśmy śledzić poszukiwań trzymając się blisko radiotelefonów straży przybrzeżnej? Molly mówi, że mają łączność ze wszystkimi szalupami.

- Mia, przestań gadać...

- Twoja matka potrzebuje spokoju. Ty zresztą też - wtrącił Johnny.

- Nie trzeba nam ani rad, ani obrońców uciśnionych - zgromiła go jadownicę Mia.

Mary spojrzała na córkę ze smutkiem.

- Sean Ryan ryzykuje życiem dla twojego dziadka.

- Widać ma tak samo nieczyste sumienie jak jego syn.

- Dostyc tego. Skoro nie wytrzymujesz napięcia, wróc do domu, ale nie wyzywaj się na Ryanach! Całkowitą odpowiedzialność za to, co się stało, ponosi ten szaleniec, mój ojciec.

- Może umrzeć!

- Nikt mu nie kazał się upijać i wypływać w morze w czasie burzy.

- Jak możesz być tak cyniczna, mamó? - Mia była przerażona i wściekła.

- Jestem tak samo zrozpaczona jak ty, ale nie próbuję zwalić winy na kogoś innego albo ziać nienawiścią po to, żeby mniej cierpieć.

- Ale Johnny Ryan...

- Miej tyle przyzwoitości, żeby nie mieszać osobistych pretensji do tej

historii - syknęła Mary.

Johnny przysunął się instynktownie do Mii.

- Nie ma w tym nic osobistego, proszę pani. Pani córka ma na myśli pewne wczorajsze nieporozumienie.

- Między wami nie ma miejsca na nic innego, jak tylko nieporozumienia i kłopoty.

Nadejście O'Shei uniemożliwiło mu jakąkolwiek odpowiedź. Policjant ujął za ramiona obie kobiety i zaprowadził je do przyczepy straży przybrzeżnej.

Wiatr, światła, pomruki tłumu - koszmar trwał aż do trzeciej nad ranem. Przez cały ten czas Mary i Mia przeżywały na przemian lęk i nadzieję. Johnny siedział w milczeniu obok nich, Molly zaś co chwila wchodziła i wychodziła, by sprawdzić, czy są jakieś dobre wieści. Po niekończącej się serii gorączkowych „ciągle nic” Mary poprosiła ją niezbyt grzecznie, żeby przestała biegać bez sensu w tę i z powrotem: niech siada albo zostanie na zewnątrz i przysłuchuje się gadaniu obiboków.

Dochodziła trzecia, gdy gwar tłumu nagle ucichł, po czym rozległ się złowieszczy, coraz głośniejszy ryk karetki pogotowia.

Johnny podniósł się nienaturalnie powoli.

- Wyjdę na chwilę. Wy zostańcie tutaj - dodał szybko widząc, że Mary i Mia zamierzają zrobić to samo.

Wrócił po pięciu minutach razem z funkcjonariuszem O'Shea. Z szalupy dotarła wiadomość, że odnaleźli Tortona i zabrali go do łodzi.

- Mój ojciec miał rację - powiedział Johnny z podziwem i niedowierzaniem. - Był pod występem skalnym, cały i zdrowy.

Przechodzili właśnie przez kolejną turbulencję. Stewardesa udała się na ogon samolotu, po czym wróciła tyłem, przytrzymując się rozpostartymi ramionami oparcie foteli, aby sprawdzić, czy wszyscy pasażerowie zapięli pasy.

Kiedy znalazła się w odległości kilku kroków, Mii wydało się, że dostrzega w jej wzroku pytanie i lekki niepokój.

- Wszystko w porządku? - zapytała stewardesa.

Mia skinęła głową posyłając jej najbardziej uspokajający uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć. Najwyraźniej jednak to nie wystarczyło.

- Potrzebuje pani czegoś? - nalegała stewardesa.

- Nie, dziękuję. - W rzeczywistości czuła się okropnie, lecz zwykły cukierek, szklanka wody albo poduszka z pewnością nie pomogłyby jej pozbyć się lęku, który ścisnął ją w środku niczym stalowa obręcz.

„Mia, słyszałaś? Odnaleźli go, wszystko z nim dobrze!” Głos Johnny’ego, ręce, które nią potrząsają.

Tamtej nocy obręcz zniknęła. Czuła tak wielką ulgę i szczęście, że mogłaby pofrunąć.

Dziadek Torton wysiadający zuchwale z szalupy i odpychający pomocną dłoń Seana Ryana, wiwatujący tłum, tłoczący się wokół rybacy... Przez dwa następne dni ich dom przypominał świątynię: mieszkańcy wioski przychodzili się przywitać, przynieść dary, posłuchać, dotknąć cudem ocalałego. Torton znów był na fali - okazał się odważnym marynarzem, który stawił czoło burzy, bohaterem.

Podczas gdy Mary odnosiła się do jego chwały szorstko i obojętnie, Mia miała wrażenie, jakby złapała Pana Boga za nogi. Ludzie ich lubili, przestali spychać na margines, ponadto odbyła z Johnnym długą rozmowę i wyjaśnili sobie, co było do wyjaśnienia. Przede wszystkim jednak dziadek powrócił do życia. Od jak dawna nie widziała go tak pewnego siebie, gadatliwego, butnego?

To były piękne dni, pomyślała Mia. Lecz pewnego poranka próg ich domu przekroczyła Lillibeth Ryan i...

Mia odwróciła się do okna i głęboko wciągnęła powietrze. Dosyć, wszystko skończone, pomyśl o czymś innym, powiedziała sobie w duchu zmuszając umysł do powrotu do tych wspaniałych dni, które poprzedziły okropne przebudzenie. Mama i Sean rozmawiający ze sobą po raz pierwszy bez nienawiści. Pełen uwielbienia i podniecenia wzrok Johnny’ego („Mój ojciec jest

po naszej stronie. Chcę się z tobą ożenić jak najszybciej!”). Dziadek, który dał się w końcu namówić na zaciągnięcie kredytu w banku i kupno nowej łodzi.

Żelazna obręcz zmieniła położenie. Powrót myślami do tamtych dni rozdzierał jej serce i był całkowitym idiotyzmem. Pewnego razu spytała dziadka Tortona, dlaczego nigdy nie chodzi na grób babci Betsey i dlaczego przestał niej mówić. „Bo umarłbym ze zgryzoty. Nic tak nie boli jak szczęście, które odeszło”, odpowiedział wzdychając. Szczęście opuściło ich dom z chwilą, gdy jego próg przekroczyła Lillibeth Ryan.

- Gdzie jest mój mąż? - spytała Lillibeth, wtargnąwszy bez pukania (w tamtych dniach drzwi były zawsze otwarte) i bez powitania.

Mary odstawiła żelazko i wolno podniosła wzrok znad stołu.

- Pani mąż tu nie mieszka.

- Dobrze wiem, że nie! Ale przychodzi tu się zabawiać razem z synem, bo to jedyny dom, w którym można znaleźć dwie chętne ładacznicę.

Mary przyskoczyła do niej jednym susem.

- Zamknij gębę i wynoś się stąd, bo jak nie, to...

- Myślisz, że przebywanie w domu pijaka i dwóch dziwek sprawia mi przyjemność? Zaraz sobie pójdę. Ale najpierw musisz wiedzieć, że...

Tym razem Torton bez słowa złapał ją za ramię i wyrzucił za drzwi.

- Wariat! Pijus! Nieudacznik! - wrzasnęła na odchodnym.

Nazajutrz rano Torton wstał o piątej. Leżąca w łóżku Mia słyszała szum wody, następnie skrzypienie pośpiesznie odsuwanych i zasuwanych szuflad, na koniec trzaśnięcie drzwi szafy. Nadstawiła ucha - cisza. Już miała zasnąć, kiedy rozbudził ją kolejny hałas: tym razem był to odgłos uderzających o ścianę drzwi wejściowych.

Poderwała się i zbiegła po schodach, aby przekonać się, że Torton właśnie wychodzi. Miał na sobie odświętny garnitur, jedwabną koszulę i krawat, który babcia Betsey podarowała mu na sześćdziesiąte urodziny.

- Dziadku, zaczekaj! Dokąd idziesz? - zapytała oszołomiona.

- Wracaj do łóżka. Muszę jechać do Baltimore.

- Do Baltimore? - Przyglądała mu się z rozdziawionymi ustami, jakby była niedorozwinięta.

- Właśnie. Uprzedź matkę, że mogę wrócić późno albo nawet przenocować w mieście.

- Można wiedzieć, co to za tajemnica?

- Żadna tajemnica, powiem ci wszystko, jak przyjdzie czas.

IX

Torton wrócił z Baltimore o ósmej wieczorem. Mary i Mia siadały właśnie do stołu, ale dziadek oznajmił, że nie jest głodny, i udał się prosto do swojego pokoju. Wyszedł stamtąd po pięciu minutach. Zdjął odświętny garnitur i włożył codzienne, workowate spodnie sztruksowe oraz flanelową koszulę.

- Wychodzę - powiedział krótko.

- Ależ dziadku, dopiero co...

- Nie jesteś jego aniołem stróżem - uciszyła ją stanowczo Mary. - Jeżeli ma ochotę zalewać robaka w pubie aż do świtu, droga wolna.

Torton zamierzał coś odpowiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami.

Tym razem wszakże Mary się myliła, ponieważ jej ojciec wrócił po dwóch godzinach zupełnie trzeźwy i w świetnym humorze. Nazajutrz rano przyszedł po niego O'Flaherty z wnukiem wdowy Dunne. Torton zaprowadził ich do szopy, gdzie przesiedzieli aż do południa.

Tak samo było po południu - tym razem O'Flaherty przybył w towarzystwie innego rybaka. Mijając szopę, Mary widziała, jak żywo rozprawiają.

Kiedy Mia wróciła ze sklepu, nadal spiskowali.

- Dziadek jest jakiś dziwny - rzekła do matki z niepokojem.

- Masz rację. Na pewno znowu coś kombinuje.

- Musimy z nim pomówić, powstrzymać go!

- Z wariatami i niemowlętami nie da się rozsądnie rozmawiać.

- Z tobą też nie - odrzekła gniewnie Mia. Cynizm matki stawał się nie do zniesienia.

Mary stanęła naprzeciwko niej i wzięła się pod boki.

- W porządku, porozmawiajmy rozsądnie. Twój dziadek jest w gorącej wodzie kąpany, do tego uparciuch. Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Myślisz, że ma ochotę nam powiedzieć, co zamierza zrobić? Nawet gdyby tak było, uważasz, że potrafiłybyśmy go od tego odwieść? Nie, moja panno! Dlatego lepiej nie psuć sobie krwi i być w pogotowiu, gdyby trzeba było go wyciągać z tarapatów.

Zachowanie Tortona stawało się z każdym dniem coraz bardziej dziwne i tajemnicze. Pojechał do Baltimore jeszcze dwukrotnie, w przerwie między wyjazdami zaś odwiedził go pewien dystyngowany jegomość koło pięćdziesiątki, z którym Torton rozmawiał przez dwie godziny, poprosiwszy wprzód córkę, aby zostawiła ich samych.

Zmuszona do opuszczenia domu, Mary wylądowała gniew maszerując dookoła wielkimi krokami. Potem jąła chodzić w tę i z powrotem - od mola do szopy, od szopy do ścieżki przecinającej pole jęczmienia, coraz szybciej i coraz bardziej nerwowo. Co, u licha, kombinował ojciec?

Ze strachu brakło jej tchu. Nie trać głowy, zatrzymaj się, uspokój - nakazała sobie. Ile kilometrów przeszła? Spostrzegłszy kamień na skraju ścieżki, usiadła. Zmęczyło ją to chodzenie, zamartwianie się, ciągła walka, samotność, nienawiść do samej siebie. Pomyślała z niepokojem: już dłużej nie mogę.

Tama puściła: ogarnęła ją fala bezbrzeżnego smutku. Pękł mur, którym dwadzieścia lat wcześniej odgrodziła się od rzeczywistości, i oto nagle nie potrafiła się ani bronić, ani nad sobą panować. Już dłużej nie mogę.

Podniosła głowę usiłując złapać oddech. Łzy zalewały jej oczy zasłaniając wszystko. Było tak, odkąd utraciła Seana Ryana. Od tamtej pory żyła jak ślepiec, nie widząc ani kwiatów, ani wschodów słońca, ani źdźbeł trawy, ani



pączków na drzewach. Za wzniesionym przez nią murem znajdował się jałowy, bezbarwny świat, ona zaś ciągle biegła ze spuszczoną głową. Teraz, gdy mur pękł, miała przed sobą tę samą pustynię. Już dłużej nie mogę.

Była skazana na bezustanną gonitwę. Dokąd biegnę? - myślała. Co ja robię? Czego się spodziewam? Nie miała żadnego celu. Nie miała żadnej nadziei. Dawno temu bez zastanowienia pozwoliła obcemu mężczyźnie wtargnąć we własne życie, on zaś odszedł ograbiwszy ją. Paul. Nie mogła przecież nienawidzić widma. Nie mogła też dłużej nienawidzić samej siebie. Oszołomiona, usiłowała zrozumieć, jak udało jej się przez tyle lat zmagać z twardym, godnym pożałowania losem.

- O ja nieszczęśliwa! - załkała chowając twarz w dłoniach. Nagle poczuła litość dla samej siebie i zaczęła wylewać wszystkie łzy, które powstrzymywała przez dwadzieścia lat.

- Dostyc już - usłyszała czyjś przygnębiony, bezsilny głos. Płacz Mary przeszedł w jęk wstydu. Sean... Od jak dawna tam stał i się jej przyglądał?

Zerwała się i otarła oczy opuszkami palców.

- Spadłam z roweru i uderzyłam się w...

- Widziałem, jak idziesz piechotą.

Mary oblała się szkarłatem.

- Przestań się we mnie wpatrywać. No i dobrze, płakałam. Skoro już ci to powiedziałam, możesz mnie chyba zostawić w spokoju?

- Na litość boską, skończ z tym. Chcę ci pomóc.

- Uratowałeś życie mojemu ojcu i to wystarczy. Jeszcze raz dziękuję. - Odwróciła się na pięcie i zamierzała odejść.

Sean powstrzymał ją chwytając za ramiona.

- Myślałem, że wojna między nami skończona.

- Wszystko skończone. Zabierz te ręce z łaski swojej.

- Nie mogę pozwolić ci odejść w ten sposób. Mary, doprowadzasz mnie do szału. Minęło już tyle czasu, a ciągle zadaję sobie pytanie, dlaczego cię

straciłem.

- Ożeniłeś się z Lillibeth O'Casey.

- Bo mnie już nie chciałaś! Zerwałaś nasze zaręczyny! - wrzasnął Sean. -  
Aż do ostatniej chwili błagałem cię niemal na kolanach, żebyś to jeszcze raz  
przemyślała!

- Potrząsnął nią gwałtownie, wpatrując się w jej twarz błędnym  
wzrokiem. - Zapomniałaś już, jak mnie zepchnęłaś z mola?

- To boli. Nie, nie zapomniałam!

- Należy mi się przynajmniej jakieś wyjaśnienie. Dlaczego to zrobiłaś?  
Dlaczego nagle przestałaś mnie kochać?

- Nigdy nie przestałam cię kochać! - zaprzeczyła żarliwie Mary. Widząc  
jego przerażoną minę, dodała pospiesznie: - Mam na myśli tamte czasy. Kiedy  
mi powiedzieli, że widziano cię z Lillibeth, czułam się tak, jakby cały świat się  
zawalił.

- Ona mnie nic nie obchodziła. Chciałem się tylko zemścić i wzbudzić w  
tobie zazdrość.

Mary spuściła oczy.

- Śmiertelnie mnie zraniłeś.

- Zraniłem tylko twoją przeklętą dumę!

- Nie, Sean. Bawiłam się z tobą w kotka i myszkę, bo chciałam wystawić  
na próbę twoją miłość. To dotyczyło wyłącznie nas; prowadziłam tę wojnę  
dlatego, że zależało mi na miłości doskonałej. Kiedy na scenę wkroczyła  
Lillibeth, nie było już o co walczyć.

- Uwielbiałem cię!

- Ale to, co było między nami, zostało... Jak ci to powiedzieć? Zbrukane,  
zbezczeszczone. - Przerwała na chwilę. - To, czy kochałeś

Lillibeth czy nie, nie miało znaczenia: tak czy inaczej zdradziłeś mnie z  
nią, pozwalając jej wtargnąć w naszą intymność.

Sean wydawał się głęboko zraniony.

- Powinnaś była wtedy mi to wyjaśnić.

- Wtedy sama jeszcze tego nie rozumiałam. Nienawidziłam cię i było mi źle.

- Ale szybko się pocieszyłaś.

- Po trzech latach! Wiesz, co znaczy umierać z samotności, zazdrości i gniewu przez trzy lata?

Sean zacisnął usta.

- Czuję się dokładnie tak samo od ponad dwudziestu lat - wycedził.

- Ty masz żonę i nie możesz zrozumieć, co to znaczy kłaść się w pustym łóżku... Nie mieć nikogo, kto by cię ogrzał, potrzymał za rękę, wysłuchał, porozmawiał z tobą... To jest prawdziwa samotność! Harować do późnej nocy, czekając, aż padniesz ze zmęczenia i nie będziesz się już bał myśleć i płakać... - Głos jej się załamał od szlochu.

- Mój Boże, Mary... - Sean stał nieruchomo, jak rażony gromem, z twarzą zastygłą w maskę niedowierzania i rozpacz. - Co ja ci zrobiłem najlepszego? Co sobie oboje zrobiliśmy?

- Już jest za późno nawet na odpowiedzi.

Była to jedna z wielu rzeczy, których nauczyła się od ojca, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Gdy wracała do domu, zdawało się jej, że słyszy jego głos: „Poznanie prawdy, kiedy nic już nie można poradzić, tylko niepotrzebnie wzmaga cierpienie”.

Gdzie się podziała mądrość Tortona? Co on, u licha, kombinuje? - zastanawiała się Mary przyspieszając kroku i z goryczą wracając do żalosalnej rzeczywistości. Musiała się tego dowiedzieć natychmiast, nim zupełnie oszaleje.

Kiedy dotarła do domu, w kuchni znajdowała się jedynie Mia.

- Gdzie dziadek?

- Dopiero co przyszłam, już go nie było. Widziałam cię z Seanem Ryanem na polu Bloomów, mamó.

- No i co z tego?

Mia odchrząknęła.

- Chciałam wiedzieć, czy powiedział ci o mnie i o Johnnym. Zamierzamy wziąć ślub na wiosnę.

- Nie opowiadaj głupstw!

- Mamo, mówię o moim życiu.

- Uważasz, że to odpowiednia chwila? Potrzeba wielu godzin, żeby tylko wymienić wszystkie problemy i kłopoty, jakie czekają cię w życiu z Johnnym Ryanem.

- Wymień choć jeden, z którym nie dalibyśmy sobie rady.

- Mia, powiedziałam, że to nie jest odpowiednia chwila - ucięła Mary.

- Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? Odkryłaś, co dziadek...

- Najbardziej optymistyczne przypuszczenie jest takie, że zamierza obciążyć hipotekę albo sprzedać dom.

Mia gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie ma takiej potrzeby! Johnny czeka na niego, żeby pójść z nim do banku; on podżyruje kredyt na zakup nowej łodzi.

- Dziadek jeszcze nigdy nic od nikogo nie przyjął. I wcale nie jest powiedziane, że zamierza kupić łódź. Równie dobrze mógł się zdecydować na opuszczenie Clearcove. Albo na założenie własnej firmy.

- Dziadek nigdy by nie wyjechał z wioski. A już na pewno nie sprzedałby domu, w którym mieszkał z babcią Betsey!

- Daj Boże, żeby to była prawda - mruknęła bez przekonania Mary. Zbyt dobrze znała dumę swego ojca i dopiero w tym momencie nagle uświadomiła sobie, co musiał oznaczać dla niego fakt, że cudem uniknął śmierci: upokorzenie, gniew, zniechęcenie.

Nikt też lepiej od niej nie wiedział, jak nieprzemysłane i katastrofalne w skutkach reakcje mógł spowodować taki stan ducha.

Tajemniczy ciąg wizyt i podróży skończył się dwa dni później. Torton wrócił z Baltimore po południu. Mary, sama w domu, odprasowywała właśnie

ubrania skrócone dla sklepu Garnerów, kiedy usłyszała, jak podśpiewując wchodzi do domu.

- Widzę, że jesteś w świetnym humorze, tato - stwierdziła z nieskrywanym sarkazmem. - Wygrałeś w bingo?

Zamiast odpowiedzieć, Torton rzucił na stół sporą kopertę.

- Zajrzyj do środka, kobieto!

Mary odsunęła kopertę i wróciła do prasowania.

- Teraz nie mam czasu.

- Do licha! Pamiętasz historię, którą opowiadała mama Betsey?

- Jaką historię?

- Tę o żebraczce Rosalind. Pewnej niedzieli, kiedy biegła do wioski, by prosić o jałmużnę pod kościołem, na skraju drogi zobaczyła kuferek pełen złota i drogich kamieni. Schyliła się, żeby go podnieść, ale po namyśle pobiegła dalej mówiąc sobie w duchu: „Jeśli się spóźnię, wierni zdążą wyjść z kościoła i moja jałmużna przepadnie!” - Torton zakończył opowieść ze śmiechem.

Mary jednak potrząsnęła głową, gdyż wcale jej to nie rozbawiło.

- Tato, nie rozumiem, co znaczy ta...

- Przestań prasować i otwórz kopertę!

- Czy jest w niej złoto i drogie kamienie? - spytała z ironią.

Torton znów wybuchnął śmiechem.

- Niewiele się pomyliłaś!

W głowie Mary zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek.

- Mój Boże, nie... sprzedałeś dom! - jęknęła w panice.

- Co za brednie opowiadasz? Ja miałbym sprzedać dom? - odparł obrażony Torton.

- To powiedz wreszcie, o co chodzi, zamiast owijać w bawełnę - burknęła.

- Właśnie podpisałem kontrakt z Oghamami z Baltimore, tymi od przemysłu rybnego - wymamrotał tonem dziecka, któremu zepsuto niespodziankę.

- Jaki kontrakt?

- Na spółdzielnię. Wchodzimy w to: ja, O'Flaherty i jeszcze czterech kolegów. Oghamowie dają nam dwie motorówki, a my im sprzedajemy wszystko, co złowimy - wyjaśnił lakonicznie.

Dzwonek alarmowy w głowie Mary znów zadźwięczał.

- Co na to pozostali rybacy?

- Jeszcze nic nie wiedzą! - rzekł szyderczo Torton, ponownie się ożywiając.

- Chcesz powiedzieć, że założyłeś spółdzielnię bez porozumienia z resztą rybaków?

- Mówiłem im o tym przez całe lata, ale nie chcieli słuchać.

- Nie to miałam na myśli!

- Niech ci będzie, z nikim nie rozmawiałem o moim projekcie. Tylko z O'Flahertym i z tamtymi czterema.

- Kiedy reszta się dowie, rozpęta się piekło! - zawołała z przerażeniem Mary.

- Możesz być tego pewna - roześmiał się Torton.

Jego córka była u kresu wytrzymałości.

- Wydaje ci się takie zabawne, że od tej pory będziesz musiał żyć wśród ludzi, którzy będą się odwracać na twój widok, będą tobą pogardzać, wypowiedzą ci wojnę? Robiłeś już różne numery, ale tym razem naprawdę przesadziłeś! Czy pomyślałeś choć przez chwilę o Mii? Wszyscy się od niej odsuną. Będą ją traktować jak trędowatą... - gniew zdawał się ją dławić.

Torton stanął przed nią groźnie. Z jego twarzy zniknął wszelki ślad wesołości.

- Posłuchaj mnie teraz uważnie, Mary. Odkąd zaczęłaś nosić Mię w brzuchu, patrzę, jak się zadręczasz, zaharowujesz i walczysz z ludzką złośliwością. Matka bękarta albo córka wariata, oto kim zawsze byłaś w Clearcove. To nie ja przesadziłem, a Lillibeth Ryan. Kiedy przyszła do naszego

domu, żeby cię obrażać, zrozumiałem, iż nie mogę dłużej przyglądać się temu z boku.

- Lillibeth mówi za...

- Nie przerywaj! Wcale mnie nie bawi świadomość, że od tej pory przyjaciele będą mną pogardzać i rozpocznie się wojna. Ale zanim mnie pochowają obok twojej matki, chcę zapewnić tobie i Mii dostatnie życie. Dzięki łodziom Oghamów i umowie z nimi będziemy mogli nie tylko wypływać w morze co wieczór nie bacząc na byle wiatr, ale także zapuszczać się na wody poza Clearcove. A wiesz, co to wszystko oznacza? Pieniądze, bezpieczeństwo, godność. To nie ja jestem szaleńcem idąc z postępem, ale wszyscy ci, co ciągle wyruszają na połów na starych wrakach i w imię tradycji godzą się na coraz większą biedę. Wkrótce zaczną przymierać głodem. Ale ja nie dopuszczę do tego, żeby podobny los spotkał moją córkę i wnuczkę.

- Wybacz mi, tato.

- Och, przestań przeproszać. Od dwudziestu lat nie robisz nic innego. Tak jakbyś musiała przeproszać za to, że żyjesz! I przestań płakać - dodał szorstko widząc, że oczy Mary napęłniły się łzami.

- Mówiłam straszne rzeczy.

- Gdybyś zachowała je dla siebie, nadal byś tak myślała.

- Kocham cię z całej duszy, tato.

- Nie musisz mi tego mówić. - Wziął ze stołu kopertę. - Teraz muszę rozdać kopie kontraktu moim wspólnikom.

- Kiedy ogłosisz wieść o spółdzielni?

- Nie muszę rozgłaszać wieści ani się tłumaczyć. Inni rybacy sami zrozumieją kiedy zobaczą powrót naszych łodzi.

- Jeżeli im nie powiesz, pomyślą, że czujesz się winny i że bałeś się stanąć z nimi twarzą w twarz! - sprzeciwiła się Mary.

- Niech sobie myślą.

- Pomów o tym chociaż z Seanem Ryanem! Zawsze był twoim

przyjacielem i ma duży wpływ na rybaków.

Torton uśmiechnął się gorzko.

- Był pierwszą osobą, której powiedziałem o moim projekcie. Proponowałem, żeby się do nas przyłączył.

Mary drgnęła.

- A co on na to?

- Nazwał mnie samobójcą i próbował mnie zniechęcić na wszelkie możliwe sposoby. Czy kiedykolwiek widziałaś, żeby Sean Ryan okładał kogoś pięściami, buntował się, dokuczał komuś, omijał prawo albo wyśmiewał się z ludzkich przesądów? Nie, Sean zawsze robi to, co robi stado. Stado pozbawiło go jaj.

- Rzucił wyzwanie wzburzonemu morzu, tato!

- Tylko dlatego, że na molu było trzysta osób, które go do tego zagrzewały i oklaskiwały. Na wojnie wielu mężczyzn zostaje bohaterami, bo nie mają odwagi sprzeciwić się rozkazom generałów.

Mary miała ochotę odpowiedzieć, że na wojnie jest także wielu zdrajców i tchórzy, ale była za bardzo niespokojna, by polemizować ze starymi prawdami ojca.

- Co dokładnie powiedział ci Sean Ryan, kiedy wspomniałeś mu o umowie z Oghamami?

- Poczęstował mnie jak zwykle tą samą gadką na temat indywidualizmu naszych rybaków i zamkniętej, nieufnej natury mieszkańców Clearcove. Potem przeszedł do wyliczania wszystkich konsekwencji, które jemu by napędziły stracha.

- Pod tym względem Sean się nie myli, tato. Aż się boję pomyśleć, co cię czeka.

- Niestety, ty i Mia też będziecie w to wmieszane. Najważniejsze to się nie dać i trzymać razem, dopóki burza nie ucichnie.

X



Wieść, że Torton O'Sullivan wszedł w spółkę z Oghamami, wprawiła mieszkańców Clearcove w osłupienie. Można było sądzić, że na wioskę spadło najgorsze nieszczęście. Przez dwa dni kobiety i mężczyźni tłumnie ściągali na molo, aby obejrzeć dwie motorowe łodzie rybackie, dostarczone z Baltimore i o niebo górujące nad starymi łajbami. Przystawali w milczeniu na kilka minut, jakby przyszli pożegnać się ze zmarłym, po czym odchodzili, zwalniając miejsce innym.

Po tej żałobnej niemocy rozpętało się prawdziwe piekło. Stary O'Sullivan zdradził Clearcove. Ostatni bastion w wojnie z postępem, krainę, której mieszkańcy - dumni, że nie mają dróg, fabryk, sklepów, samochodów i turystów - bronili niezmordowanie od wieków, wydano na pastwę przemysłu. Pieniądze Oghamów w krótkim czasie pociągną za sobą przemoc, konsumpcyjny model życia, przestępczość i napływ obcych.

Tego wieczoru, gdy Torton, O'Flaherty i pozostali czterej wspólnicy wypłynęli na połów nowymi łodziami, rybacy zgromadzili się w pubie. W klimacie niekontrolowanej złości i nienawiści zapadła decyzja o wypowiedzeniu wojny: należało za wszelką cenę oraz wszelkimi możliwymi sposobami powstrzymać wrogów Clearcove.

Sean Ryan wpadł do domu Mary niczym furia.

- Byłem pewien, że przekonałem twojego ojca, aby dał sobie spokój! Byłem pewien, że ty też nie pozwolisz na to szaleństwo! Dlaczego wtedy po południu nic mi nie powiedziałaś?

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam. A kiedy ojciec mi wszystko wyjaśnił, zrozumiałam jego racje.

- Jesteś tak samo szalona jak on - warknął Sean. - Ta spółdzielnia zrujnuje was wszystkich. Ludzie nie spoczną, dopóki was całkiem nie pokonają i nie zniszczą!

Mary spojrzała nań oczyma zwięzonymi w szparki.

- Nareszcie my też będziemy prowadzić wojnę. Przez całe życie

poddawaliśmy się bez walki.

- Skończ z tymi pięknymi słówkami. Dobrze wiem, że ty i Torton jesteście wystarczająco naiwni, by się łudzić, że zdołacie powstrzymać pancernik kijem od szczotki. A jaką broń ma twoja córka? Odizolują ją, zasypią obelgami i ukrzyżują. Doprowadzą do tego, że będzie się bała wystawić głowę za drzwi.

- Mia pochodzi z O'Sullivanów. My nie jesteśmy tchórzami jak ty.

- Pochodzi z O'Sullivanów tylko w połowie. Zapomniałaś już o tym skunksie, jej ojcu, który najpierw zrobił ci dziecko, a potem uciekł gdzie pieprz rośnie?

- Zawsze to lepiej niż chować się pod babską spódnicą i po dwudziestu pięciu latach jeszcze się trząść i chlipać ze strachu, tak jak ty!

Obudzona krzykami Mia zeszła do kuchni w chwili, gdy dłoń Seana gwałtownie spadła na policzek jej matki. Nim zdążyła ochłonąć z zaskoczenia, wyszedł trzaskając drzwiami.

- Wszystko słyszałam, mamó - powiedziała podchodząc bliżej. - Nie martw się o mnie. Cokolwiek mi zrobią, jestem O'Sullivanówna i się nie złamię.

\*

Naprawdę w to wierzyłam, pomyślała Mia wracając pamięcią do tamtego odległego wieczoru. Byłam rzeczywiście gotowa stracić Johnny'ego i pracę, znieść z godnością pogardę i obelgi wszystkich mieszkańców Clearcove.

Nic nie zdołałoby przebić pancerza silnej woli i dumy, którym odgrodziła się od ich podłości. Niestety, źle oceniła sytuację, gdyż to nie jej Clearcove wypowiedziało wojnę. Mimo że nie szczędzono jej ciosów, prawdziwym wrogiem publicznym był jej dziadek.

Ledwie to sobie uświadomiła, pancerz pękł. Chociaż na ciosy zadawane jej samej odpowiadała z nadludzką siłą, urazy dosięgające dziadka wprawiały ją w rozpacz i panikę.

Wojna zamieniła się w masakrę, kiedy kolejnych sześciu rybaków

zgłosiło chęć przystąpienia do spółdzielni, z Baltimore zaś przybyła trzecia motorówka. Torton potraktował to wydarzenie jako zapowiedź ustępstw ze strony wroga. Było to jego pierwsze zwycięstwo. Pełen nadziei i uniesienia, poszedł do pubu, aby uczcić zyskanie nowych wspólników, a to, iż nie został powitany jak zwykle stekiem wyzwisk i wrzasków, uznał za jeszcze jedno zwycięstwo. Po trzecim piwie wpadł w euforię; zaczął chełpliwym, uroczystym tonem wychwalać pod niebiosa zalety spółdzielni: mają najlepiej wyposażone i najbezpieczniejsze łodzie na całym wybrzeżu, mogą wypływać w morze gwizdząc na kaprysy pogody i nikomu wcześniej nie udało się wyciągnąć tylu ryb naraz. Oghamowie płacą słono i z ręki do ręki. Na co więc tamci czekają, zamiast rzucić stare wraki i przyłączyć się do nich?

Kiedy Sean Ryan podszedł do jego stołu z niespokojną miną i poprosił, by przestał, zewsząd dobiegły protesty:

- Pozwól mu skończyć! To, co mówi, jest ciekawe!

Tamtej nocy Torton wrócił do domu tanecznym krokiem.

- Możliwe, że ich przekonałem! Wreszcie i dla nas wieją pomyślne wiatry! - oznajmił czekającej nań wnuczce.

Początkowo Mia wyglądała na zakłopotaną. Kiedy jednak dziadek opowiedział jej ze szczegółami, co się wydarzyło w pubie, ona również nabrała pewności, że po tak wielu upokorzeniach i przykrościach w końcu coś się zaczyna zmieniać na lepsze. Oboje popełnili błąd traktując jak zwycięstwo lub sygnał łaskawości losu ową tajemniczą ciszę, która w okrutny sposób poprzedza każde nieszczęście, jakby chciała, aby stało się jeszcze bardziej bolesne i zaskakujące.

Dwa dni później wszedłszy na pokład łodzi Torton spostrzegł, że pokrywa luku została wyjęta z zawiasów - ktoś włamał się do chłodni. Był to pierwszy z długiej serii aktów sabotażu, które stawały się coraz częstsze i coraz groźniejsze. Praktycznie co wieczór któraś z łodzi motorowych spółdzielni musiała zostać na lądzie. Wysłani przez Oghamów policjanci natknęli się na mur milczenia, a

Torton i O'Flaherty nie mieli innego wyjścia, jak na przemian pełnić straż, aby nikt nie mógł się zbliżyć do łodzi, kiedy były przycumowane.

Niestety, także wśród współników zapanowała nieznośna atmosfera rozdrażnienia i napięcia. Którejś nocy doprowadzony do ostateczności chłopak Dunne'ów zamiast wsiąść na pokład wraz z O'Flahertym, porąbał siekierą kadłuby sześciu łodzi z Clearcove. Następnej nocy z zemsty podłożył ogień pod szopę narzędziową Tortona. Na szczęście Mary i Mia, które nie zdążyły się jeszcze położyć spać, poczuły swąd dymu i zdołały ugasić pożar, nim się rozprzestrzenił.

Nowy proboszcz, człowiek energiczny i krewki, na próżno potępił z ambony tę falę bezsensownej przemocy. Rozpętała się wojna, nad którą nikt już nie potrafił zapanować i której nikt nie był w stanie powstrzymać.

Mia spędzała całe dni w pustym sklepie, zadrezczając się poczuciem winy i umierając z niepokoju. Wbrew naciskom miejscowych rodzin Molly nie chciała wyrzucić jej z pracy, toteż kobiety za karę wręczały listy zakupów staremu Hope'owi, który wieczorem dostarczał sprawunki z Barley Cove autobusem wożącym uczniów do szkoły.

Ukradkowe spotkania z Johnnym, które podczas pierwszych tygodni stanowiły dla Mii jedyne pocieszenie, stały się teraz okazją do wyczerpujących pyskówek i ostrych kłótni. Johnny dopatrywał się przyczyny piekła, jakie rozpętało się w Clearcove, w nieodpowiedzialnym zachowaniu Tortona, Mia zaś broniła zaciekle dziadka utrzymując, że mimo przechwałek jest on najrozsądniejszym i najbardziej trzeźwo myślącym człowiekiem w wiosce.

Pewnego wieczoru bezdzietna Ethel zobaczyła ich razem i pobiegła czym prędzej powiadomić o tym swą przyjaciółkę Lillibeth Ryan. Lillibeth natychmiast dopadła obojga - Mia czuła, że choćby żyła sto lat, nigdy nie zapomni wulgarnych, gwałtownych słów, jakie na nich spadły.

Johnny nawet nie drgnął. Czuł się jak sparaliżowany pod wpływem tej potwornej sceny i nagle zrodzonej nienawiści do matki. O tym jednak Mia miała

się dowiedzieć później. Kiedy Lillibeth rozkazała jej zostawić Johnny'ego w spokoju, odparła lodowato:

- Wolałabym umrzeć, niż odezwać się choćby jednym słowem do takiego tchórza i maminsynka jak pani syn.

Wspominając napaść Lillibeth i zerwanie z Johnnym, Mia czuła tę samą obojętność, co wtedy. Te ostatnie z długiej serii udręk i złościwości nastąpiły w okresie, gdy zdążyła się już oswoić z przykrą rzeczywistością. Bywały chwile, kiedy ów brak reakcji wydawał jej się niepokojącym sygnałem kapitulacji - czyżby udało im się ją upodlić, pozbawić wszelkiej godności? Teraz rozumiała, że wcale tak nie było.

W ciągu tych bolesnych tygodni bez przerwy zamartwiała się o dziadka. Nie potrafiła skupić się na niczym, co go nie dotyczyło.

Torton nie przestrzegał żadnego rozkładu zajęć. Przychodzili wychodził bez wyjaśnień, z przerażonym i otępiałym wyrazem twarzy, często też Mary słyszała, jak rozmawia sam ze sobą. Kiedy Bloomowie przestali dostarczać Mary wełnę, Hope zaś stanowczo odmówił przywożenia dla niej zakupów z Barley Cove, Torton wybuchnął szlochem.

- Doprowadziłem was do ruiny!

Mia była wstrząśnięta - nigdy nie widziała, żeby płakał, nawet po śmierci uwielbianej żony.

Wkrótce jednak nastąpiło coś, co rozpałiło w niej iskierkę nadziei i co po raz kolejny uznała za niespodziewany cud, zamiast zdać sobie sprawę, że to zwykła cisza poprzedzająca katastrofę.

Sean Ryan zwołał na molo rybaków z Clearcove. Najpierw głośno potępił rzeź, która grozi im wszystkim ruiną, po czym oświadczył wszem wobec, że dla niego wojna się skończyła. O'Sullivan wprawdzie popełnił błąd, ale przecież nie można oczekiwać, że będzie za niego płacił w nieskończoność.

- Od tej chwili - zakończył Sean wśród ogólnego osłupienia - ktokolwiek poważy się nadal niszczyć łodzie spółdzielni, będzie miał ze mną do czynienia.

Rybacy pojęli, że nie żartuje, kiedy ujrzeli jego syna Johnny'ego na molu. Reperował ostatnią z motorówek, które padły ofiarą zaciekłości sabotażystów.

Po wielu tygodniach bezczynności i pełnienia warty Torton i jego wspólnicy mogli wreszcie wypłynąć w morze i powrócić z chłodniami pełnymi ryb.

Zwodnicza cisza skończyła się cztery dni później. Sean szykował się właśnie do połowu, kiedy do domu wpadła zdyszana Donna, siostrzenica jego żony. Widziała, jak dwóch mężczyzn zbliża się do jego łodzi i majstruje przy niej przez jakiś kwadrans. Mieli przy sobie paczkę, którą tam zostawili.

Była to prymitywna, lecz zabójcza bomba z zapalnikiem czasowym. Gdyby Donna nie przechodziła przypadkiem obok mola, godzinę po wypłynięciu w morze Sean wyleciałby w powietrze wraz ze swoją łodzią.

- O'Sullivanowie wiecznie tylko ściągają na nas nieszczęście! - wrzasnęła Lillibeth. - Nie wystarczy ci, że już raz ryzykowałeś życie, żeby wyłowić tego starego wariata? Musiałeś jeszcze stanąć po jego stronie?

- Nie Torton jest tu wariatem.

- Bronisz go, bo jest ojcem tej twojej dziwki! A twój synalek robi to samo, bo u nich w domu jest jeszcze jedna kurewka w sam raz dla niego!

- Dość tego, Lillibeth!

- O tak, rzeczywiście dość tego. Sama wiem, co mam robić! Zniszczę wszystkich przeklętych O'Sullivanów!

Nieszczęście przyszło bez jej pomocy. Nazajutrz po zamachu Torton został wezwany do Baltimore przez członka zarządu firmy Oghamów; spółdzielnia okazała się dla nich chybioną inwestycją i źródłem kłopotów, dlatego też czują się w obowiązku odebrać motorówki i unieważnić kontrakt.

- Podjęliście zobowiązanie i musicie go dotrzymać!

- zaprotestował energicznie Torton. - Podam was do sądu i...

- Nie wygra pan - przerwał mu spokojnie kierownik. - To wasza spółdzielnia nie wywiązała się z obietnicy dostarczenia minimalnej

gwarantowanej ilości ryb dziennie. W ostatnim tygodniu przywoziliście mniej niż dwie trzecie.

- Bo uszkodzono nam łodzie!

- Jeżeli wytoczy nam pan proces, będziemy się domagać odszkodowania.

Daliśmy wam trzy cacka, a dostajemy w zamian trzy dziurawe krypy.

- Co ja teraz zrobię? - spytał kompletnie przybity Torton.

- Niestety, to pański problem. Mam nadzieję, że znajdzie pan najlepsze rozwiązanie - dodał życzliwie tamten, wstając i wyciągając do niego rękę.

Kiedy Torton wrócił z ostatniej podróży do Baltimore, miał trupio bladą twarz.

Och, dziadku! Mia rozpląkała się na to wspomnienie. Zostało ci wystarczająco dużo życia, żebyś mógł się przyglądać katastrofie.

Po wściekłości współników, zdradzie O'Flaherty'ego, gorzkiej beczynności, udręce wywołanej groźbą nędzy i drwinach mieszkańców wioski nadeszła pora, by go wreszcie dobić.

Przedsiębiorstwo rybne Oghamów, mimo wszystko wężąc dobry interes, wysłało do Clearcove dwóch ludzi, aby skontaktowali się z Seanem Ryanem i jego synem Johnnym. Zaproponowali utworzenie nowej spółdzielni, która zrzeszałaby wszystkich rybaków. Oghamowie nie tylko zobowiązali się dostarczyć motorówki, ale zamierzali kupić stary magazyn naprzeciw móla i po remoncie przekształcić go w stocznię. Po krótkim rozeznaniu Johnny Ryan okazał się najlepszym kandydatem na jej kierownika.

Ojciec i syn słuchali w milczeniu. W końcu Sean oznajmił:

- W imieniu wszystkich zgadzamy się przedyskutować waszą propozycję pod jednym warunkiem: Torton O'Sullivan i jego współnicy mają wejść do tej nowej spółdzielni na tych samych prawach, co wszyscy inni.

Początkowo wywołało to ostrą reakcję: Oghamowie nie chcą mieć nic wspólnego z tą bandą młodych zapaleńców i starych pijaków. Kiedy wszakże wysłannicy z Baltimore pojęli, że Sean i Johnny nie zmienią zdania, zmiękli:

porozmawiają z dyrekcją; jeśli Sean osobiście poręczy za dawnych wspólników, może coś się da zrobić...

Sean zrozumiał, że sprawa została załatwiona i pobiegł zanieść dobrą nowinę Tortonowi. Zamiast odpowiedzi Torton zadał mu cios pięścią, po czym wyszedł trzaskając drzwiami.

- Twój ojciec się wkurzył! - powiedział Sean, gdy minęły zaskoczenie i ból.

Mary stanęła naprzeciw niego drżąc z wściekłości.

- Jak śmiałeś upokorzyć go do tego stopnia? Przez całe lata walczył z waszym uporem i tępotą, a kiedy wreszcie zdecydował się założyć spółdzielnię, rzuciliście go na kolana.

- Nie ja! Ja...

- Jesteś taki sam jak inni. To mój ojciec utorował drogę spółdzielni, to on przekonał Oghamów. A teraz przychodzisz dać mu jałmużnę z tego, co do niego należy, z tego, za co zapłacił łzami i krwią! Powinieneś się wstydić!

Torton wrócił godzinę po wyjściu Seana i nie wyściubiał nosa z domu przez dziesięć dni. Był milczący, nieruchomy, zamknięty w sobie.

Jedenastego dnia wydawało się, że się otrząsnął.

- Muszę iść - oznajmił Mary.

Była czwarta po południu.

Syn Maude powiedział później detektywowi O'Shei, że widział Tortona około siódmej na plaży pod latarnią morską. Siedząc na skale, starzec przyglądał się rybakom wypływającym w morze łodziami nowej spółdzielni.

Szalona Iris wyznała matce, że zauważyła z okna, jak stary O'Sullivan wsiada do małej opuszczonej łódki. Kobieta powtórzyła detektywowi tę wiadomość „tylko dla ścisłości”, jak to sama określiła, jej córka zapewniała bowiem również, że widuje Matkę Boską.

Tym razem jednak się nie myliła. Przeprowadzone przez policję z Barley Cove śledztwo wykazało, że Torton odcumował starą łódkę, po czym wypłynął



w morze.

Dwa dni później odnaleziono wrak, który ugrzązł między dwiema skałami. Pod ławką na dziobie leżała pusta butelka po whisky. Potrzeba było kolejnych dwóch dni, aby wyłowić ciało Tortona. Mia miała atak hysterii, a wszyscy mieszkańcy wioski wzięli udział w pogrzebie dręczeni poczuciem winy i wyrzutami sumienia.

Mary usłyszała, jak jakaś kobieta stojąca za nią szepcze:

- Ale żeby tak odejść, nie zostawiwszy nawet listu do córki i wnuczki...

Nigdy nie zaznają spokoju.

Miała ochotę się odwrócić i powiedzieć tej kobiecie, że nie ma racji. „Muszę iść” - takie były przecież ostatnie słowa jej ojca. To tak, jakby powiedział: nie mogę zostać. Jestem zmęczony życiem.

- Teraz wreszcie możesz spokojnie odpocząć - szepnęła rzucając na trumnę pierwszą garść ziemi.

XI

Pewnego wieczoru, przed zaśnięciem, mała Mia zapytała babcię Betsey:

- Kim była mama mamy twojej mamy?

Babka potrząsnęła głową.

- Co za pytanie! Ta kobieta umarła tak dawno temu, jakby nigdy nie istniała!

To wyłuskane z przeszłości zdanie przyszło jej do głowy w chwili, gdy dokładała starań, by nie wracać myślami do dni tragedii. Odpychając tchórzliwie wspomnienie dziadka, odsuwała go coraz bardziej od świata żywych.

Splotła ręce na brzuchu. To straszne, że jej syn i prawnuk Tortona miał rosnąć nic nie wiedząc o nim, o ojcu matki swojej matki, który odszedł tak dawno, jakby nigdy nie istniał... Na tym właśnie polega prawdziwa śmierć. Co roku stajemy się coraz bardziej martwi, aż w końcu pochłania nas ciemność zapomnienia. Nie pozwolę na to, dziadku, załkała cicho. Ostrożnie, drżąc ze strachu powróciła do przerwanych wspomnień. Wszystkie rany otworzyły się na

nowo i zaczęły krwawić.

Kiedy grabarz Michael chwycił łopatę i zaczął zasypywać grób, Mia otworzyła usta chcąc nabrać powietrza, po czym wydała z siebie syczący, przenikliwy dźwięk. Mary i Molly czym prędzej podtrzymały ją za ramiona, lecz wyrwała się rzeżąc, z plecami wstrząsanymi szlochem.

Sean Ryan odsunął obie kobiety i chwyciwszy Mię w talii, siłą wyciągnął ją z cmentarza. Później dowiedziała się od Molly, że Sean kazał Johnny'emu wezwać lekarza z Barley Cove.

Mia zachowała w pamięci mgliste wspomnienie kilku godzin, które nastąpiły później: rozbierającej ją i kładącej do łóżka matki, odgłosu kroków, ukłucia igły wbijanej w żyłę. Gdy ocknęła się z długiego odrętwienia, jako pierwszy przyszedł jej na myśl dziadek. Nigdy go już nie zobaczy. Nigdy więcej nie usłyszy jego głosu, jego kroków, jego opowieści... Wybuchnęła głośnym płaczem.

- Musimy być silne, Mia - powiedziała twardo matka.

- Nigdy się z tym nie pogodzę, nigdy! Dlaczego to zrobił? Nie pomyślał o nas?

- Kochał nas z całej duszy. Niech ci to wystarczy.

- Jeśli to prawda, jak mógł sprawić nam tyle bólu?

- Mia, dziadek przez całe życie troszczył się o tych, których kochał. W pewnym momencie jego rozpacz stała się silniejsza niż miłość, jaką miał dla nas i po raz pierwszy i jedyny w ciągu siedemdziesięciu lat pomyślał tylko o sobie. Odszedł. Sprawił nam cierpienie. Czy nie potrafisz mu wybaczyć? Chcesz, żeby przewracał się w grobie przez całą wieczność?

- Och, nie... - szepnęła przybita.

- Więc przestań się zadręczać i zacznij żyć.

Żony obu braci Bloomów udały się do Mary z zapasem wełny do gręplowania, stary Hope przywiózł z Barley Cove igły, barwniki i nici, Molly zamówiła u niej ogromne ilości podpłomyków i kruchego ciasta, których

domagały się kobiety z wioski. W ciągu kilku dni dom zappełnił się ubraniami do przeróbki i materiałami do szycia. Nieoczekiwany dobrobyt, jaki spłynął na Clearcove wraz z motorówkami Oghamów, ułatwił pozbycie się wyrzutów sumienia w stosunku do biednej Mary.

Mia była przejęta grozą widząc, że matka przyjmuje to wszystko i jeszcze dziękuje.

- Kiedy Sean Ryan przyszedł dać dziadkowi jałmużnę, dostał pięścią - powiedziała zimno.

- Musimy z czegoś żyć.

- Za taką cenę?

- Możemy za darmo wsiąść do dziurawej łódki i utonąć jak dziadek.

- Czasami cię nienawidzę, mammo!

Mary zacisnęła usta zmuszając się do przerwania kłótni. Brak zrozumienia ze strony Mii był częścią ceny, jaką musiała zapłacić, gdyby się zaś przyznała, jaki gwałt musiała sobie zadać chcąc złamać własną dumę, tym samym udaremniłaby swe olbrzymie poświęcenie. Nie poddała się tak jak Torton tylko dlatego, że upokorzenie wydawało jej się o wiele łatwiejsze do zniesienia niż ruina własnej córki. Bez Mary Mia nie miałyby przed sobą żadnej przyszłości i żadnej nadziei.

- Czy słyszałaś, co powiedziałam, mammo? Próbuję z tobą porozmawiać - w głosie Mii była rozpacz.

- Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia i otrzymałaś odpowiedź.

Kres zemsty i nędzy przywiódł rodziny z Clearcove do sklepu Molly. Listy zakupów wydłużały się z każdym dniem, toteż kumoszki przystawały przed ladą, aby poplotkować. Po raz kolejny właśnie dzięki ich rozmowom Mia usłyszała nieprawdopodobną wiadomość: Johnny Ryan nie zgodził się nie tylko na prowadzenie prac remontowych w starym magazynie, ale również na zarządzanie małą stoczną, która miała w nim powstać.

Bezdzietna Ethel oznajmiła, że jego ojciec boi się reakcji Oghamów.

Potem rzucając Mii znaczące spojrzenie dodała:

- Lillibeth jest dosłownie wściekła, bo myśli, że za tym szaleństwem kryje się pewna dziewczyna.

Nazajutrz, gdy Johnny wszedł do sklepu pod pretekstem kupienia skrzynki piwa, zdumiało go, że Mia przestała odwracać się doń plecami i nie uciekła na zaplecze na jego widok, jak to miała w zwyczaju. Tym razem nie tylko się z nim przywitała, ale zapytała:

- Możesz zostać na chwilę? Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

- Powiesz mi to wieczorem. Przyjdę po ciebie, jak skończysz pracę - odparł natychmiast. Zanim Mia zdążyła się sprzeciwić, Johnny opuścił sklep. Cokolwiek miała mu do powiedzenia, była to niespodziewana okazja, aby się z nią spotkać i z pewnością nie zamierzał jej zmarnować.

W obawie, że Mia może go wystawić do wiatru, pół godziny przed porą zamknięcia sklepu podjechał motorem do skrzyżowania, z którego prowadziły tylko dwie drogi do jej domu.

- Bałeś się, że ucieknę? - spytała bardziej z goryczą niż z ironią Mia, ledwie się zrównali.

- Od kilku tygodni nic innego nie robisz.

- Dziwi cię to? Myślisz, że po tym, co ty i cała reszta zrobiliście mojemu dziadkowi, chciałabym mieć z tobą cokolwiek wspólnego?

- Wydałaś na mnie wyrok, nawet mnie nie wysłuchawszy. Ja nie jestem całą resztą, Mio.

- Jesteś jeszcze gorszy od nich, bo źle postąpiłeś, a teraz chcesz uspokoić własne sumienie zgrywając bohatera!

Johnny popatrzył na nią, jakby spadła z księżyca.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Mówię o starym magazynie. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać: dlaczego odrzuciłeś ofertę Oghamów?

- To moja sprawa.

- Twoja matka ma inne zdanie na ten temat! Pozostałe kobiety z Clearcove też! - wybuchnęła Mia. - Wszyscy uważają, że poświęcasz się dla mnie i że to ja cię do tego namawiam, że ja cię doprowadzam do ruiny.

Johnny przymknął oczy.

- Chcesz usłyszeć prawdę? Byłem przeciwny nowej spółdzielni od samego początku. Powiedziałem otwarcie, że praca dla Oghamów po tym, jak rzuciliśmy na kolana Tortona O'Sullivana, który się na to odważył, jest zwykłym łajdactwem. A kiedy mój ojciec uznał, że Torton będzie szczęśliwy przyłączając się do nas i widząc, że wreszcie się przekonaliśmy do jego dobrych pomysłów, nazwałem go naiwniakiem. Nie można przecież śmiertelnie zranić człowieka, a potem wyobrażać sobie, że tak po prostu się podniesie. Fakty potwierdziły, że się nie myliłem. Ale w przeciwieństwie do innych ja nie mam wyrzutów sumienia. Kochałem i szanowałem twojego dziadka, bo był wielkim człowiekiem. A dzisiaj nie pracowałbym dla Oghamów, nawet gdybym miał umrzeć z głodu. Nie robię tego dla ciebie ani tym bardziej po to, żeby czuć się bohaterem.

- Ale twoja matka uważa, że... - Mia przerwała nagle, czując się patetyczna i małostkowa. W istocie słowa Johnny'ego poruszyły ją do głębi i nie wiedziała, co powiedzieć ani - tym bardziej - co o nim myśleć. Uraza i złość, jakie podsycala w sobie przez całe tygodnie, naraz okazały się bezpodstawne i chociaż rozsądek dawał jej zupełną pewność, emocjonalnie nie potrafiła tego jeszcze zaakceptować. Chciała nadal nienawidzić Johnny'ego, ponieważ nienawiść stanowiła jedyną barierę, jaką mogła się od niego odgradzić, jedyną obronę przed niedozwolonym uczuciem. Nie była gotowa, by postawić wszystko na jedną kartę. Bała się ponownie stawić czoło problemom, które udało jej się już pokonać.

- Moja matka nie ma z tym nic wspólnego, Mia.

Drgnęła na dźwięk głosu Johnny'ego. Zdążyła zapomnieć, że sama zaczęła rozmowę na temat Lillibeth i plotek rozsiewanych przez bezdzietną

Ethel. Wzruszyła ramionami i tylko kiwnęła głową.

- Chciałaś ze mną rozmawiać wyłącznie o starym magazynie?

Mia znów kiwnęła głową.

- Nie wiedziałam o twoim oporze wobec nowej spółdzielni. Krótko mówiąc, nie mogłam sobie wyobrazić, że bierzesz w obronę mojego dziadka.

- Kiedy chodzi o mnie, zawsze wyobrażasz sobie najgorsze - odparł Johnny z goryczą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Każdą plotkę, jaka ci wpadnie do ucha, traktujesz jak świętą prawdę. Bez cienia wątpliwości uznałaś, że jestem zdolny do nieprawdopodobnie podłych uczuć i czynów. Takie masz o mnie zdanie?

- Nie było nic nieprawdopodobnego w tym, że chciałaś mnie rzucić, by się nie sprzeciwić matce, albo wyjechać z Clearcove, albo zaręczyć się z kuzynką Donną, jeżeli to masz na myśli - zaprotestowała Mia.

- Jezu... A więc nic nie zrozumiałaś! Byłem jeszcze dzieciakiem, kiedy zacząłem się za tobą uganiać i od tamtej pory jesteś obecna w każdym moim śnie, we wszystkich planach, w każdej myśli. Żyję wyłącznie dla ciebie. Nikogo na świecie nie kocham bardziej niż ciebie. Panicznie się boję cię utracić, bo wiem, że wtedy moje życie stałoby się rozpaczliwe i puste, jak życie ojca. Gdybyś czuła choć jedną dziesiątą tego, co ja czuję, po prostu śmiałybyś się z plotek i tyle.

- Naprawdę tak bardzo mnie kochasz? - szepnęła z niedowierzaniem Mia.

Zamiast odpowiedzieć, Johnny zamknął ją w namiętym uścisku.

\*

Głos kapitana oznajmił, że zbliżają się do lotniska Fiumicino, ale z powodu natężenia ruchu będą musieli pozostać w powietrzu oczekując na swoją kolej lądowania. Mia odruchowo sprawdziła, czy ma zapięte pasy, po czym ponownie pograżyła się we wspomnieniach, pragnąc zamknąć na zawsze tamtą część życia, nim rozpocznie nową.

Pozostało jej około dziesięciu minut, aby odtworzyć na nowo ekscytujący i straszny okres, który nastąpił po spotkaniu z Johnnym. Co się z nami stało? - rozmyślała zdumiona. Dlaczego nagle wszystko obróciło się przeciwko nam? Czy nieprzychylny los przeznaczył nam taką samą klęskę, jaką ponieśli nasi rodzice, czy też wpadliśmy w pułapkę identycznych błędów?

Tamtego wieczoru kochali się po raz pierwszy. Kiedy Johnny wypuścił ją z objęć i chwycił za rękę, aby poprowadzić w gęstwinę różaneczników, Mia poszła za nim z bijącym sercem. Odkrycie jego głębokiej miłości stłumiło wszelkie wahania. Niespodziewanie poczuła się przepelniona dumą i siłą, wdzięcznością i miłością. Gdy pochylił się nad nią patrząc jej w oczy z bezgranicznym uwielbieniem, zarzuciła mu ręce na szyję i uśmiechnęła się promiennie.

- Ja też cię kocham...

W czasie dwóch lat spędzonych w Galway Johnny przeszedł inicjację seksualną w ramionach młodej robotnicy żyjącej w separacji z mężem, a następnie miał romans z córką swojej gospodyni, starszą od niego o sześć lat. Jednak w chwili gdy wszedł w ciało Mii, wstrzymał oddech ogarnięty nieznanym poczuciem lęku: oto dokonuje się ich przeznaczenie. W akcie tym była niemal religijna podniosłość: On i Mia będą już zawsze razem, a jej uroda i niewinność po wsze czasy rozświetlą jego życie.

Chwycił jej twarz w dłonie.

- Kocham cię aż do bólu... Nie powinnaś się bać.

- Nie boję się.

Kiedy skończyli się kochać, ekstatyczna podniosłość zmieniła się w radość, wzruszenie, pragnienie zwierzeń i snucie planów na przyszłość. Mia wróciła do domu o dziesiątej wieczorem i nim matka zdążyła ją zbesztać za spóźnienie czy spytać o jego powód, oznajmiła bez ogródek, że właśnie widziała się z Johnnym i że postanowili się pobrać jak najprędzej.

Pełen determinacji ton córki dał Mary jasno do zrozumienia, że jest to

decyzja, wobec której jakikolwiek sprzeciw czy dyskusja trafiłyby w próżnię.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - wycodziła tylko przez zęby.

W rzeczywistości postanowienie Mii zrodziło się z nagłego porywu serca. Po raz pierwszy w życiu poczuła bowiem ten rzadki rodzaj szczęścia, którego nie mać żaden smutek, lęk, obawa przez rychłym końcem. Tygodnie, które potem nastąpiły, tylko wzmogły ów stan błogości. Dni miały jej na oczekiwaniu spotkania z Johnnym, kiedy zaś kładła się spać, przeżywała na nowo każde słowo, każdy gest, każdy uścisk. Jej umysł był całkowicie pochłonięty myślami o Johnnym, każdy nerw jej ciała napinał się łowiąc upajające doznania szczęścia.

Pewnego wieczoru, wróciwszy do domu, zastała Seana Ryana. Siedział w kuchni naprzeciw Mary i oboje rozprawiali o czymś z ożywieniem. Kiedy ją ujrzeli, z miejsca umilkli.

- Johnny mi powiedział, że chce się z tobą ożenić - zaczął Sean, odchrząknąwszy - i właśnie przyszedłem, żeby porozmawiać o tym z twoją matką.

- Czy jest jakiś problem? - spytała z głupia frant.

- Tylko ten jeden - odparowała Mary.

Sean zganił ją wzrokiem. Potem zwrócił się do Mii:

- Wszystko da się rozwiązać, jeśli nie będziecie się tak spieszyć.

- Molly wynajmie nam dwa pokoje nad sklepem. Poza tym mamy środki, żeby się utrzymać.

- Prawdziwy problem stanowi Lillibeth, maleńka. Moja żona nigdy nie pogodzi się z waszym ślubem i nigdy nie zaakceptuje cię jako synowej. Jeśli jednak oznajmicie jej tę nowinę teraz, będzie to dla niej straszny wstrząs. Przeżywa właśnie trudny okres i...

Mary przerwała mu z niesmakiem:

- To zawsze będzie dla Lillibeth straszny wstrząs. A jeśli Mia wyjdzie za Johnny'ego, Lillibeth zmieni jej życie w piekło.



- Piekłem byłoby życie bez Johnny'ego, mamó.

- Porozmawiamy, kiedy nie będziesz mogła dłużej znieść nienawiści i złości jego matki.

Sean westchnął.

- Musisz przekonać Johnny'ego, żeby się nie spieszył.

- To niczego nie zmieni. Sam pan dopiero co powiedział, że Lillibeth nigdy się z tym nie pogodzi!

- Ale przynajmniej nie poczuje się zdradzona i przyparta do muru.

Kiedy Mia powtórzyła Johnny'emu, co mówili Sean i Mary, obruszył się: nic go nie obchodzi, jak zareaguje Lillibeth. Przecież już postanowili, że zaraz się pobiorą, i tak zrobią, a jeśli ktoś ośmieli się zadrzeć z jego żoną, już on mu pokaże, gdzie raki zimują.

Johnny powiedział dokładnie to, co Mia gorąco pragnęła usłyszeć. Słowa te wzmogły jeszcze, jeśli to w ogóle możliwe, jej uwielbienie dla niego. U boku Johnny'ego czuła się bezpieczna i spokojna, jak za życia babci Betsey. Czy mógł istnieć lepszy mężczyzna niż on?

Czar prysł dwa dni później, o godzinie trzeciej po południu. Pogodzona już z szalonym pomysłem przyspieszonego ślubu, Mary udała się do sklepu, aby obejrzeć te dwa pokoje na piętrze, które Molly miała wynająć nowożeńcom, i ustalić, jakie meble i zasłony należy tam przewieźć.

Johnny i Mia weszli akurat w chwili, gdy przypatrywała się zatroskana zielonkawym plamom od wilgoci pokrywającym sufit i licznym pęknięciom w tynku na ścianach.

- Nie po to wychowywałam Mię, żeby teraz mieszkała w zatęchłej norze - powiedziała zaczepnie, zwracając się do Johnny'ego.

- Już się dogadałem z murarzem Finneyem i jego synem. Przyjdą jutro rano, a za dwa dni to mieszkanie będzie wyglądało zupełnie inaczej - odrzekł ze spokojem chłopak.

Schodzili już na parter, kiedy z góry dało się słyszeć dziwne trzeszczenie,

jakby dziesiątki myszy, które wychynęły nie wiadomo skąd, zaczęły chrupać drewnianą podłogę i tynk.

Johnny podniósł głowę i z przerażeniem zobaczył, że podpierająca sufit belka chwieje się. Mocno odepchnął Mię, drugą ręką pociągnął Mary w kierunku drewnianej balustrady.

- Uciekajmy stąd szybko! - krzyknął. Jego głos zginął w ogłuszającym huku i w jednej chwili zewsząd posypał się gruz i pył.

Kiedy Mia otworzyła oczy, ujrzała matkę z nogami przygniecionymi belką i pochylającego się nad nią Johnny'ego.

- Proszę się nie ruszać, Mary, zaraz poszukam czegoś, żeby to podnieść. Ty też się nie ruszaj, Mia, bo reszta się zawali!

Gruz zatarasował zarówno drzwi wejściowe do sklepu, jak i wychodzące na drogę okno. Jakimś cudem wszystkich troje odrzuciło na jedyną wolną od zwalisk przestrzeń, pod ścianę nośną podtrzymującą schody. Tylko szybkiemu refleksowi Johnny'ego należało zawdzięczać, że spadająca belka nie zmiażdżyła Mary całkowicie. Na próżno wszakże usiłował wyswobodzić jej nogi.

- Zaraz nadejdzie pomoc, musi pani być dzielna - powtarzał bezustannie.

Z godzin, jakie potem nastąpiły, Mia pamiętała jedynie ryk syren, ogłuszający warkot koparek, wzburzony głos Johnny'ego przeplatający się z głosami mężczyzn, którzy z zewnątrz pytali o wskazówki, ciche jęki matki, ostry zapach kurzu, który drapał w gardle.

Minęła siódma wieczór, gdy w tarasującym wejście zwale gruzu pojawiła się wyrwa. Oślepiający błysk światła, krzyki ludzi, podniecony głos:

- Gotowe, jeszcze tylko dziesięć minut i was wyciąg niemy!

Jako pierwszy wszedł lekarz z Barley Cove, który natychmiast zrobił Mary zastrzyk. Dopiero gdy środek znieczulający zaczął działać, przystąpiono do podnoszenia przygniatającej ją belki.

Mia nie chciała wyjść bez matki, Johnny został więc razem z nią obejmując ją ramionami i szepcząc jej do ucha słowa otuchy. Cegły z sufitu i

poręcz schodów utworzyły coś w rodzaju poduszki między belką a nogami Mary, dzięki czemu złagodziły siłę uderzenia. Właśnie tak powiedział lekarz, gdy usunięto belkę. Pierwszą osobą, jaką zobaczyła Mia po wyjściu na zewnątrz, był Sean Ryan. Podbiegł do nich i pochylił się niespokojnie nad noszami, na których leżała ciągle nieprzytomna Mary.

- Ty zajmij się Mią - powiedział do syna - a ja pojedę z nią do szpitala.

Kapitan oznajmił, że zaraz wylądują na lotnisku Fiumicino. Po chwili kobiecy głos przypomniał, aby pasażerowie nie rozpinali jeszcze pasów bezpieczeństwa i pamiętali o bagażu podręcznym.

Mia jednak ciągle słyszała inny głos, głos Lilibeth. Kiedy karetka zniknęła za kościołem, kobieta podeszła do niej i Johnny'ego.

- Właśnie się dowiedziałam, że zamierzacie się pobrać - powiedziała dziwnie cicho. Po czym zwracając się do Mii dodała: - Nie sądzę, żeby ci się to udało.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej, mamó - odparł niemal wesoło Johnny. Nawet Mia poczuła nieznaczną ulgę: nie było żadnych scen, obelg ani gwałtownych reakcji, których wszyscy tak się obawiali.

Niedługo potem Lilibeth usiłowała popełnić samobójstwo i przez dwa tygodnie walczyła ze śmiercią.

Dość tego, nie chcę więcej o tym myśleć, powiedziała sobie w duchu Mia odpinając pasy. Samolot właśnie wylądował.

Stewardesa wskazała ją koleżance szepcząc:

- Zaczynam się martwić, ta dziewczyna płakała przez całą podróż.

## XII

Biorąc przykład z innych pasażerów, Mia postawiła torbę i walizkę na wózku i popychając go w kierunku wyjścia, podniosła wzrok nad barierkę, za którą tłoczył się tłumek oczekujących krewnych i przyjaciół. A jeśli Michele Russo zapomniał o jej przyjeździe? Jeśli czeka na nią przy innym wyjściu? Jej obawy trwały krótko, wśród oczekujących spostrzegła bowiem kobietę około

czterdziestki, trzymającą tabliczkę, na której drukowanymi literami napisane było jej imię i nazwisko.

Kobieta rozpoznała ją, zanim Mia zdążyła dać jej jakiś znak, i podeszła do niej z uśmiechem.

- Mia O'Sullivan? Michele Russo polecił mi zaopiekować się panią. Jestem jego asystentką.

Prowadząc Mię do wyjścia oznajmiła, że ma na imię Anna, i zaproponowała, by mówiły sobie po imieniu. Spytała, czy Mia miała dobrą podróż, po czym wyjaśniła, że Michele musiał zostać w Monachium, aby skończyć pracę. Miał wrócić za trzy dni.

Mia poczuła się jednocześnie uspokojona i onieśmielona przy tej eleganckiej zdecydowanej kobiecie. Anna zaparkowała niedaleko, a zręczność, z jaką wycofała samochód i poradziła sobie z labiryntem jednokierunkowych ulic, dodatkowo wzmogła skrępowanie Irlandki. Mia po raz pierwszy widziała kobietę za kierownicą. Po raz pierwszy także znalazła się wśród tylu światła, takiego hałasu, takiego ruchu; w porównaniu z Clearcove Rzym leżał na innej planecie.

Na widok domu Michele Russa dosłownie zapało jej dech. Zdarzało jej się wcześniej przeglądać czasopisma dotyczące wystroju wnętrz, a w nich zdjęcia luksusowych mieszkań, nigdy jednak nie była w takim domu. Kosztowne dywany, błyszczące żyrandole, ogromne białe kanapy, zdobiące meble srebra i wiszące na ścianach obrazy sprawiły, że poczuła się niczym Alicja w Krainie Czarów. Nigdy dotąd nie widziała niczego podobnego, toteż była jednocześnie zachwycona i wystraszona.

Anna, jakby czytając w jej myślach, posłała jej wesoły uśmiech:

- To jeden z najpiękniejszych i najczęściej fotografowanych domów w Rzymie; we mnie też budzi skrępowanie!

Następnie wyjaśniła, że gdy tylko wróci Michele, znajdą dla niej jakieś samodzielne lokum - hotel albo umeblowane mieszkanie.

- Na razie możesz zamieszkać w pokoju gościnnym.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu - bąknęła Mia.

- Ale jaki tam kłopot! Michele nie ma i teraz ty tu jesteś panią. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwróć się do filipińskiego małżeństwa, które zajmuje się domem. Oczywiście ja też jestem do twojej dyspozycji; możesz wykorzystać te trzy dni bezczynności, żeby poznać Rzym.

- Jesteś bardzo miła, Anno.

Anna pomogła jej się urządzić w pokoju gościnnym (który w rzeczywistości przypominał raczej luksusowy miniapartament), po czym wyszła.

- Zostawiam ci mój numer telefonu, zadzwoń! - powiedziała obejmując ją na pożegnanie, jakby były starymi przyjaciółkami.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Mia stanęła na środku Pokoju, obezwładniona przerażającym poczuciem nierealności. Gdzie się znajduje? Co ona tu robi?

Naprawdę miała wrażenie, jakby wystrzelono ją na inną planetę - wszystko, co ją otaczało, było obce, a świadomość, że nie może uciec, wywoływała u niej panikę.

- Muszę się wykapać - powiedziała na głos, chwytając się tej konkretnej potrzeby, aby odnaleźć kontakt z rzeczywistością. Drzwi łazienki, które Anna jej przed chwilą wskazała, były czymś realnym. A także nagły atak mdłości, które ogarnęły ją wraz z ukłuciem bólu. Pobiegła do ubikacji. Ostry smak wymiocin, który podrażnił jej gardło, był pierwszym, chociaż nieprzyjemnym, doznaniem tego dnia, które definitywnie przywróciło ją do rzeczywistości. Jestem w ciąży, muszę odpocząć, muszę jak najszybciej znaleźć jakiegoś ginekologa, muszę zadzwonić do Molly, aby zawiadomiła matkę, że dotarłam na miejsce - pomyślała między jednym skurczem żołądka a drugim.

Kiedy atak minął, rozebrała się i wzięła kąpiel. O wpół do siódmej filipińska służąca zapukała do jej pokoju, pytając, czy podać kolację. Mia

poprosiła o wytłumaczenie, jak się połączyć z Irlandią, następnie porozmawiała przez chwilę z Molly i udała się do jadalni. Włożyła koszulę nocną i usiadła przed telewizorem, lecz natychmiast go wyłączyła, nie rozumiała bowiem ani słowa. Zamierzała wziąć jakąś książkę z regału, ale wszystkie także były po włosku. Będzie musiała się nauczyć tego języka, pomyślała kładąc się do łóżka.

Kiedy wszakże zgasiła światło, poczuła straszliwą gorycz; nie mogła snuć żadnych planów, cała jej przyszłość zależała bowiem od tego, jak Michele Russo przyjmie wiadomość o jej ciąży. I wcale niewykluczone, że będzie musiała wrócić do Clearcove wraz z synem Johnny'ego. Ewentualność ta budziła w niej lęk. Nie mogąc zasnąć) z sercem ciężkim jak głaz, jęła na nowo przeżywać wydarzenia, które doprowadziły do jej ucieczki z Irlandii.

\*

Mary miała poprzeczne złamanie kości piszczelowej i strzałkowej lewej nogi i została zoperowana dwa dni po wypadku. Piątego dnia poruszyła niebo i ziemię, żeby tylko wyjść ze szpitala, Johnny zabrał ją więc do domu swoją nową furgonetką. Dotarli do Clearcove po południu, wkrótce też przyjechał Sean pragnący sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Mia zaparzyła herbaty anyżowej i właśnie wlewała ją do filiżanek, gdy czyjś zdyszany głos zawołał obu mężczyzn.

Johnny wychylił się przez drzwi.

- To Donna - oznajmił rozdrażniony i zarazem zaskoczony. Dziewczyna wpadła zasapana do pokoju.

- Prędko! Ciocia Lilibeth umiera!

Sean zerwał się na równe nogi.

- Co, u diabła...

- Ledwie wyszedłeś, połknęła wszystkie pigułki na serce - wyjaśniła niemal triumfalnie Donna. - Ethel znalazła ją leżącą w kuchni i na szczęście...

Johnny przerwał jej z poszarzałą twarzą:

- Chodź, tato.

Dwie godziny później Mary i Mię odwiedziła Molly, od której dowiedziały się, że Lillibeth umieszczono na oddziale intensywnej terapii szpitala w Baltimore.

- Hope niedawno przywiózł jej dwie buteleczki naparstnicy. Opróżniła obydwie - powiedziała Molly wzdychając. - Zdaniem Ethel, niewielkie są szanse, że się wylize.

Lillibeth pozostała nieprzytomna przez dwa tygodnie, w wiosce zaś nie mówiono o niczym innym. Johnny przyszedł się zobaczyć z Mią dopiero dziesiątego dnia. Była to króciutka wizyta, która napelniła ją goryczą: Johnny nie tylko ślaniał się ze zmęczenia, ale wydał jej się zmieszany, nieszczerzy, daleki. Kiedy zaczęła się domagać wieści o jego matce, ograniczył się do opryskliwej odpowiedzi, że nie ma żadnych wiadomości.

- Zachowujesz się tak, jakbym to ja ją zabiła! - Mia w końcu nie wytrzymała.

Johnny spojrział na nią lodowato.

- Na szczęście moja matka jeszcze nie umarła.

Lillibeth wyszła ze śpiączki i została przeniesiona na zwykły oddział w dniu, kiedy Finneyowie, uprzątnąwszy sklep z gruzu i okruchów tynku, urządzili niewielkie pomieszczenie, w którym Molly mogła na nowo prowadzić swą działalność.

Mia pospieszyła jej z pomocą. Kiedy wycierały ocalałe regały i przenosiły z piwnicy produkty żywnościowe i towary nadające się do sprzedaży, Molly oznajmiła, że porozumiała się ze szwagrem i postanowiła wszystko sprzedać.

- Musiałabym wydać całe oszczędności, żeby zapłacić murarzowi - wyjaśniła - a w moim wieku to by była głupota. Czas, żebym się przeniosła do mojej siostry Jennifer i żebyśmy wspólnie cieszyły się tym, co nam jeszcze zostało z życia.

Ów męczący dzień dobiegał wreszcie końca, gdy do sklepu weszła bezdietna Ethel i rozejrzawszy się ciekawie wokoło, popatrzyła na Mię.

- Życiu Lilibeth już nic nie grozi - powiedziała obojętnie. - Jej pierwsze słowa dotyczyły Donny. Ta dziewczyna czuwała przy niej dzień i noc razem z Johnnym, zupełnie jak córka...

Przerwała na chwilę, po czym nie spuszczać wzroku z Mii dodała z porozumiewawczym uśmiechem:

- Jeśli to prawda, że nieszczęścia zbliżają ludzi, można się spodziewać, że niedługo usłyszymy zapowiedzi!

„Zawsze myślisz o mnie to, co najgorsze. Mogą ci naopowiadać niestworzonych rzeczy, a ty i tak uwierzysz” - wspomnienie słów Johnny’ego zagłuszyło złośliwy głos Ethel i uchroniło Mię od ataku paniki. Lecz kiedy wróciła do domu, opadły ją wątpliwości.

- Musisz porozmawiać z Johnnym - powiedziała Mary, jakby czytała w myślach córki.

- Boję się. Po tym, co się stało, nie jest sobą.

Mary wsparła się na kuli.

- Stało się tylko tyle, że jego matka dopuściła się podłej próby szantażu.

- Nieprawda! Lilibeth wołała raczej umrzeć, niż patrzeć, jak Johnny żeni się ze mną. I gdyby Ethel nie zjawiała się w samą porę, teraz naprawdę by nie żyła.

- Bzdury. Lilibeth umówiła się z Ethel, że pojedą do Barley i połknęła tabletki na krótko przed jej przyjściem, będąc pewna, że zdążą ją uratować. Gdyby ta plotkara nie przystanęła po drodze, żeby pogadać z Maude, skończyłoby się na płukaniu żołądka.

Mia patrzyła na nią w osłupieniu.

- Skąd o tym wiesz?

- Sean mi powiedział. Przyszedł tu wczoraj, żeby porozmawiać o tobie i Johnnym. Mówi, że tylko ty możesz go przekonać, żeby nie dał się podle zaszantażować przez Lilibeth.

- Johnny nie jest takim cynikiem jak ty i Sean! I nie potrafi nienawidzić



własnej matki tak jak wy! - zawołała z pogardą Mia.

- Tylko ja jej nienawidzę. Sean uważa, że jego żona stała się taka z jego winy i im jest bardziej okrutna i nikczemna, tym on czuje większą litość i tym większe go dręczą wyrzuty sumienia.

- To mu nigdy nie przeszkadzało, żeby się za tobą uganiać.

- Wczoraj zrobił to po raz ostatni. Zobaczymy się dopiero na twoim ślubie z Johnnym, jeżeli nie będziecie tak szaleni, żeby sobie zmarnować życie, jak myśmy to zrobili - zakończyła ze smutkiem Mary.

\*

Byliśmy szaleńcami czy ofiarami?- zastanawiała się po raz nie wiadomo który Mia, rozpamiętując przeszłość. Poddalam się, kiedy wszystko już było stracone, czy wszystko się popsuło, bo przestałam walczyć? Po raz pierwszy osądzała własne postępowanie, zamiast obwiniać Lillibeth, Johnny'ego albo los. Po namyśle odsunęła od siebie wątpliwości. Nie, to nie ona popełniła błąd pod wpływem zranionej dumy albo złości. Jeśli chciała zerwać z przeszłością, musiała mieć tę pewność i natychmiast uwolnić się od żalu i poczucia winy. Nie było czego żałować, niczego nie można było powstrzymać ani zmienić. Mia podłożyła ręce pod głowę. Przypominała sobie to, co się wydarzyło, nie dając się zwieść emocjom ani wątpliwościom. Tylko suche fakty.

Postanowiwszy rozmówić się z Johnnym, wysłała po niego Molly. Johnny odparł, że przyjdzie, jak tylko będzie mógł. Mia czekała na próżno przez dziesięć dni. Pewnego wieczoru, wychodząc ze sklepu, ujrzała go stojącego na przystanku, na którym zatrzymał się właśnie autobus z Barley Cove. Już miała podejść, gdy drzwi się otworzyły i wysiadła obładowana pakunkami Donna. Johnny pospieszył, by jej pomóc.

Nazajutrz, w niedzielę, Lillibeth wkroczyła do kościoła wsparta na ramionach Johnny'ego i Donny. Kilka dni później podekscytowana i uszczęśliwiona Molly przekazała jej wielką nowinę: Johnny Ryan chce kupić jej dom. Z banku w Barley przybyli dwaj urzędnicy, którzy dokładnie obejrzel

obydwa piętra, zręcznie omijając i przeskakując nieusunięte jeszcze gruzy.

Stary O'Flaherty opowiedział Mary, że Johnny uzyskał kredyt na odbudowę domu, a także na zakup trzystu metrów ziemi położonej za budynkiem i stanowiącej własność Bloomów. Młodszy z braci Bloomów, który przyniósł Mary wełnę do przędzenia i farbowania, potwierdził tę wiadomość, po czym dodał, że stocznia

Mahoneya z Galway przyznała młodemu Ryanowi fundusz na budowę hangaru. Będzie w nim naprawiał i projektował łodzie. Szwagier Molly wyjaśnił, że na miejscu sklepu stanie hurtownia sprzętu rybackiego.

Zbombardowana tyloma wieściami naraz, Mia miała mieszane uczucia. Najsilniejszymi z nich okazały się rozczarowanie i złość: nie dość że Johnny trzymał wszystko w tajemnicy przed nią, to jeszcze zabrakło mu uczciwości, aby jej powiedzieć, że wykluczył ją ze swych planów i ze swego życia.

Niestety sprawy miały się gorzej, niż przypuszczała. Któregoś wieczoru, gdy wracała do domu na rowerze, spostrzegła Johnny'ego wyłaniającego się zza krzaka niczym wystraszony królik.

- Musimy porozmawiać - szepnął, jakby bał się własnego głosu.

Spojrzała na niego kpiąco.

- Słucham.

- Jestem w rozpacz, Mia.

- A to dlaczego? Matka cieszy się dobrym zdrowiem, interes idzie pełną parą, ponadto wyzbywszy się kaprysu poślubienia bękarta, masz się ożenić ze złotą dziewczyną. Jestem doprawdy ciekawa, co...

- Przestań.

- Niby dlaczego? Tak bardzo boisz się prawdy? - Mia zdążyła się już rozpędzić i nikt nie mógłby jej powstrzymać. - A może to mnie się boisz? Możesz być spokojny, wcale nie mam zamiaru robić ci scen, szantażować cię ani trzymać siłą takiego osobnika jak ty.

Johnny chwycił ją za nadgarstki.

- A teraz pozwól mi mówić. W moich uczuciach nic się nie zmieniło. Nadal jesteś moją kobietą i to ja powinienem walczyć, bo chcę się z tobą ożenić, chcę spędzić z tobą życie... Ale nie mogę niszczyć życia matce. Po prostu musimy odłożyć nasze plany na później.

- Bzdury! Twoja matka nawet za tysiąc lat nie zgodzi się, żebyśmy byli razem. I zawsze znajdzie fiolkę tabletek albo butelkę jakiejś ohydnej trucizny, żeby cię nastraszyć i wzbudzić w tobie poczucie winy.

- Jesteś niesprawiedliwa - powiedział z urazą Johnny.

- A ty jesteś nieszczerzy do obrzydliwości. Twierdzisz, że walczysz o nas... A w jaki sposób? Pozwalając wodzić się za nos przez matkę? Nadskakując Donnie? Trzymając się ode mnie z daleka w obawie, że jakaś plotkarka zobaczy nas razem i poleci do nich z jęczorem?

- Nie po to cię szukałem, żebyś mnie teraz obrażała.

- Oczywiście, że nie! Szukałeś mnie, żeby zamydlić mi oczy paroma miłymi słówkami, udobruchać mnie, uspokoić własne sumienie, a potem pójść swoją drogą.

- Jeżeli tak właśnie myślisz, nie mamy o czym mówić.

Po tym pełnym goryczy spotkaniu wydarzenia następowały w błyskawicznym tempie. Z braku lepszych pomysłów Sean błagał Mary, aby przemówiła córce do rozumu. Gdy zaś Mary odrzekła, że jej córka podjęła jedyną rozsądną decyzję, zrywając z chłopakiem, który jest całkowicie podporządkowany matce i zupełnie bezwolny, Sean począł przeklinać nieszczęsną dumę O'Sulliva-nów.

- Mia popchnie Johnny'ego do ożenku z inną kobietą, tak samo jak ty postąpiłaś ze mną. Wszyscy będą nieszczęśliwi!

Mary zacisnęła powieki.

- To nie nasza wina, że Ryanowie zamiast leczyć nerwy albo próbować rozwiązać swoje problemy, w te pędy się żenią - odparła z sarkazmem.

Jednakże mijały kolejne tygodnie, a Mary wciąż nie mogła wymazać z

myśli tego, co powiedział Sean. Między Mią i Johnnym wybuchła wojna, w której ku swemu przerażeniu rozpoznała własną chęć zadawania ran i własne cierpienia. Wtedy zdecydowała się wkroczyć. Pewnego wieczoru zaczęła się na Johnny'ego w miejscu, gdzie rozpoczynała się droga wiodąca do domu Ryanów, po czym spytała bez ogródek, czy uczepił się spódnicy Donny po to, aby zrobić Mii na złość, czy też dlatego, że Mia przestała go w ogóle obchodzić.

- To moja sprawa - nastroszył się Johnny - i nie wydaje mi się, żebym był pani winien wyjaśnienia.

- W takim razie ja ci coś wyjaśnię, chłopcze. Jeśli ciągle ci zależy na mojej córce, skończ te gierki i czym prędzej jej to powiedz.

Spostrzegła, że oklapł jak przedziurawiona piłka.

- To jej przestało już na mnie zależeć.

- Pytałeś ją o to?

- Za każdym razem, gdy się mijamy, odwraca głowę i udaje, że mnie nie widzi.

- Więc zawołaj ją głośno. Przecież nie może udawać, że nie ma uszu.

Na nieszczęście interwencja Mary zamiast położyć kres waśniom, jeszcze bardziej oddaliła od siebie dwoje młodych. Podniesiony na duchu Johnny natychmiast zdobył się na odwagę, aby porozmawiać z matką o swojej przyszłości u boku Mii. Reakcja Lillibeth była tak silna, że doprowadziła do ataku dusznicy. Wezwany pilnie lekarz zrobił jej zastrzyk i przepisał pigułki, oznajmił jednak, że najlepszym lekarstwem dla Lillibeth byłoby unikanie zmęczenia i stresów.

Przerażony, zgnębiony i pełen poczucia winy, Johnny wymamrotał przed Mią te same co zwykle zapewnienia o miłości, które jemu samemu wydały się żalodne. Mia spodziewała się ostatecznych ustaleń, toteż pokryła własne rozczarowanie obsypując go ognistymi obelgami i rzucając mu w twarz, że już go nie kocha i tak naprawdę nigdy go nie kochała.

Dwa tygodnie później Molly wyprowadziła się z mieszkania nad sklepem.

Mia przez cały dzień pomagała jej pakować walizki. Kiedy skończyły i zeszły na dół, natknęły się na Lillibeth i Donnę.

Lillibeth mówiła właśnie coś do murarza Finneya, lecz spostrzegłszy Molly, przerwała.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy rzuciły okiem na piętro? - spytała. Nie czekając na odpowiedź i zerkając z ukosa na Mię, dodała: - Mój syn i Donna będą tutaj mieszkać, więc roboty muszą być ukończone przed ślubem.

Kiedy Mia zobaczyła po raz pierwszy Michele Russa, wpadła w panikę. Miała wrażenie, że wszystko to jest nierzeczywiste. Było tak, jakby czas cofnął się w zawrotnym tempie o dwadzieścia lat, każąc jej przeżywać spotkanie jej rodziców. Zatrzymała rower i głęboko zaczerpnęła powietrza. Mężczyzna był wysoki, szczupły i miał jasne włosy. Nosił wytarte dżinsy i rozpiętą koszulę. Pochyliwszy się nad maską samochodu, wpatrywał się w mapę. Zaraz spojrzyna na mnie i zapyta, którędy do Ballydehob. Ja mu odpowiem, że pomylił drogę, a on spyta, czy jest tu jakiś hotel, bo siedzi za kierownicą od tyłu godzin...

Uświadomiła sobie, że mężczyzna przestał się wpatrywać w mapę i przygląda jej się z rozbawieniem.

- Hej, nie jestem duchem! - roześmiał się.

- Zgubił pan drogę do Ballydehob? - spytała odruchowo.

- Wcale nie zgubiłem drogi. Ale jeżeli pani tu mieszka, chętnie za panią pojedę - roześmiał się znowu. W jego spojrzeniu pojawił się błysk podziwu, który przyprawił ją o rumieniec.

- Właśnie jadę do domu - odparła natychmiast.

- Proszę, niech pani chwilę zaczeka. Jest tu pani na wakacjach czy...

- Pochodzę z Clearcove.

Mężczyzna podszedł bliżej i podał jej rękę.

- Proszę wybaczyć, że się nie przedstawiłem. Nazywam się Michele Russo i jestem fotografem.

- Ja się nazywam Mia... Mia O'Sullivan.

Powracając myślami do tamtego spotkania ciągle nie mogła pojąć, co ją skłoniło, aby zostać i wdać się w rozmowę, zamiast odejść.

Michele oznajmił, że jest Włochem i przyjechał do Barley Cove do przyjaciół. Opowiedziawszy jej o swojej pracy, zapragnął dowiedzieć się czegoś na jej temat. Ile ma lat? Co robi? Z kim mieszka? Wydawał się słuchać z zainteresowaniem i zanim się pożegnali, powiedział, że bardzo chciałby znowu ją zobaczyć. Może nazajutrz w tym samym miejscu? Czy ma coś przeciwko temu?

Czując, że ponownie się czerwieni, tym razem wszakże z powodu własnej zuchwałości, Mia odparła, że nie, nie ma nic przeciwko temu. Chociaż nie umiałaby wyjaśnić przyczyn, instynkt podpowiadał jej, że zainteresowanie tego mężczyzny jej osobą było poza wszelkim podejrzeniem i że mogła mu zaufać.

Po następnym spotkaniu upewniła się co do tego całkowicie. Michele był człowiekiem wykształconym, okazywał jej szacunek i zrozumienie, toteż ani się spostrzegła, jak zaczęła mu opowiadać o dziadkach, matce, ojcu, którego nigdy nie знаła, o swoim samotnym dzieciństwie, o niespełnionej miłości do Johnny'ego.

Mia nigdy nie miała przyjaciółki. Dopiero teraz odkryła upajające uczucie ulgi, mogąc zwierzyć się komuś, kto jej nie osądzał, nie sprzeciwiał się, lecz po prostu słuchał ze zrozumieniem. Widywali się niemal codziennie i Mia z niecierpliwością oczekiwała tych spotkań, wynajdując rozmaite preteksty, aby tylko wyrwać się z domu. Zostawiali samochód i wspólnie zwiedzali najbardziej urokliwe, malownicze zakątki Clearcove.

Od czasu do czasu Michele robił jej zdjęcia.

- Jesteś taka piękna - powtarzał. Przestała się czerwienić, ponieważ czuła, że jest to komplement wypowiedziany szczerze, bez cienia fałszu.

Wieść, że Mia zaprzyjaźniła się z przyjezdnym, wywołała chorobliwą ciekawość wszystkich kumoszek w wiosce, a gdy usłyszała o tym także Mary, uczyniła coś, czego nie zrobiła nigdy przedtem: ogarnięta furją, sprawiła córce

tęgie lanie.

- Wolę cię zabić, niż patrzeć, jak spotyka cię mój los! - wrzasnęła zdyszana, gdy zabrakło jej sił, by zadawać ciosy.

Nazajutrz rano, gdy Mia zamierzała wyjść z pokoju, okazało się, że drzwi zostały zamknięte na klucz z drugiej strony.

Zamiast protestować czy błagać, położyła się z powrotem do łóżka. Chcesz wojny? - spytała w duchu matkę. Proszę bardzo. Będę tu siedzieć bez jedzenia i picia i nie odezwę się ani słowem tak długo, aż sama zaczniesz mnie błagać, żebym wyszła. Gdy nadszedł wieczór, a dziewczyna nie dała żadnego znaku życia, Mary pojęła w lot jej zamiary. Zjadła kolację, sprzątnęła kuchnię, podlała ogród i rododendron, obrębiła sześć ubrań i ufarbowała kilka motków wełny.

O północy, przechodząc obok drzwi do pokoju Mii, powiedziała zimno:

- Siedź tam sobie do woli. Za pięć dni zacznę się niepokoić i poślę po lekarza do Barley.

Nie wiadomo, do czego doprowadziłaby ta zimna wojna między matką i córką, gdyby Michele Russo, nie doczekawszy się Mii w umówionym miejscu, nie postanowił odwiedzić jej w domu.

Mia nigdy się nie dowiedziała, o czym rozmawiał z jej matką; najwyraźniej potrafił znaleźć odpowiednie słowa, aby uspokoić Mary i zaskarbić sobie jej zaufanie, skoro poprosiła, by został na obiedzie, i pozwoliła mu widywać się i córką w ciągu tych trzech dni, które pozostały do jego wyjazdu.

Na dzień przed opuszczeniem Clearcove Michele Russo przedstawił w obecności Mary zdumiewającą propozycję: jeśli Mia zgodzi się przyjechać do niego do Rzymu, oczywiście razem z matką, zrobi z niej sławną modelkę. Widząc przerażenie Mary, wyjaśnił jej grzecznie, że jest to poważny zawód, który wymaga wiele pracy.

- Pani córka jest nie tylko inteligentna i piękna, ale wyjątkowo fotogeniczna. Proszę się zastanowić, zanim pani powie „nie”.

Żegnając się, zostawił na stole swoją wizytówkę:

- Możecie do mnie dzwonić i pisać, kiedy tylko chcecie.

Mia spojrzała na matkę, potem na niego.

- Moja odpowiedź brzmi „nie”, Michele - oznajmiła dobitnie. Wszystko w niej buntowało się na myśl o pracy, która zmuszałaby ją do pozowania, pokazywania się, życia w blasku reflektorów. Lata, jakie spędziła w Clearcove walcząc z przesądami i uprzedzeniami, uczyniły z niej kobietę samotną i niepewną siebie. Nie było więc zawodu mniej odpowiedniego dla niej niż zawód modelki.

Nie wzięła jednak pod uwagę ani wydarzeń, które miały wkrótce nastąpić, ani przykrości, które miały na nią spaść.

### XIII

Czekając na powrót Michele z Niemiec, Mia ochoczo odkrywała Rzym. Zderzenie z ruchem ulicznym, witrynami sklepowymi, światłami i hałasem wywołały u niej tę samą reakcję co przedtem dom fotografika. Idąc rozglądała się dokoła, zdumiona i przerażona. Jednak już na drugi dzień uświadomiła sobie, że nawet tak wielkie, nieznane miasto potrafi wzbudzić w niej ciekawość, podniecenie, spokój, melancholię, oczekiwanie.

Uczucia te pozwoliły jej zarówno przyjść do siebie, jak i oswoić się z Rzymem. Spoglądając wokół, odkrywała drobne szczegóły, jak choćby kolor fasady budynku, widok zaułka czy stary szyld, który przypominał jej Clearcove. Przystawała przed pomnikami odczuwając te same doznania, które przeżywała siedząc na molu przed domem i obserwując odwieczne uroczyste ruchy morza.

Wszystko to przyniosło jej wprawdzie ukojenie, ale jednocześnie przekreśliło złudną pewność, że zdoła odciąć się od przeszłości. Istniały porażki i cierpienia, od których nigdy się nie uwolni. Wieczorami, kładąc się do łóżka, krzyżowała ręce na brzuchu i snuła wspomnienia. Dziecko, które w sobie nosiła, stanowiło materialny dowód na istnienie przeszłości, która nigdy się nie skończy.



\*

Po wyjeździe Michele z Clearcove zdała sobie sprawę, że ich przyjaźń nie tylko była przedmiotem ciekawości i plotek, ale na dodatek obudziła wśród mieszkańców wioski odległe wspomnienie spotkania jej matki z innym „obcym”. Stare kobiety rozprawiły o tym z młodszymi, jakby działo się to zaledwie wczoraj, dodając z zacięciem coraz to nowe szczegóły i uzupełniając relację nieodłącznym komentarzem: Mia jest taką samą dziwaczką jak jej matka. Mary nie potrafiła jej wychować, dziewczyna skończy samotna i opuszczona tak jak ona...

- Niech sobie gadają, kiedyś się przecież zmęczą - powtarzała córce Mary. Zamiast jednak złagodzić jej oburzenie, osiągnęła odwrotny skutek: Mia nie umiała się pogodzić z obojętnością matki.

Któregoś wieczoru wszakże nawet Mary straciła panowanie nad sobą. Było to wtedy, gdy zaczepiła ją bezdzietna Ethel i udając życzliwość zaczęła jej robić wyrzuty, że przyjęła do swego domu obcego mężczyznę i pozwoliła mu się spotykać z córką.

Mary, której krew uderzyła do głowy, wrzasnęła, aby tamta zajęła się swoimi sprawami, dodając, że ów nieznajomy jest porządnym człowiekiem i ma poważne zamiary. Ethel, rozumiejąc to zdanie jako zapowiedź zaręczyn, popędziła donieść o tym Lilibeth i wkrótce do ludzkiej złośliwości dołączyło fałszywe współczucie: biedna, naiwna Mary! Prędzej czy później zda sobie sprawę, że ten mężczyzna najpierw uwiódł Mię, a potem zniknął jak tamten!

Po kilku wszakże tygodniach, zgodnie z mądrymi przewidywaniami Mary, temat plotek i komentarzy się wyczerpał i kumoszki przestały się nimi interesować.

Kolejne zdarzenie dało im znów pole do popisu. Otóż do Clearcove sprowadziła się starsza siostra proboszcza, Ann O'Hara, o której istnieniu aż do tej chwili nikt nie słyszał. Skąd pochodziła? Była starą panną czy wdową? Czy miała dzieci?

Uśmiechnięta, grzeczna, serdeczna, tryskająca optymizmem, Ann wkrótce zdobyła zaufanie wszystkich kobiet i nie wahała się odpowiedzieć na wszelkie możliwe pytania: nigdy nie wyszła za mąż, ojciec O'Hara to jej jedyny żyjący krewny. Do tej chwili opiekowała się pewnym starszym małżeństwem z Baltimore. Kiedy oboje zmarli, postanowiła zamieszkać z bratem.

Sama z siebie dodała, że chlebowodawca pamiętał o niej sporządzając testament i pozostawił pewną sumę pieniędzy, które, odpowiednio zainwestowane, umożliwią jej godziwą starość.

Ann O'Hara odegrała decydującą rolę w wypadkach, które poprzedziły i spowodowały wyjazd Mii z Clearcove. Nie potrafiąc siedzieć bezczynnie i pragnąc jak najprędzej zainwestować swój spadek, za namową murarza Finneya kupiła pięćdziesięciometrowy lokal niedaleko warsztatu Johnny'ego Ryana i przekształciła go w nieduży sklep.

Kobiety z Clearcove, które od miesięcy były zmuszone do kłopotliwych podróży po zakupy do sąsiedniej wioski, tłumnie przybiegły do nowego sklepu. Uszczęśliwiona, że zrobiła dobry interes, Ann zaproponowała Mii pracę. Mia zaś, zniechęcona i rozgoryczona po miesiącach daremnego poszukiwania zajęcia, zgodziła się bez wahania.

Głęboki szacunek, jakim siostra proboszcza cieszyła się wśród miejscowych kobiet, sprawił, że nie było żadnych protestów: skoro Ann postanowiła przyjąć do pracy tę biedną córkę Mary, niech zrobi dobry uczynek.

Nawet Lillibeth nie miała tu nic do powiedzenia; odczuwała wręcz złośliwą satysfakcję na myśl, że ta harda i dumna dziewczucha, która ośmieliła się dybać na jej rodzinne szczęście i przeciwstawić się jej planom, teraz stoi za ladą i pakuje towar. Wchodząc do sklepu, przystawała, aby porozmawiać z Ann o przygotowaniach do ślubu Johnny'ego i Donny, o prawie ukończonych robotach przy remoncie domu, o radości, jaką odczuwa na widok tak szczęśliwego i zakochanego syna. Dostrzegając kątem oka smutek i udrękę Mii, bynajmniej nie czuła się winna - po tym wszystkim, co musiała wycierpieć z powodu

O'Sullivanówny i jej matki, zasługiwała przynajmniej na tę drobną satysfakcję, jaką daje zemsta.

Pewnego wieczoru w połowie lipca Mia, zbyt przygnębiona, by wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało, zamiast pojechać jak zwykle na skróty, ruszyła drogą prowadzącą wzdłuż bazaltowych skał. Muszę się wynieść z Clearcove, nie mogę tak dłużej żyć, to ponad moje siły, powiedziała sobie pedałując zawzięcie w próżnej nadziei, że w ten sposób wyładuje narastającą wściekłość. Niebo niespodziewanie zasnuło się chmurami, za zakrętem zaś ujrzała pomrukujące morze, które przybrało barwę ołowiu. Och, dziadku! - rozpląkała się. Gdzie jesteś? Dlaczego mnie opuściłeś?

Na wspomnienie Tortona zachwiała się. Zsiadła z roweru i przycupnęła na skraju drogi, szlochając. Nagle powietrze rozdarł huk pioruna, a w ciszy, jaka po nim nastąpiła, Mia usłyszała warkot silnika zbliżającego się pojazdu. Zbyt dumna, by pozwolić się przyłapać w takim stanie, zerwała się na równe nogi. Ktokolwiek siedział za kierownicą, nie mógł zobaczyć, że wygląda jak zdesperowany włóczęga. Chwyła rower i odsunęła się, aby przepuścić furgonetkę. Furgonetka jednak zahamowała, a nad opuszczoną szybą ukazała się twarz Johnny'ego Ryana.

Na jego widok Mia poczuła, że oblewa się rumieńcem. Jednym susem znalazła się na rowerze i zaczęła pedałować, Johnny jednak okazał się szybszy. Wysiadł z samochodu i po krótkim pościgu dogonił ją chwytając za siodełko.

- Dokąd uciekasz?

Mia odwróciła się i wymierzyła mu cios prosto w pierś.

- Zostaw mnie.

- Nie.

- Można wiedzieć, czego ode mnie chcesz?

Na twarzy Johnny'ego pojawił się pełen wrogości szyderczy uśmiech.

- A czego miałbym chcieć? Oddałaś wszystko, co miałaś do ofiarowania, temu przystojniaczkowi z Włoch.

Oczy Mii zwęziły się w szparki.

- Tak? W takim razie zabieraj łapy z mojego roweru i wynoś się.

Johnny chwycił ją w talii i ściągnął z roweru niczym piórko.

- Nie wierzę ci! Chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa! - wrzasnął potrząsając nią z wściekłością.

- Ty mnie w ogóle nie obchodzisz. Możesz sobie wierzyć albo nie.

- Chcę znać prawdę! Chcę wiedzieć, co było między tobą a tym mężczyzną!

Mia posłała mu wyzywający uśmiech.

- Matka i narzeczona jeszcze ci nie powiedziały? Powinieneś wierzyć w to, co mówią.

- Nie mam żadnych narzeczonych. Jestem aż takim idiotą, że ciągle myślę o tobie, ciągle mam nadzieję...

Mia gwałtownie wyrwała się z jego uścisku, z ciałem napiętym niczym łuk i twarzą wykrzywioną złością.

- Dość tych gier! Jak ci nie wstyd?

- To ty powinnaś się wstydzić.

- Masz rację. Nie wiem, jak mogłam się zadawać z takim byle kim jak ty... z takim zerem.

- Za to ten twój Włoch to wielki człowiek!

- Już ty sobie nim gęby nie wycieraj.

- Co było między wami?

- To nie twoja sprawa.

Schyliła się, by podnieść rower, lecz Johnny zmusił ją żeby się wyprostowała.

- Nie odejdziesz stąd, dopóki nie odpowiesz na moje pytanie.

Mia roześmiała mu się w twarz.

- Nie wydaje mi się, żebym miała długo czekać; twoje panie i władczynie na pewno ci już szukają, aby ci nałożyć kaganiec. - Usiadła na skraju drogi z

wyzywającą miną.

- Rozgościsz się obok mnie czy wolisz uciec, zanim nadejdą?

Johnny rzucił się na nią z przekleństwem i zaciśniętymi pięściami. Teraz mnie zabije, pomyślała Mia czując ciężar jego ciała. Zamknęła oczy czekając na atak, zamiast tego jednak poczuła uścisk ramion i usłyszała głos pełen rozpacz:

- Dosyć... Dosyć tego, Mia. Chyba oszaleję...

W pierwszej chwili nie zrozumiała, co się dzieje. Czy on prosi o wybaczenie, zanim ją zabije? Otworzyła oczy i natychmiast z powrotem opuściła powieki. Ramiona Johnny'ego zamknęły ją w namiętym uścisku.

- Tak bardzo cię kocham...

- Co ty robisz? - krzyknęła, otrzeźwiawszy, drżąc z oburzenia.

- Tak bardzo cię kocham - powtórzył szeptem.

- Puść mnie! - Wparła dłonie w jego piersi, usiłując go odepchnąć.

- Nie. Nigdy cię nie puszcę.

Mia jęła go okładać pięściami.

- Jesteś łajdakiem! Brzydzę się tobą! Chcesz usłyszeć prawdę? Kocham Michele... On jest tysiąc razy lepszy od ciebie...

Johnny zatkał jej usta ręką.

- Chcesz mnie doprowadzić do rozpacz? Zamilknij! - Jak szalenciec zerwał z niej ubranie. Mia na próżno próbowała się uwolnić; ramiona Johnny'ego ścisnęły ją niczym imadło, jego ciało zaś było ciężkie jak gład. Zaprzestała walki i znieruchomiła pod nim, wsłuchując się z lodowatym spokojem w jego pełne wściekłości jęki.

- Och, Mia... Co ja ci zrobiłem? - załkał, gdy było po wszystkim.

- Zgwałciłeś mnie. - Jej głos był równie zimny jak serce.

W ciągu następnych dni Johnny chodził za nią wszędzie, również do sklepu. Mia jednak nie chciała go słuchać. Kiedy zaś ośmielił się przyjść do niej do domu, zagroziła:

- Jeśli nie przestaniesz mi się naprzykrzać, przysięgam na Boga, że

doniosę na ciebie policji i zrobię skandal.

Pod koniec sierpnia Michele Russo wrócił z wakacji u przyjaciół z Barley Cove i któregoś ranka pojawił się w sklepie. Twarz Mii rozjaśniła się; nie bacząc na obecność Maude oraz bezdzietnej Ethel podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jak widzisz, nie zapomniałem o tobie - roześmiał się Michele. Przez dwa tygodnie co wieczór przychodził po nią do sklepu i odprowadzał do domu. Rozmawiali. Chodzili na długie spacerunki. Michele ponowił propozycję, aby obie z Mary przyjechały do Rzymu, lecz Mia po raz drugi odmówiła.

Trzy dni po jego wyjeździe dowiedziała się, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Ledwie wyszła od ginekologa, znalazła aparat telefoniczny i zadzwoniła pod rzymski numer, który zostawił jej Michele: jeśli propozycja jest nadal aktualna, poleci do niego. Tak, zmieniła zdanie.

Mary musiała skapitulować przed niewzruszoną postawą córki. Kiedy zaś ta zdecydowała się powiedzieć jej o dziecku, które w sobie nosiła, Mary po raz pierwszy poczuła się przegrana i pokonana. Nie zdołała bowiem uratować istoty, którą kochała najbardziej na świecie.

Mia oszczędziła jej litościwie opowieści o ostatnim doznanym upokorzeniu. Na dzień przed wyjazdem, wracając z nowego domu Molly, znalazła się twarzą w twarz z Johnnym Ryanem.

- Odsuń się - warknęła.

- Czy to prawda, że wyjeżdżasz z Clearcove?

- Wszyscy o tym wiedzą. Przepuść mnie.

- Mia, nie możesz tego zrobić. Nie możesz zniszczyć życia nam obojgu - rzekł Johnny przybity.

Posłała mu uśmiech pełen słodyczy.

- Dlaczego zniszczyć? Właśnie wybieram się do mężczyzny, którego kocham i nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa.

Twarz Johnny'ego zmieniła się nagle w pogardliwą maskę. Syknął:

- Jesteś dziwką jak twoja matka.

Udało ci się. Twoja przeszłość kończy się w tym właśnie miejscu - powiedziała sobie w duchu Mia leżąc w łóżku. Zapaliła światło i spojrzała na zegarek. Trzecia w nocy. Nazajutrz Michele miał wrócić z Niemiec, nie mogła mu się pokazać z twarzą, na której byłoby widać ślady nieprzespanej nocy i łez. Zgasiła światło i usiłowała skupić się na myśli o czekającym ją nowym życiu.

Musi znaleźć się w nim miejsce dla syna Johnny'ego. A także dla wspomnień, aby przestały wreszcie sprawiać ból.

## Część druga

### Mia

*...A wtedy wróżbita obwieścił zniecierpliwionemu człowiekowi:  
„Jeśli chcesz poznać przyszłość, obejrzyj się za siebie, ponieważ za tobą widać  
kobietę, którą porzuciłeś, dzieci, które zawiodłeś, przyjaciół, których zdradziłeś,  
osoby, których nie dostrzegłeś.*

*Kiedy cię wyprzedzą, to właśnie będzie twoja przyszłość”.*

Juan Timoneda

#### XIV

Z wywiadu z Mią O’Sullivan, opublikowanego w miesięczniku „Indiscreto” w czerwcu 1995 roku:

*Komentując pani decyzję o rezygnacji z kariery, gazety nazwały panią Kopciuszkiem, który niespodziewanie porzuca pałac i księcia z bajki, aby powrócić do złej macochy i sióstr...*

- Tak naprawdę w moim życiu nie ma ani księcia z bajki, ani złej macochy.

*Wraca pani jednak do małej irlandzkiej wioski, z której uciekła niespełna sześć lat temu. Czyba pani przyzna, że to niespodziewana i zdumiewająca decyzja?*

- Mój syn Torton został ochrzczony w Clearcove. W ciągu tych lat wiele razy jeździłam do Irlandii i nigdy nie wyparłam się własnych korzeni; dla dziennikarzy to przecież żaden sekret.

*I tu dotykamy bolesnego problemu: nigdy nie zaakceptowała pani ceny, jaką trzeba zapłacić za każdy sukces, czyli nieuchronnych ingerencji prasy w życie prywatne.*

- W moim przypadku była to bardzo wysoka cena, jako że jeszcze przed przyjazdem do Rzymu wścibstwo i plotki zatruwały mi życie pod każdym



względem. Czułam się tak, jakbym przez cały czas przebywała na scenie przy zapalonych reflektorach.

*Musi pani przyznać, że znalazła się w centrum intrygujących i fascynujących wydarzeń. A to, że aż do dziś zawsze odmawiała pani wypowiedzi na tematy osobiste, tylko ugruntowało pani wizerunek jako dziewczyny niezwykle tajemniczej!*

- Te, jak je pani nazywa „fascynujące wydarzenia”, były dla mnie przeżyciami bolesnymi bądź radosnymi, zbyt osobistymi jednak, aby można o nich mówić. Również z tego powodu, że dotyczyły osób, które mają prawo do milczenia i szacunku.

*Wśród nich jest najprawdopodobniej Michele Russo, który najpierw panią wykorzystał, a potem przez swe manipulacje doprowadził niemal do katastrofy?*

- Nie można zapominać o tym wszystkim, co zrobił dla mnie dobrego. A także dla mojego syna.

*Jeśli prawdą jest to, co mówią, a mianowicie, że jest on ojcem małego Tortona, spełnił tylko swój obowiązek!*

- Nie chcę o tym mówić. Michele przyszedł mi z pomocą, okazał wyrozumiałość, a także lojalność. To prawda, że często czułam się wykorzystywana i manipulowana, ale sądzę, że to się zdarza wszystkim słynnym modelkom. Agencja, która je wylansowała i sporo w nie zainwestowała, wykorzystuje do maksimum ich najlepszy okres. I wymaga żelaznej dyscypliny oraz całkowitej dyspozycyjności.

*Pani poczucie wdzięczności jest godne podziwu. Ale to nie ja powinnam pani przypomnieć, że Michele Russo szeroko pojmował „dyspozycyjność” pracujących dla niego dziewcząt.*

- Podczas procesu wykazano ponad wszelką wątpliwość, że fotomodelki z agencji były wykorzystywane w nieczny sposób przez jego brata Luigiego.

*Udowodniono również z niezbitą pewnością, że to Michele Russo*

*przedstawił niemieckiemu przemysłowcowi Willy'emu Spitzowi najpierw słynną Gretę, a później panią.*

- Wydaje mi się, że wszystko już zostało powiedziane i napisane na ten temat dwa lata temu. Po co teraz o tym mówić?

*Powiedzmy więc tylko, że Greta usiłowała popełnić samobójstwo, pani zaś została wmieszana w proces agencji Russa i oskarżona o uprawianie prostytucji wśród grubych ryb.*

- Występowałam wyłącznie jako świadek; dowiedziałam się o istnieniu tego procederu dopiero z gazet i mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałam w sądzie: prawdą jest, że Michele Russo przedstawił mnie Willy'emu Spitzowi, lecz nie wywierał na mnie żadnego nacisku, abym była „dyspozycyjna” wobec awansów tego przemysłowca. Nasze stosunki ograniczyły się do paru kolacji, kiedy zaś zrozumiałam, jakie ma zamiary, zerwałam z nim wszelkie kontakty, nie ponosząc żadnych konsekwencji ze strony Michele ani jego agencji.

*A co pani może powiedzieć na temat Grety?*

- Na swoje nieszczęście Greta zakochała się w Spitzu. Kiedy zerwał trwający pół roku związek, który uważała za trwały i szczery, cały jej świat się zawalił. Szczęśliwie wzięła się w garść i odnalazła spokój.

*Czy może pani powiedzieć to samo o sobie? Innymi słowy, czy w ciągu tych lat, kiedy znajdowała się pani u szczytu powodzenia, zdobyła pani wszystko, czego pragnęła, czy też wraca pani do Clearcove, aby to znaleźć?*

- Praca dała mi wszystko, co możliwe, a już na pewno o wiele więcej, niż ośmieliłam się pragnąć. Kiedy się jednak zejdzie ze szczytu, trzeba rozpocząć normalne życie. Nie wiem, co mnie czeka ani gdzie tego szukać. Oto cała prawda.

*W Clearcove mieszka Johnny Ryan - mężczyzna, o którym kilka lat temu gazety pisały jako o pani wielkiej, nieszczęśliwej i niespełnionej miłości...*

- Zwykła gadanina - trochę fantazji i trochę plotek.

*Zaprzecza pani, że go kochała?*

- Moim zdaniem słowo „miłość” to lekka przesada na określenie banalnych wzruszeń dwojga dzieciaków. I nie sądzę, aby wywlekanie tej starej historii było na miejscu. Dzisiaj Johnny Ryan jest żonaty i mam nadzieję, że szczęśliwie.

*Powinna mieć pani dokładne informacje, zważywszy, że ojciec Johnny’ego, owdowiawszy, ożenił się po raz drugi z pani matką.*

- Johnny nie był obecny na ślubie, a kiedy ostatnio pojechałam do Clearcove, nie rozmawialiśmy o nim.

*Nie wydaje się pani osobliwe, że po tylu latach bycia jedynaczką nagle ma pani dwóch braci?*

- Syn Seana Ryana praktycznie jest dla mnie kimś obcym, podczas gdy Serge’a traktuję jak prawdziwego brata, mimo że mamy różne matki.

*Jak się pani dowiedziała o istnieniu Serge’a?*

- Myślę, że na ten temat dziennikarze też napisali wystarczająco dużo. Rzucacie się jak hieny na ludzkie życie, które zasługuje przecież na szacunek, wywlekając wszystkie najintymniejsze szczegóły!

*Odnalezienie brata, a przede wszystkim biologicznego ojca należy do intrygujących i fascynujących wydarzeń, o których wspominaliśmy wcześniej.*

- W rzeczywistości to po prostu jeden z wielu przypadków, jakie się w życiu zdarzają. Lisa, narzeczona mojego brata Serge’a, pracowała jako fotomodelka w agencji Michele Russa. Poznałam ich oboje parę dni po przyjeździe do Rzymu i od razu przypadliśmy sobie do gustu. Oczywiście zarówno ja, jak i Serge nie mieliśmy przez ponad rok pojęcia o łączących nas więzach krwi.

*Nie czuliście pokrewieństwa?*

- Ja, Serge i Lisa szybko staliśmy się nierozłączni, a między prawdziwymi przyjaciółmi tworzy się więź jak między rodzeństwem. Krótko mówiąc, uczucie zaufania i przywiązania, jakie wobec nich żywiłam, nie wydawało mi się niczym dziwnym.

Dzisiaj rozumiem, że było to coś więcej, zwłaszcza w przypadku Serge'a. Kiedy Michele nas sobie przedstawił, Serge musiał dostrzec we mnie coś znajomego, bo przez parę chwil przyglądał mi się uważnie i z zakłopotaniem. A zaraz potem spytał, czy już się gdzieś nie spotkaliśmy.

*Rzeczywiście, fizycznie jest pani bardzo podobna do swojego ojca, Paula.*

- Serge też. Tylko że ja nigdy nie widziałam ojca, nie mogłam więc tego zauważyć. Ale spodobaliśmy się sobie od pierwszego wejrzenia, co rzadko się zdarza przyjacielom, ponieważ w przeciwieństwie do miłości prawdziwa przyjaźń rodzi się dopiero po gruntownym poznaniu drugiego człowieka. Serge od razu stał mi się bliski i już po trzech spotkaniach zdawało mi się, że znam go od urodzenia. Po matce była to druga osoba, której wyjawiałam, że spodziewam się dziecka.

*Czy Lisa nie była zazdrosna o waszą bliskość?*

- Może się to wydać dziwne, ale nie. Tak jakby wyczuła, że jakikolwiek pociąg między Serge'em a mną zatrałaby kazirodztwem. Co więcej, cieszyło ją to, że szukam wsparcia u Serge'a, a on mnie chroni.

*Zupełnie odmienne uczucia żywiła i żywi do pani matka Serge'a, czyli żona pani ojca...*

- Proszę ją zrozumieć. Serge miał dwa lata, kiedy jego rodzice się pobrali. Do tego czasu Josette wychowywała syna samotnie, czując się opuszczona i odrzucona. Paul w tamtym okresie nie chciał się z nikim wiązać. Rzucił studia i marzył o karierze wielkiego malarza. Z pewnością stanowczo odpychał od siebie myśl o pracy w handlu pod skrzydłami swojego ojca. Spotkanie mojej matki zadecydowało o jego późniejszym życiu. Zakochał się w niej na zabój. W chwili gdy zrozumiał, że nie ma dość odwagi, aby ją poślubić i stawić czoło niepewnej przyszłości u jej boku, pojął też, że czas buntu dobiegł końca. Po wyjeździe z Clearcove wrócił na łono rodziny, a wkrótce potem ożenił się z matką swojego syna.

*Czy Josette wiedziała o miłości Paula do Mary?*

- Tak. Kierując się głęboką lojalnością, ojciec opowiedział jej o spotkaniu z matką i o miłości, jaką do niej poczuł. Sądzę, że każda żona czuje się rozczarowana i skrępowana na myśl, że przed nią była inna, bardziej kochana kobieta. Josette miała ku temu powody, jako że ojciec, mając poczucie winy z powodu porzucenia uwielbianej Mary, wielokrotnie usiłował nawiązać z nią kontakt. Jednym słowem, matka stanowiła dla Josette zagrożenie. Kiedy zaś z tej nigdy niezapomnianej przeszłości wyłoniła się na dodatek córka, frustracja i lęk zmieniły się we wrogość.

*Doprawdy szkoda, że przed śmiercią ojciec nie zdążył pani uznać oficjalnie; sprzeciw żony na nieszczęście spowołnił jego wysiłki.*

- Prawdziwym nieszczęściem jest to, że ojciec zmarł. Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat i znaleźmy się tak krótko...

*Pewien francuski dziennik napisał, że Josette podważyła ostatni testament męża - ten, który sporządził pięć miesięcy temu, a w którym przy podziale masy spadkowej uwzględnił swą nieślubną córkę. A podobno na tym nie koniec.*

- Jedyłą rzeczą, jakiej pragnęłam od ojca, była jego miłość i otrzymałam jej w bród. Dzisiaj oplakuję wyłącznie jego stratę.

*Wiele lat temu pani ojciec został poddany operacji serca. Josette twierdzi jakoby, że zabiły go problemy i kłopoty, w które go pani wplątała.*

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że wtargnęłam w życie mego ojca jak cyklon... Dowiedział się o moim istnieniu w chwili, gdy agencja Michele Russa trafiła na pierwsze strony gazet, a mojej karierze groziła ruina z powodu skandalu. Chociaż o nic go nie prosiłam, załatwił mi jednego z najlepszych adwokatów, a przede wszystkim bronił mnie autorytetem własnego imienia, ogłaszając publicznie, że jest moim ojcem. Poznałam go wystarczająco dobrze, aby mieć pewność, że to człowiek zrównoważony i silny. Krótko mówiąc, nie wydaje mi się, aby moje problemy mogły go zniszczyć. Jestem za to przekonana, że Josette poczuła się po raz kolejny upokorzona widząc, jak jej mąż z tak wielką miłością walczy o mnie, czyli o córkę Mary. To ludzka rzecz.

Tak czy inaczej, uważam, że jest kobietą zbyt wrażliwą i cywilizowaną, aby wysuwać tak potworne oskarżenia, jakie przypisuje jej prasa.

*Pani ojciec spotkał się ponownie z matką. Czy to możliwe, aby odżyła dawna miłość?*

- Absolutnie nie. Dla każdego z nich, chociaż w odmienny sposób, historia ta była ważna, ale dawno minęła. Paul był przywiązany do żony, matka do Seana Ryana, mężczyzny, którego mimo wszystko nigdy nie przestała kochać. Spotkanie po latach pozwoliło moim rodzicom odpowiedzieć na wszystkie pytania i wyjaśnić przeszłe wątpliwości. Sprawilo, że między nimi zrodziła się przyjaźń.

*Podobno dzięki finansowej pomocy byłej sympatii pani matka mogła założyć w Clearcove małą, ale dobrze prosperującą firmę odzieżową.*

- To jedno wielkie kłamstwo! Matka od lat robiła swetry, które sprzedawała okolicznym sklepikarzom. Kiedy zaczęłam sama zarabiać i przysłałam jej pierwszy czek, z pomocą pewnego miejscowego murarza przekształciła starą szopę dziadka w zakład dziewiarski. Potem wraz z dwiema kobietami z Clearcove pracowała dzień i noc. Wsparcie ze strony Paula nadeszło dopiero wówczas, gdy firma już nieźle prosperowała, i wcale nie polegało na pomocy finansowej, lecz na zawarciu umowy: otóż od dwóch lat cała produkcja zakładu matki sprzedawana jest w sieci domów towarowych Paula.

*Jak zareagował na powrót dawnego rywala Sean Ryan mąż pani matki?*

- Wtedy jeszcze żyła jego żona Lillibeth. Nie sądzę jednak, aby miał prawo do jakichkolwiek reakcji.

*A ostatnio?*

- Myślę, że zrozumiał, jakiego rodzaju więź łączy moich rodziców, skoro ożenił się z moją matką i zgodził się na jej dalszą współpracę z moim ojcem.

*Nadszedł czas, abyśmy porozmawiali o pani ślicznym dziecku. Dlaczego nosi nazwisko pani, a nie ojca?*

- Dlatego, że gdy się urodziło, nie mogłam postąpić inaczej. Pozwoli pani,

że nie dodam nic więcej.

*Jeszcze tylko jedno: czy pani syn nie odczuwa braku ojca?*

- Torton jest dzieckiem wesołym i pewnym siebie. Promiennym, jak mawia Serge. Teraz jest w Clearcove z babcią Mary. Nie sędzę, żeby miał jakieś problemy.

*Nie boi się pani, że w tak małej wiosce może zostać zepchnięty na margines i dyskryminowany, jak kiedyś pani?*

- To było pierwsze pytanie, jakie sobie zadałam decydując się na powrót do Irlandii. Ale wydaje mi się, że od tamtego czasu wiele się zmieniło. Clearcove przestało zamykać się przed światem: pojawili się tam turyści, przemysł, telefon, a nawet droga.

*Dodajmy jeszcze, że dziecko ma oparcie w liczącej się rodzinie: w sławnej matce; babce, która zatrudnia dziesiątki osób; dziadku, który jest prezesem spółdzielni rybaków.*

- Jeśli ma pani na myśli Seana Ryana, to jest on mężem mojej matki, a nie dziadkiem mojego syna.

*Czy w gruncie rzeczy to nie to samo?*

- Nie. Prawdziwymi wnukami Seana Ryana zostaną dzieci jego syna Johnny'ego, kiedy się urodzą. Nie powinno się niepotrzebnie wywoływać zazdrości i zamieszania.

*Czy mały Torton lubi Clearcove?*

- O tak, bardzo. Mój dziadek, którego imię nosi, na próżno usiłował zapuścić korzenie w Ameryce - miał Clearcove we krwi.

Chyba tak samo jest z moim synem. Kiedy tam przyjeżdża, wyrastają mu skrzydła, biega jak piesek spuszczonej ze smyczy. Duże miasta nie nadają się dla dzieci, szczególnie gdy ich matki pracują i muszą oddawać je komuś pod opiekę. Żyłam w ciągłym strachu, bałam się ruchu ulicznego, przemocy, złych ludzi... Na szczęście wszystko to w Clearcove nie istnieje. A kiedy będę musiała wyjechać, mały zostanie z babcią Mary.

*Czy na zawsze zerwała pani ze światem mody?*

- Zastąpię matkę w zarządzaniu firmą, ale będę się zajmować przede wszystkim produkcją. Innymi słowy, pozostanę w świecie mody, lecz z wybiegiem, długimi podróżami i publicznością zerwałam na zawsze.

*Jak pani ocenia swoją karierę? Jakich wspomnień ma pani więcej: dobrych czy złych?*

- Mimo wszystko bilans jest dodatni. Już samo to, że zapragnęłam powrócić do miejsca, z którego uciekłam sześć lat temu, dowodzi, że dzięki odniesionym sukcesom stałam się bardziej wojownicza i pewna siebie. Muszę też uczciwie przyznać, że zarobione pieniądze również stanowią pozytywny aspekt.

*Michele Russo skończył odbywać karę i wkrótce wyjdzie z więzienia. Czy gdyby odwiedził panią w Irlandii, otworzyłaby mu pani drzwi?*

- Z pewnością tak. Przede wszystkim dlatego, że dobro, jakiego odeń zaznałam, znacznie przewyższa zło, a poza tym dlatego, że w moim przekonaniu zgrzeszył wobec mnie tylko lekkomyślnością. Nigdy świadomie by mnie nie skrzywdził.

*Czy opuszczając na zawsze Rzym odczuwa pani żal rozstania?*

- Nie zostawiam tu nikogo, z kim nie mogłabym się spotkać w Irlandii.

Mia skończyła czytać wywiad czując zarazem skrępowanie i ulgę. Dziennikarka „Indiscreto” dotrzymała umowy: nie było w nim ani natręctwa, ani plotek. Wyłącznie rzetelnie ujawnione motywy, jakie kazały najszlachetniejszej modelce wrócić do anonimowego życia w małej rodzinnej wiosce.

Do udzielenia wywiadu namówił ją brat, Serge.

- Jeśli nadal będziesz milczeć, minie wiele miesięcy, zanim ucichną plotki na twój temat, a poza tym istnieje niebezpieczeństwo, że jakiś fotograf pojedzie za tobą aż do Clearcove. Jeżeli natomiast powiesz szczerze i w pierwszej osobie wszystko to, co ludzie chcą wiedzieć, nie zostawisz im miejsca na wścibstwo i domysły.



Miejmy nadzieję, że tak się stanie, pomyślała Mia składając gazetę. Rozmowa o tak osobistych uczuciach i zdarzeniach z zupełnie obcą osobą nie była łatwa i mimo że zostały one przedstawione zgodnie z prawdą, sam wywiad wywołał w niej skrępowanie.

Osobliwy był dla niej widok najpoważniejszych lat jej życia zredukowanych do serii pytań i odpowiedzi. Jeszcze bardziej osobliwe było to, że jej odpowiedzi, całkowicie szczerze z wyjątkiem dotyczących jej związku z Johnnym Ryanem, tworzyły tak bardzo wypaczony i fałszywy obraz rzeczywistości. Z lektury tych paru stron „Indiscreto” wynikało, że Mia O’Sullivan postanowiła wrócić do domu uzyskawszy wyjaśnienie dla wszystkich wydarzeń i znalazłszy właściwe miejsce dla wszystkich zamieszanych w nie osób - zupełnie jakby doznała cudownego olśnienia. Naprawdę zaś wszystko pozostało zagmatwane i nie rozwiązane, również jej stosunek do Clearcove.

Po urodzeniu Tortona wróciła tam na krótko po raz pierwszy, aby się przekonać, czy rzeczywiście zdołała się uwolnić od tego miejsca, jednocześnie zalekniona i ciekawa próby, na jaką się wystawia. Nie mogła się wszakże łudzić, że dzięki ucieczce rozliczy się z przeszłością. Uświadomiła sobie, że jej korzenie tkwią w Clearcove - i to w tej samej chwili, w której pojęła, że aby móc iść naprzód, musi zawrócić i z podniesioną głową stawić czoło sytuacjom i osobom, przed którymi uciekła. Dopiero uwolniwszy się od ciężaru tamtej porażki, będzie mogła odzyskać własną godność i z radością odgrywać rolę matki oraz odnosić sukcesy zawodowe. Co ją jednak skłoniło do skrajnej decyzji, aby na zawsze powrócić do wioski?

- Ten sam impuls, który każe mordercy wrócić na miejsce zbrodni - stwierdził żartobliwie jej brat.

- Przecież nikogo nie zabiłam!

- Jesteś tego pewna? - Głos Serge’a spoważniał. - Wiele lat temu podziałałaś na Clearcove niczym cyklon, a teraz chcesz sprawdzić, co ocalało z

zamętu.

- Moim zdaniem to bardzo uproszczone wyjaśnienie. I niesprawiedliwe -  
zaoponowała.

- Powiedzmy wobec tego, że nigdy nie wybaczyłaś ludziom, którzy  
zmusili cię do wyjazdu z pozycji przegranej. Nie wystarczy ci wszystko to, co  
zdobyłaś; tam poniosłaś klęskę i tam pragniesz odnieść zwycięstwo.

Mia potrząsnęła głową.

- Nigdy nie odzyskam tego, co utraciłam.

- Jeśli masz na myśli Johnny'ego Ryana, to się nie mylisz. Ale mieszkając  
tam gdzie on, będziesz mogła dokonać najbardziej spektakularnej zemsty i  
cieszyć się tym, co on stracił nawet o tym nie wiedząc: jego synem.

- Uważasz, że jestem aż tak podła?

- Dlaczego zaraz podła? To ludzka rzecz.

- Serge, odpowiedz mi zupełnie szczerze: czy twoim zdaniem dorastanie  
w Clearcove będzie dobre dla Tortona?

- Szczerze? Nie. Dziecko powinno poznać własne korzenie i historię  
swojej rodziny, ale myślę, że prędzej czy później będziesz musiała przenieść go  
gdzie indziej: daleko od Johnny'ego i od dwuznacznej sytuacji, która nie  
pozwoliłaby mu nigdy na stworzenie własnej tożsamości.

Od tamtej rozmowy z Serge'em minął już miesiąc, a ona przygotowywała  
się do wyjazdu zagubiona bardziej niż kiedykolwiek.

## XV

Mały Torton urodził się 31 marca 1990 roku, dwa tygodnie przed  
terminem. Mary wybierała się właśnie do Rzymu, kiedy córka zadzwoniła do  
niej z nowiną i oznajmiła, że w tej sytuacji nie powinna opuszczać Clearcove.  
Ona i dziecko czują się świetnie i niczego im nie trzeba.

- Jesteś pewna? Mam już bilet i spakowaną walizkę - nalegała Mary  
pomimo uspokajających zapewnień Mii, rozdarta między pragnieniem wyjazdu  
pomimo wszystko a ulgą, że może się wykręcić od podróży, która napawała ją

lękiem niczym skok w przepaść.

Dwa tygodnie później Mia wysłała jej pierwsze zdjęcia Tortona, na ich widok zaś Mary aż podskoczyła. W twarzyczce noworodka można już było dostrzec rysy Ryanów: wykrój ust i oczu był identyczny jak u Seana i Johnny'ego, podczas gdy wysokie i wypukłe czoło należało bezsprzecznie do Lillibeth. Wzruszona i oczarowana Mary długo wpatrywała się w fotografie wnuka, im dłużej zaś im się przyglądała, tym oczywistsze wydawało jej się to zdumiewające podobieństwo.

Mia musiała być chyba szalona, łudząc się, że zdoła ukryć przed Johnnym jego ojcostwo; nie tylko on, ale każda kumoszka w Clearcove już na pierwszy rzut oka odkryje prawdę. Odkładając na bok zdjęcia Mary modliła się w duchu, aby wraz z upływem czasu w rysach twarzy małego zaczęły się pojawiać jakieś cechy charakterystyczne dla linii matki i aby stały się dominujące, jak to się nieraz zdarzało. Lecz kiedy Mia przyjechała z Włoch, aby zgodnie z obietnicą pokazać jej wnuka, okazało się, że jej modlitwy nie zostały wysłuchane: mając sześć i pół miesiąca Torton był jeszcze bardziej podobny do Ryanów, jeśli to w ogóle możliwe.

Gdy w niedzielę udały się do kościoła, by go ochrzcić, a ojciec O'Hara wypowiedział stosowne słowa dobitnie wymawiając imię Tortona O'Sullivana, Mary zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Niczym w koszmarze sennym czekała, aż z ławek podniesie się chóralny pełen zdumienia protest mieszkańców wioski: „Przecież to dziecko powinno się nazywać Ryan!”

Tymczasem nic takiego się nie stało. Najbardziej zaskakujące było to, że ani Maude, ani Molly, ani siostra proboszcza, ani pozostałe kumoszki, które składały im wizyty, by podziwiać małego Tortona, nawet w najmniejszym stopniu nie dały po sobie poznać, iż dostrzegają podobieństwo. Potworna prawda aż biła w oczy, a mimo to nikt jej nie zauważał.

Kiedy wspominała o tym córce, Mia uśmiechnęła się zagadkowo.

- Dziadek Torton zawsze mówił, że oczy widzą tylko to, co chce głowa.

- Nie rozumiem, co to znaczy - burknęła zniecierpliwiona Mary.

- To proste, mamó: ludzie z Clearcove są do tego stopnia pewni, iż Torton jest synem „obcego”, że nie potrafią dostrzec ani nawet nie podejrzewają nic innego. Przyjeżdżając tutaj, na to właśnie liczyłam.

- Myślisz, że możesz oszukać i Johnny’ego?

- Łatwiej niż innych. - Mia zawahała się na moment. - Widziałam go pod koniec lutego, na miesiąc przed urodzeniem Tortona.

Mary wpatrywała się w nią tępym wzrokiem.

- Widziałas go... Gdzie?

- W Rzymie. Nie pytaj, skąd się tam wziął i dlaczego. Wiem tylko, że któregoś wieczoru...

Mary przerwała jej.

- Teraz sobie przypominam! Mniej więcej w tym czasie słyszałam, jak bezdzietna Ethel opowiadała w sklepie o jakiejś podróży służbowej Johnny’ego z Mahoneyem... Nie mówiła, dokąd pojechał.

- Wygląda na to, że chodziło o Włochy.

- Mów dalej.

- Któregoś wieczoru właśnie kładłam się spać. Była dopiero dziesiąta, ale padałam z nóg, bo pozowałam przez cały dzień do kolekcji ubrań dla przyszłych matek. Nagle usłyszałam dzwonek do drzwi. Pomyślałam, że to Rienzi, taka stara dziwaczka, która mieszka na moim piętrze i ciągle czegoś potrzebuje.

- Streszczaj się, Mia!

- Krótko mówiąc, otworzyłam bez pytania „kto tam?” i znalazłam się twarzą w twarz z Johnnym Ryanem. Przez parę chwil staliśmy jak dwie rzeźby, nic nie mówiąc i nie poruszając się. Nagle zobaczyłam, że wyraz jego twarzy zmienia się, jakbym w jednej chwili stała się potworem albo zjawą. Zorientował się, że jestem w ciąży.

- O mój Boże... - jęknęła Mary. - Co mu powiedziałaś?

- Powinnaś spytać, co on powiedział mnie. Stałam naprzeciw niego

wzruszona i drżąca, przeżywając z zapartym tchem ten moment prawdy w nadziei, że zrozumie i obejmie mnie... Tymczasem on zmierzył mnie od stóp do głów z przerażeniem i wstrętem i zapytał lodowatym głosem: „Kto jest ojcem? Ten twój fotograf czy jakiś inny włoski przystojniaczek?” Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem. Zamiast sobie pójść, zaczął walić i kopać w drzwi, wymyślając mi i wrzeszcząc, że ma prawo wiedzieć.

- Powinnaś była wszystko mu wyjaśnić, Mia! Sama stwierdziłaś, że to był moment prawdy!

- Powiedziałam, że ojcem jest Michele Russo, czyli to, co chciał usłyszeć. I nawet nie miał cienia wątpliwości, bo dla niego właśnie to jest i zawsze będzie prawda, w którą należy ślepo wierzyć. Co z tego, że Torton to wykapany Ryan? Ani jego oczy, ani oczy kumoszek z Clearcove nigdy tego nie zauważą.

Ciągle odkładany ślub Johnny’ego i Donny niespodziewanie odbył się w miesiąc po jego powrocie z Rzymu. Mary wreszcie pojęła powód tego pośpiechu. Johnny ożenił się z rozpaczy i chęci zemsty.

Dwa dni po ślubie Lillibeth odwieziono do szpitala. Mary dowiedziała się od Molly, że lekarze wykryli u niej raka i odjęli jej prawą pierś. Kilka tygodni później bezdietna Ethel doniosła, że jej przyjaciółka rozpoczęła chemioterapię w Baltimore. Okazało się jednak, że rak dał liczne przerzuty i na ratunek jest już za późno.

Po wiosce zaczęły krążyć osobliwe pogłoski: Lillibeth od ponad roku wiedziała, że jest chora, ale wciąż odkładała operację. Ktoś przypomniał sobie jej dawną próbę samobójczą i wysunął przypuszczenie, że żona Seana rozmyślnie wybrała śmierć.

Ann O’Hara zdradziła Mary w tajemnicy, co się naprawdę stało. Otóż to Donna skłoniła Lillibeth do ukrycia choroby przed mężem i synem. Namówiła ją także, by odwlec operację. Pragnąc za wszelką cenę poślubić Johnny’ego, Donna wpadła w panikę na myśl, że stan Lillibeth mógłby spowodować przesunięcie daty ślubu. Johnny i tak ją przełożył, chociaż z innych powodów.

Mary nie mogła uwierzyć, że młoda dziewczyna potrafi być zdolna do takiego okrucieństwa i cynizmu. Ann jednak twierdziła, że usłyszała to wszystko z ust samej Lillibeth.

Pewnego wieczoru żona Seana przyszła na plebanię do jej brata, nie zastawszy go zaś, zwierzyła się Ann. Była śmiertelnie przerażona nie tylko z powodu wyniszczającej choroby, ale także dlatego, iż odkryła prawdziwy charakter Donny.

Przejęta litością i oburzona Ann przy pierwszej okazji naskoczyła na dziewczynę. Jedynym rezultatem tego starcia był stek wyzwisk i przestroga, żeby nie wtrącała się w cudze sprawy. Później Lillibeth przyszła do niej powtórnie, zaklinając, aby poniechała dalszych prób. Bała się drażnić Donnę.

Wobec takich wieści cała uraza, jaką Mary żywiła wobec żony Seana, zniknęła, jej miejsce zaś zajął głęboki żal. Jednocześnie Mary przeżywała wewnętrzną rozterkę. Czy popierając decyzje córki dawała dowód należnego jej szacunku czy też tchórzliwej i zgubnej współwiny? Czy gdyby posłuchała własnego instynktu i wyjawiała Johnny'emu prawdę o małym Tortonie, udałoby się jej zapobiec małżeństwu z Donną czy też wywołałaby kolejne kłopoty i konflikty o niewyobrażalnych skutkach? Dlaczego nie miała choć tyle odwagi, aby wyznać wszystko Seanowi i pozwolić mu podjąć decyzję?

Lillibeth zmarła cztery miesiące po operacji, pogrzeb zaś odbył się pewnego upalnego lipcowego popołudnia. W półmroku domu Mary usłyszała dzwony i znowu serce ścisnęło jej się z żalu. Biedna Lillibeth. Upokarzająca świadomość, że została poślubiona bez miłości, kazała jej zaciekle dążyć do odwetu. Zaślepiąca urazą, nie umiała docenić tego, co mogło sprawić jej radość: oddania męża, wspaniałego syna, ludzkiego poważania, dobrobytu. Zasłaniała się Seanem i Johnnym niczym tarczą, zadając bliźnim cierpienia i rany. A teraz odeszła nie wiedząc nawet, że została babką. Własne intrygi przywiodły ją do nieszczęścia.

Niech Pan Bóg sprawi, abys spoczywała w pokoju, powiedziała w duchu

Mary ze łzami w oczach. A jeśli patrzysz na nas z góry, pomóż naszym nieszczęsnym dzieciom znaleźć jakiś jasny promyk na drodze, którą obrały.

Tydzień po pogrzebie Mary udała się na cmentarz i położyła bukiet żółtych margerytek na grobie Lillibeth. Od tamtej pory za każdym razem, gdy szła odwiedzić swoich zmarłych, zaglądała także do niej. Jeśli nie było nikogo, kto mógłby ją zobaczyć, zmieniała kwiatom wodę, wyrywała chwasty, po czym stawała nad grobem wzburzona i przejęta smutkiem.

Mały Torton połączył je więzami krwi i Mary była pewna, że Lillibeth, wreszcie wolna od urazy i ziemskich kłopotów, również odczuwała tę więź. Tylko one dwie znały prawdę o pochodzeniu dziecka; spoglądając na zdjęcie Lillibeth Mary dostrzegła w jej nieruchomym, dalekim spojrzeniu szczyptę zrozumienia, adresowanego wyłącznie do niej. Stojąc przed mogiłą miała wrażenie, jakby otaczała ją aura tajemniczych i zbawiennych wibracji.

Minął rok od śmierci Lillibeth, gdy pewnego popołudnia Mary poczuła, że jakaś obca siła wkracza gwałtownie w tę aurę i rozprasza ją. Odwróciła się wolno i wówczas go ujrzała. Był to Sean - osłupiały, nachmurzony, podejrzliwy.

- Co robisz nad tym grobem?

*Odejdź, nie odpowiadaj, to nasz sekret* - nakazał jej władczy i porozumiewawczy głos Lillibeth. Uciekła bez odpowiedzi. Nim Sean otrząsnął się z zaskoczenia, Mary nie było już na cmentarzu.

Podczas jednej z rzadkich wizyt Donna zorientowała się, że grób jest uprzątnięty. Kto przyniósł świeże kwiaty, wypolerował mosiężne litery, wyrwał chwasty? Zapytana o to Ethel nie posiadała się ze zdumienia, toteż Donnie nasunęło się podejrzenie, które w pierwszej chwili uznała za niedorzeczne. Tajemniczy instynkt ostrzegał ją wszakże przed niebezpieczeństwem, postanowiła więc zbadać tę sprawę, nakazując zarówno matce, jak i grabarzowi Peterowi, aby mieli oczy szeroko otwarte.

Kiedy upewniła się, że jej podejrzenia były słuszne, ogarnął ją gniew. Opowiedziała o wszystkim mężowi i Seanowi. Jak ta dziwka śmiała zbliżyć się

do grobu Lillibeth? Jaki miała w tym ukryty cel? Niech natychmiast coś zrobią, by zapobiec dalszym takim zniewagom.

Sean, bardziej poruszony niż oburzony, uzyskał od Petera potwierdzenie słów Donny. Dowiedziawszy się od niego, w jakie dni i o której godzinie Mary przychodzi na cmentarz, zaczął się na nią pod bramą. Kiedy weszła, ruszył za nią cicho, po czym skrywszy się za grobem Bloomów obserwował, jak szybko i sprawnie wykonuje czynności, które najwyraźniej stały się dla niej czymś zwyczajnym.

Skończywszy, Mary pogłaskała fotografię Lillibeth, po czym ruszyła ku grobom Betsey i Tortona.

Powoli podszedł bliżej.

- Dlaczego robisz to wszystko? - spytał szeptem, stając za jej plecami.

Mary odwróciła się i podniosła na niego oczy.

- Dla Lillibeth - odparła po prostu. - A także dla mnie. Po tak długiej nienawiści potrzebujemy wreszcie spokoju.

- Jesteś ciągle tą samą wariatką, której się wydaje, że słyszy głosy umarłych - odrzekł szorstko Sean, usiłując pokryć zakłopotanie.

Pobrali się cztery lata po śmierci Lillibeth. Był to wystarczająco długi okres, aby zdusić w zarodku wszelkie złośliwe plotki. Jedynie Johnny i Donna wrogo przyjęli wiadomość o ich ślubie. Za pośrednictwem Mary jej córka miała bowiem wejść do ich rodziny; Johnny wpadł we wściekłość, Donnę zaś ogarnął strach. Kiedy usłyszeli, że Mia ma przyjechać do Clearcove i być obecna na uroczystości, postanowili, że nie przyjdą.

Wbrew obawom Mary, Sean obojętnie przyjął ten afront. Los pozwolił mu się połączyć z ukochaną kobietą, był więc tak szczęśliwy, że nie potrafił myśleć o niczym innym.

W ciągu dwóch lat od ślubu czar wcale nie prysnął. Mary nieraz budziła się nocą z gardłem ściśniętym ze strachu, że to wszystko tylko jej się śniło. Czasem z kolei budził ją Sean - nagle czuła, jak jego ramiona obejmują ją



mocno, otwierając zaś oczy widziała jego pełen uwielbienia i niedowierzania wzrok.

- Och, Mary, nie mogę uwierzyć, że tu jesteś...

Pożądał jej z gwałtownością dwudziestolatka. Początkowo odpowiadała na jego porywy wyłącznie porywem serca, niezdolna odczuwać innej radości poza tą, że go kocha i jest przezeń kochana. Po tylu samotnych latach jej ciało zapomniało języka namiętności i zamknęło się w twardej skorupie. Jednakże z upływem kolejnych tygodni żarliwe pieszczoty Seana powoli zdołały je rozbudzić, a wówczas przestało być bezwładnym balastem, poczęła w nim krążyć krew, poczęło drzeć z rozkoszy.

Ich związek był doskonały. Od chwili gdy się pobrali, Sean nie wypowiedział ani jednego złego słowa, nie wykonał ani jednego nieodpowiedniego gestu, ani razu też nie zachował się w sposób, który mógłby ją zirytować bądź rozczarować. Gdybym wiele lat temu zdała sobie sprawę, jak wspaniałego mężczyznę utraciłam, myślała niekiedy Mary, nie przeżyłabym tego. Właśnie w momentach takiego uniesienia czuła lodowate ukłucie strachu. Co Sean by zrobił, gdyby dowiedział się prawdy o małym Tortonie?

Na próżno usiłowała wytłumaczyć córce, ile gorczy i poczucia winy przysparza jej konieczność ukrywania przed mężem tak istotnej prawdy i pozbawianie go w ten sposób radości bycia dziadkiem. Mia wszakże była nieugięta. Niepotrzebnie podsycalam jej niemądry upór, powtarzała sobie Mary, gdy nie mogła znieść wyrzutów sumienia.

Tajemnica ta stanowiła jedyną rysę na jej idealnym małżeństwie. Było już jednak za późno, aby ją bezkarnie wyjawić, toteż Mary nie pozostało nic innego, jak nauczyć się z nią żyć w nadziei, że z czasem wyrzuty sumienia osłabną.

Niestety, wcale nie chciały osłabnąć. Cztery tygodnie wcześniej Mia przyleciała do Clearcove, aby powierzyć jej dziecko. Chciała oszczędzić mu zamieszania i niewygód związanych z ostateczną przeprowadzką z Włoch do Irlandii. Od tamtego dnia Mary utraciła spokój ducha. Sean dosłownie oszalał na

punkcie małego Tortona. Ilekroć widziała ich razem śmiejących się czy rozmawiających, uderzało ją ich fizyczne podobieństwo. W takich chwilach buntowała się: to niesprawiedliwe, że nie wiedzą o łączących ich więzach krwi.

Kiedy niepokój stawał się nie do zniesienia, zrzucała w duchu winę na Seana: jak to możliwe, że nie dostrzega tak oczywistej prawdy? Czy nie był cyniczny i niesprawiedliwy ślepo wierząc w to, że Mia mogła rzucić się w ramiona pierwszego lepszego mężczyzny i od razu zająć z nim w ciążę? A jaką rolę odgrywał w jego osądzie dawny żal do Mary, która rzeczywiście to zrobiła? Zwiedziony przekonaniem, że jaka matka, taka córka, Sean nie zauważał tego, co aż się rzucało w oczy. No i dobrze. Tym gorzej dla niego.

Kiedy jednak dochodziła do tego punktu, znowu zaczynało ją dręczyć poczucie winy. To ja jestem niesprawiedliwa i okrutna, mówiła sobie w duchu. To ja utrzymuję go w nieświadomości. Sean tak bardzo wierzył w jej lojalność i miłość, że nawet w obliczu oczywistych faktów nie miałby cienia wątpliwości. Drżąc ze wstydu i strachu, Mary zaczęła w końcu żywić nadzieję, że nastąpi jakiś kataklizm; coś, co jest możliwe tylko w koszmarnym śnie - ojciec O'Hara zada jej kłam z ambony albo Lillibeth wstanie z grobu, by wykrzyczeć prawdę, albo też sam Bóg objawi się jej i rozkaże, aby przemówiła.

Mogłaby też liczyć na Donnę, która po tylu latach małżeństwa nie zdołała dać Johnny'emu syna; bezdzielna Ethel rozpowiadała współczującym szeptem o wszystkich wizytach Donny u lekarzy i wszystkich kuracjach, jakim się poddała.

Przynajmniej raz Mary pomyślała bez irytacji o zwiędłych maksymach swojego ojca. Była wśród nich jedna, pasująca jak ulał do żony Johnny'ego: „Zawiść i podejrzliwość mają tysiąc oczu”. Mary była przekonana, że widząc prześlicznego synka Mii Donna błyskawicznie odkryłaby prawdę.

Niestety, nie wzięła pod uwagę gniewnej zazdrości Johnny'ego. Otóż ledwie mały Torton przybył do Clearcove, młodzi Ryanowie natychmiast zerwali oficjalne stosunki, nawiązane z trudem przez Seana. Zawistna i zawiedziona Donna tylko czekała na pretekst, żeby trzymać się z dala od teścia i

jego nowej rodziny. W ten oto sposób Mary poczuła się skazana na niekończące się piekło.

Serce ścisnęło jej się na myśl o przyszłości córki. Egoistyczna radość, jakiej zaznała na wieść o jej powrocie, prędko zgasła. Po co Mia przyjeżdża do Clearcove? Jakie rozczarowania i skrywane porażki mogły skłonić ją do rezygnacji z błyskotliwej kariery? Czy zdawała sobie sprawę, na jaki ból się narazi mieszkając dwa kroki od Johnny'ego i jego żony?

Dopiero wieczorem, kiedy Sean brał ją w ramiona, opuszczało ją napięcie. Nie była już sama. Cokolwiek nastąpi, miała teraz przy sobie mężczyznę, który potrafi wszystkiemu zaradzić, pocieszyć ją i ochronić.

## XVI

W wywiadzie dla „Indiscreto” Mia z pewnością przesadziła opisując Clearcove jako nowoczesną wioskę, niewątpliwie jednak wielowiekowa izolacja zatarła się, mieszkańcy zaś przestali uważać obcych za siewców zła. Nowa droga otworzyła ten niedostępny raj dla turystycznych szlaków, na wzgórzu i wzdłuż plaży wyrosły nowe wille. Stocznia Mahoneyów, którą zarządzał Johnny Ryan, została przeniesiona do jednego z trzech hangarów, zbudowanych po zachodniej stronie wioski, i zapewniała pracę osiemdziesięciu robotnikom, spośród których wielu przybyło tu z innych regionów i osiedliło się wraz z rodzinami.

Drugi hangar został postawiony przez Oghamów z przeznaczeniem na obróbkę i puszkowanie łososia. Najstarsi rybacy z ciężkim sercem zgodzili się zrezygnować z połowów i pomóc robotnikom w ręcznych fazach produkcji.

Trzeci i najmniejszy hangar należał do Mary. Kiedy stara szopa na narzędzia Tortona okazała się za mała na nowe maszyny - a kontrakt podpisany z Paulem wymagał zwiększenia produkcji - Mary musiała ustąpić wobec nalegań Mii i kupić bardziej odpowiedni lokal. Wahala się przed podjęciem decyzji, wiedząc, że wydatek ten pochłonie sporą część oszczędności córki. Na szczęście jednak inwestycja okazała się rentowna i w ciągu dwóch lat Mary zdołała zwrócić całą pożyczoną sumę.

Postanawiając osiedlić się w Clearcove Mia zamierzała wydać te pieniądze na zakup domu dla siebie i dziecka. Jednakże nowo wybudowane wille wydały jej się pretensjonalne, w centrum zaś można było znaleźć wyłącznie maleńkie klitki - pospiesznie zaadaptowane szopy i strychy.

Wówczas Sean wpadł na pomysł: dlaczego by nie wyremontować zakładu Mary, który i tak stoi pusty? W starym ogrodzie Tortona stanąłby spory i wygodny dom. Mia długo się namyślała, choć bowiem było to idealne rozwiązanie, krępowała ją nieco świadomość, że zamieszka kilka kroków od domu, w którym spędziła dwadzieścia lat. Przed ślubem z Mary Sean rozbudował go czyniąc ich domem, a tym samym wymazując wszelkie ślady i wspomnienia z przeszłości.

Już sama bliskość Seana wzmogła wahanie Mii; szanowała go wprawdzie i była mu wdzięczna za troskliwość, ale przecież był ojcem Johnny'ego, co na zawsze uniemożliwiało powstanie między nimi głębokiej więzi. W każdym jego słowie i geście dostrzegała rezerwę, dezaprobatę, nieuchwytną wrogość ojca widzącego w niej kobietę, która odepchnęła jego syna. A może to poczucie winy doprowadzało ją do paranoi, wahanie zaś rodziło się ze strachu, że wyrzuty sumienia nasilą się, jeśli będzie mieszkała obok Seana nie mówiąc mu prawdy o małym Tortonie?

W końcu, nie znalazłszy nic odpowiedniego, zmuszona była przyjąć propozycję. Sean powierzył wykonanie robót remontowych firmie budowlanej z Barley Cove, która w ciągu dziewięciu tygodni uporała się z murarką. Wówczas Mia postanowiła wykorzystać krótki wypad do Irlandii: odwożąc dziecko mogła przy okazji sama wybrać urządzenia sanitarne, futryny i podłogi.

Kiedy wróciła na stałe do Clearcove, nowy dom był już ukończony, na jego widok zaś nie mogła się powstrzymać od okrzyków zachwyty. Chociaż budynek był nowoczesny, charakteryzowały go harmonia i solidność typowe dla starych domów. Matka wzruszyła ją do głębi, ofiarowując jej meble, które dziadek Torton niemal pół wieku wcześniej zrobił dla babci Betsey, łącznie z

ich sypialnią z mocnego drewna dębowego. Wszystkie obawy i napięcie Mii zniknęły już pierwszej nocy, gdy położyła się spać w łóżku dziadków. Naprawdę wróciła do swoich korzeni i nie mogło jej tu spotkać nic złego.

Optymizm nie opuszczał jej nawet wtedy, gdy Josette, wdowa po jej ojcu, zakomunikowała jej oficjalnie przez swego adwokata, że kontrakt na wyłączność między siecią domów towarowych a fabryką Mary nie zostanie przedłużony. Oznaczało to, że nim znajdą kolejnych nabywców, fabryka nie zarobi ani grosza. Mia wszakże nie upadła na duchu; w ciągu swej pięcioletniej kariery zdołała zaoszczędzić wystarczająco dużo, aby bez problemu przeczekać trudny okres.

Sean wcale nie podzielał jej beztroski.

- Zamiast ryzykować utratę całych oszczędności, powinnaś wszystko sprzedać - oznajmił bez ogródek.

- Żeby w wieku dwudziestu pięciu lat żyć w nieróbstwie z odsetek? Ani mi się śni! - odparła zapalczywie Mia.

- Wcześniej czy później ty też wyjdiesz za mąż, dziewczyno.

- Żadne prawo nie zabrania mężatkom prowadzenia interesów.

Sean uśmiechnął się gorzko.

- Porozmawiamy, jak zaczniesz pracę w tej waszej fabryce. Przez całe lata zadawałem sobie pytanie, czy twoja matka zwariowała czy jest męczennicą!

Mia pojęła słowa Seana dopiero kilka dni później, kiedy robotnice opowiedziały jej, w jaki sposób matka założyła własną firmę. Otóż wyrzuciwszy wszystko z szopy Tortona, Mary sprowadziła z Barley dachówki, cegły, bale drewniane, kable elektryczne i przez dwa miesiące wierciła otwory, piłowała, kopała, rozrabiała cement.

Zaciekawiony i przerażony z powodu krążących w wiosce pogłosek, Sean postanowił zobaczyć to na własne oczy. Ujrzał Mary, która opalona na brąz i pokryta pyłem siedziała na drabinie, mocując ostatni fragment rynny.

- Można wiedzieć, co ty, u licha, wyprawiasz? - wrzasnął podbiegając do

niej.

Mary odparła z wysokości:

- Zmykaj stąd, Seanie Ryane. Nie mam czasu na pogaduszki.
- Wystarczy, jak odpowiesz na moje pytanie.
- Nie widzisz? Remontuję szopę.
- Po co? Czy nie masz już domu?

W tej samej chwili z szopy wyszła kulawa Annie.

- Mary buduje fabrykę - odpowiedziała zamiast niej.
- A ty kim jesteś? Majstrem? - spytał z przekąsem.
- Nie, mój panie. Kiedy fabryka będzie skończona, przyjdę tu pracować.

Kulawa Annie i wdowa Donovan były pierwszymi współpracownicami Mary, kiedy zaś do tych dwu nieudacznic dołączyły pijaczka Jenny, stuknięta Holly i chora na padaczkę wnuczka starego O'Flaherty'ego, w wiosce zaczęły się kpiny i docinki.

Nie potrafiąc zapanować nad lękiem i rozdrażnieniem, Sean ponownie odwiedził Mary.

- Co ty tu urządzasz? Związek wyrzutków? Zamierzasz pracować czy uprawiać filantropię?

- Jedno nie wyklucza drugiego. Tak czy inaczej to, co robię, nie powinno cię obchodzić - odrzekła sucho Mary.

W ciągu zaledwie paru miesięcy mieszkańcy Clearcove musieli zmienić zdanie] w niepojęty, zgoła cudowny sposób córka Tortona O'Sullivan ubijała znakomite interesy, mimo że przyjęła do pracy prawie same kaleki. Nikt nie dostrzegał jednego: interes kwitł właśnie dzięki nim. Mary uwolniła te kobiety od nędznej egzystencji na marginesie społeczności, one zaś z uwielbienia i wdzięczności gotowe były skoczyć dla niej w ogień. To też czyniły pracując od świtu do nocy i dając z siebie wszystko, aby zadowolić Mary.

Kiedy przedsiębiorstwo się rozrosło i wraz z maszynami do przędzenia i farbowania wełny przybyły pierwsze wyszkolone robotnice, „biedne

nieudacznice” zdążyły już dojść do takiej wprawy, że Mary powierzyła każdej z nich stanowisko kontrolerki.

Przejmując po matce zarządzanie firmą Mia w pierwszym rzędzie doceniła jej zdolność pogodzenia interesów z szacunkiem; trzydzieści dziewcząt i kobiet pracujących w fabryce stanowiło nie tylko wydajną siłę roboczą. Były to żywe istoty, obdarzone takimi uczuciami jak entuzjazm, solidarność, przyjaźń.

Gdy kilka lat wcześniej w agencji Michele Russo wybuchł skandal, zdjęcie Mii ukazało się na pierwszych stronach irlandzkich gazet. Pracownicy Mary wykupiły wówczas wszystkie egzemplarze, jakie trafiły do sklepu, w złudnej nadziei, że oszczędzą Mary bólu i zdołają ukryć przed mieszkańcami wioski nieszczęście, jakie spotkało jej córkę.

I znowu kulawa Annie opowiedziała Mii wszystkie szczegóły pierwszego spotkania Mary z Paulem.

- Było to w lecie, w czasie przerwy na lunch. Właśnie jadłam razem z Lucy i Lizzie pod drzewem na placu. Nagle przyjeżdża taksówka i wysiada z niej twój ojciec. Od razu wiedziałyśmy, że to obcy. Podchodzi do nas, pokazuje na szopę i pyta, czy to jest fabryka Mary O’Sullivan. Zanim mu odpowiedziałam, chciałam wiedzieć, co to za jeden i czego od niej chce. Minęło ponad dwadzieścia lat od czasu, gdy pierwszy raz przyjechał do Clearcove, no to jak go miałam rozpoznać? Zaczęłam się domyślać prawdy, dopiero jak powiedział z francuskim akcentem, że jest jej starym przyjacielem. Wtedy aż mi się gorąco zrobiło i zaprowadziłam go do biura twojej matki. Nie będę ci mówić, jaką miała minę, kiedy go zobaczyła; wyglądała tak, jakby ujrziała ducha. Ja od razu wyszłam zamykając za sobą drzwi. Nie wiem, o czym mówili. Rozmawiali ponad trzy godziny. Potem on sobie poszedł, a Mary zwołała nas w warsztacie i z miejsca przytaknęła, że to twój ojciec. Ale zaraz dodała, że w ich rozmowie nie było nic osobistego. Paul ma dla niej propozycję handlową, a ona zupełnie nie wie, czy powinna ją przyjąć czy nie, bo nie mamy ani

odpowiedniego personelu, ani maszyn potrzebnych do produkcji tylu sztuk. W końcu to my, najstarsze pracownice, przekonałyśmy ją.

Niespodziewane pojawienie się „obcego” w Clearcove wywołało plotki i domysły kumoszek.

- W pewnym momencie rozeszły się pogłoski, że wrócił, żeby się ożenić z Mary i zabrać ją stąd na zawsze - opowiadała dalej Annie. - Tylko my wiedziałyśmy, że to absolutna nieprawda, i wyobraź sobie nasze zmieszanie, kiedy któregoś wieczoru Sean Ryan wpada do szopy jak furia i robi twojej matce karczemną awanturę. Wrzeszczał, że miała już dość kłopotów z tą kanalią i chyba nie wierzy, że Paul się z nią ożeni.

Mia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Tego nie wiedziałam... A co na to matka?

- Pewnie nie uwierzysz, ale pozwoliła mu się wydzierać, a sama stała nieruchomo nic nie mówiąc. Kiedy Seanowi zabrakło tchu, powiedziała ze stoickim spokojem, że Paul wcale nie jest kanalią, a ona z pewnością za niego nie wyjdzie, bo jest żonaty. Nie bardzo przekonany Sean na to, że skoro tak się sprawy mają, nie rozumie, po co tamten przyjechał. Mary opowiedziała mu, że ty i twój ojciec poznaliście się w Rzymie, że masz brata i właśnie dzięki nim zdołałaś się wydostać z kłopotów, w jakie cię wpędził twój szef. Dodała, że Paul przyjechał w interesach. Zdecydowała się przyjąć jego propozycję dlatego, że to dobra oferta, i dlatego, że zamierza nawiązać cywilizowane stosunki z ojcem swojej córki.

- To naprawdę dziwne, że matka udzieliła mu tylu wyjaśnień, zamiast coś odburknąć, jak to zawsze robi - zaproponowała Mia, wysłuchawszy z ogromnym zainteresowaniem tej relacji.

Annie uśmiechnęła się przebiegle.

- Nas też to zdziwiło. Prawda jest taka, że Lillibeth zmarła, Sean był wolny, a twoja matka nie chciała go znów utracić przez dumę albo upór.

- Ale Sean też jest dumny i uparty, i na pewno mu się nie podobało, że



moi rodzice tak się nagle ze sobą zaprzyjaźnili!

- I tu się mylisz, bo kiedy twój ojciec przyjechał do Clearcove po raz drugi, Mary ich sobie przedstawiła; nie mówię, że od razu zostali przyjaciółmi, ale na pewno Sean go zaakceptował i przestał robić sceny.

Mia zawahała się przez chwilę.

- Z tego, co mi powiedziała matka, wynika, że syn i synowa Seana jeszcze mu nie wybaczyli powtórnego ożenku.

- Ach, ci... - skrzywiła się Annie. - To dwoje niewdzięczników i tyle. Sean podarował synowi swój stary dom, dał mu furę pieniędzy na rozkręcenie interesu, a Johnny zamiast podziękować, ciągle się boczy.

- Nigdy nie był w domu Seana i Mary?

- Nie sędzę. Czasami ojciec spotyka się z nim w pubie albo w stoczni, ale i on, i Donna omijają Mary z daleka, jakby była trędowata. To przede wszystkim ona nienawidzi twojej matki, ale jest tak nieszczęśliwa, że wzbudza tylko litość. Już trzy razy poroniła, a wciąż nie chce przyjąć do wiadomości, że nie może mieć dzieci. Nie ma przyjaciółek, wiecznie siedzi zamknięta w domu i ciągle tylko sprząta, a od jakiegoś czasu nie widzujemy jej nawet na niedzielnej mszy.

- A... jej mąż?

Annie wzruszyła ramionami.

- Johnny Ryan wychodzi z domu o świcie i wraca w nocy. Biedak, na niego też żal patrzeć, ma wiecznie ściągniętą twarz i niezadowoloną minę. Podobno zarabia kupę pieniędzy, ale to niewielka pociecha, skoro nie ma syna, któremu by je zostawił, ani żony, z którą by się nimi cieszył.

- Nikt go nie zmuszał, żeby się ożenił z Donną.

Annie rzuciła Mii dziwne spojrzenie.

- Może nie, a może tak. Kto to może wiedzieć?

Do wszystkich trzech hangarów zbudowanych po wschodniej stronie Clearcove prowadziła jedna droga, kończąca się na obszernym wspólnym placu wykorzystywanym jako parking. Pracownicy Mii, prócz sześciu dojeżdżających

z pobliskich wiosek, jako środka transportu używały roweru i nawet sama Mia poszła w ich ślady. Dojazd do fabryki na rowerze nie tylko był jedyną sposobnością, aby zażyć trochę ruchu, ale przede wszystkim pozwalał jej unikać spotkania z Johnnym, przynajmniej na parkingu.

Pracowali niespełna dwieście metrów od siebie, toteż prędzej czy później musieli się w końcu spotkać twarzą w twarz, Mia jednak miała nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko. Już sama myśl o tym wprawiała ją w złość i zakłopotanie. Jak powinna się zachować w takiej sytuacji? Przywitać się z nim obojętnie? Pójść dalej udając, że go nie widzi?

Jej napięcie zmalowało, gdy pewnego dnia Sean rzekł do Mary, iż jego syn wyjechał do Galway i zostanie tam przez parę tygodni, aby dopracować z technikami Mahoneyów nową linię łodzi. Przez dwa tygodnie mogła wchodzić i wychodzić z hangaru nie przejmując się porą dnia, pedałowac bez pośpiechu, rozglądać się wokół, odbierać Tortona z przedszkola, przystawać w sklepie na pogaduszki. Dopiero pod koniec tego okresu absolutnej swobody uświadomiła sobie, jak kłopotliwa i niewygodna jest bliskość Johnny'ego. Czuła się, jakby chodziła po polu minowym - czy potrafi nadal przemieszczać się ukradkiem, z sercem skaczącym do gardła, mając nadzieję, że zdoła go uniknąć? Jak długo wytrzyma? I jak długo szczęście i przypadek będą jej sprzyjać?

Odezwała się w niej naraz dawna śmiałość - jedyny sposób, aby rozwiązać jakiś problem, to stawić mu czoło. Toteż któregoś wieczoru, po wyjściu wszystkich pracowników, Mia stanęła przed hangarem ze wzrokiem utkwionym w bramie naprzeciwko. O dziesiątej spostrzegła Johnny'ego, który zmierzał właśnie na parking.

Teraz, nakazała sobie, gwałtownie nabierając i wypuszczając powietrze.

- Możesz się na chwilę zatrzymać?

Johnny odwrócił się powoli i popatrzył na nią lodowatym, pytającym wzrokiem.

- Właśnie wychodziłam. Zobaczyłam cię, chciałam się więc przywitać.

- Witam uniżenie - odparł. Włożył kluczyk do zamka.

- Minęło już sześć lat. Mam nadzieję, że przestałeś się wreszcie na mnie bocyć. Skoro wróciłam do Clearcove i pracujemy obok siebie, wydawało mi się, że powinniśmy przełamać pierwsze lody - powiedziała lekko.

- Jeśli masz ochotę utrzymywać dobrosąsiedzkie stosunki, idź sobie uciąć pogawędkę z kumoszkami z wioski. Ja nie mam czasu.

- Ja też nie. Chciałam się tylko przywitać i wcale nie przypuszczałam, że tak cię to poruszy - oznajmiła prowokująco.

- Poruszyła mnie twoja głupota. Jak mogłaś pomyśleć, że będę miał ochotę z tobą rozmawiać?

- Prędzej czy później i tak byśmy musieli porozmawiać, skoro zostaliśmy rodzeństwem - roześmiała się.

- Mylisz się; dla mnie twoja matka w ogóle nie istnieje, podobnie zresztą jak ty. - Otworzył drzwi, zamierzając wsiąść do samochodu.

- Zaraz, chwileczkę! - Mia chwyciła go za ramię. - Za kogo ty się uważasz? Jakie masz prawo osądzać innych i pogardzać nimi? Nie sądzisz, że moja matka już zapłaciła za swoje błędy? - Tym razem wpadła we wściekłość.

Johnny gwałtownie wyrwał ramię i bez słowa włączył silnik.

## XVII

Wbrew temu, co myślał jego ojciec i cała wioska, Johnny wcale nie uważał swojego małżeństwa z Donną za nieudane. Miłość do Mii przysporzyła mu tak wielu cierpień, że na samo ich wspomnienie czuł się tak, jak gdyby dostał cios prosto w żołądek. Szczęście równało się dla niego nie odczuwaniu więcej strachu, niepewności, rozpaczliwej zazdrości. Otrzymał wszystko to, czego oczekiwał żeniąc się z Donną: dobrą żonę, która nie miewa dziwacznych kaprysów, życie wolne od przykrych niespodzianek, przytulny, dobrze utrzymany dom. Brakowało mu tylko dziecka, ale byli jeszcze wystarczająco młodzi, aby nie tracić nadziei.

Żał mu było Donny, która po trzech poronieniach nie potrafiła ukryć

zawodu i rozgoryczenia. Powrót Mii do Clearcove zaostrzył jeszcze ten stan ducha, a Johnny na próżno próbował ją uspokoić: nie powinna być zazdrosna o ostatnią kobietę na świecie, po której mężczyzna mógłby płakać, o dawno wygasłe uczucie, które okazało się największą pomyłką jego życia.

Z upływem kolejnych tygodni Johnny zaczął rozumieć, że jego żona cierpi nie tyle z powodu lęku, co upokorzenia. Donna miała wrażenie, jakby Mia wróciła specjalnie po to, aby zrobić jej na złość, chwając się synem, którego ona nie mogła mieć, sukcesem, którego jej los poskąpił, i względami Seana, który Donny nie cierpiał.

- Jesteś warta sto razy więcej niż ta kobieta - powtarzał jej z przekonaniem Johnny, mając nadzieję, że i ją zdoła przekonać. Życie jego matki legło w gruzach przez Mary, toteż nie mógł znieść myśli, że to samo mogłoby spotkać jego żonę. Zaharowywał się dla niej, kochał ją na swój sposób, doceniał jej zalety - to właśnie jest prawdziwa miłość, a nie ów ślepy zachwyty, który odczuwał wobec Mii, a który idiotycznie sentymentalna Donna tak bardzo pragnęła w nim wzbudzić.

W przeciwieństwie do Seana Johnny'emu udało się wyrzucić z umysłu i z serca wszelkie objawy tego młodzieńczego szaleństwa. W ogóle nie obchodziło go, co robi Mia. Nawet gdyby ujrzał ją na skraju przepaści, nie wyciągnąłby ręki, żeby ją ratować. Tak jak Donna czuł gorzką urazę do ojca, który najwyraźniej wolał dwie obce kobiety i małego bękarta od syna jedynaka i synowej. Teraz tamci stanowili jego rodzinę. Umożliwiając Mii zamieszkanie o rzut kamieniem od swego domu, Sean dodatkowo utrudnił ich wzajemne stosunki. Nikt nie zdołałby już teraz przekonać Donny do złożenia mu wizyty lub wspólnego spędzenia niedzieli; zresztą Johnny też wcale tego nie chciał. Drażnił go widok Mary, a na samą myśl, że może natknąć się na Mię, krew uderzała mu do głowy.

Zaplanował swój rozkład zajęć tak, żeby ograniczyć tę ewentualność do minimum: przychodził do stoczni co najmniej dwie godziny przed tym, zanim

Mia pojawiała się w fabryce, wychodził zaś dużo później niż ona. W niedzielę uczestniczył wraz z Donną w pierwszej porannej mszy, po czym wracali do domu albo spędzali resztę dnia w Barley Cove. Wszystkie te środki ostrożności dawały rezultaty. Ponieważ zaś był przekonany, że Mia też robi wszystko, aby go unikać, po kilku tygodniach nabrał pewności, że mogą się zestarzeć i umrzeć w ogóle się nie widując.

Nieoczekiwane spotkanie na parkingu kazało mu jednak zmienić zdanie. Okazało się bowiem, że Mia nie tylko jest bezwstydnicą, która wcale się nie stara zejść mu z oczu, ale na dodatek sama zrobiła pierwszy krok. Atmosfera, w jakiej żyła, i doświadczenia, jakie miała za sobą, musiały być doprawdy poniżające, jak bowiem inaczej wyjaśnić cynizm i bezczelność jej postępków? „Minęło tyle czasu, zapomnijmy o wszystkim, zachowujmy się jak starzy przyjaciele...” Z jego cierpień i rozpacz zrobiła zwykłą szczenięcą miłość, która wywołuje co najwyżej uśmiech i obojętny żart.

W porównaniu z córką Mary to prawdziwa święta. Przyznawał to z wielkim trudem, ale po zgubnym szaleństwie, jakim był romans z obcym, ta kobieta przez całą swoją młodość czekała, aż będzie się mogła połączyć z wielką miłością swego życia. I można jej było zarzucić wszystko, ale nie to, że w tym czasie szukała przygód z innymi mężczyznami.

Mia natomiast musiała mieć ich tyle, że straciła rachubę; prawdopodobnie nawet nie była pewna, kto jest ojcem jej dziecka. Jak zauważyła kiedyś Donna, było coś dziwnego w tym, że mały został zarejestrowany w urzędzie i w parafii pod nazwiskiem matki. Dało się to wytłumaczyć tylko w jeden sposób: nie wiadomo, kto jest jego ojcem. Podobno nawet fotograf Michele Russo miał co do tego poważne wątpliwości, skoro nie uznał dziecka za swoje.

To niesprawiedliwe, żeby syn miał płacić za winy matki, Johnny doskonale o tym wiedział, nie mógł jednak zdusić w sobie niezrozumiałego wstrętu do Tortona. To dziecko stanowiło przecież żywy dowód zepsucia Mii i wydawało się niemożliwe, aby chłopczyk był taki cudowny, jak wokół

mówiono. Śliczny i radosny jak aniołek - tak go opisała siostra proboszcza, nie przejmując się wcale, że byli przy tym on i Donna. Jej brak taktu okazał się jednak niczym w porównaniu z bezwstydnym przywiązaniem, jakim syna Mii darzył Sean. Nie do wiary! Czyżby nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo upokarza Donnę świadomością, iż teść traktuje obcego dzieciaka jak prawdziwego wnuka?

Niestety, kumoszki miały długie języki i nigdy nie omieszkały jej donieść, że widziały Seana na spacerze, w łódce albo w sklepie wraz z małym Tortonem.

Nie przypominał sobie, by ojciec okazywał mu tyle serca albo miał dla niego aż tyle czasu, kiedy on sam był dzieckiem. Niewrażliwość Seana zaczęła wszakże graniczyć z bezczelnością, kiedy rok wcześniej, w pubie, ośmielił się zaproponować, aby Johnny przyszedł z Donną do jego domu i poznał wnuczka Mary.

- Jeszcze go nie widziałeś - rzekł niemal z wyrzutem.

Johnny ledwie się powstrzymał, by nie rzucić mu w twarz, co o tym myśli. Mimo wszystko przecież kochał ojca i nie chciał, aby wyrósł między nimi mur nie do przebiccia. Nadal trzymał się z dala od nieznośnego smarkacza, co do Mii zaś miał szczerą nadzieję, że po tym, jak chłodno potraktował ją na parking, ostatecznie zrezygnuje z dalszych prób zbliżenia.

Chociaż postanowił przemilczeć ten epizod, a tym samym zaoszczędzić żonie niepotrzebnych zmartwień, Donna po raz kolejny udowodniła, że posiada zdumiewającą (i jak czasem myślał, paranormalną) zdolność wyczuwania, wychwytywania, przewidywania i kojarzenia ze sobą rozmaitych wydarzeń. Już nazajutrz po skandalicznym zaczepieniu go przez Mię zaczęła demonstrować podejrzliwość i zazdrość. Wystarczyło, by wrócił ze stoczni dziesięć minut później niż zwykle, a już zasypywała go lawiną pytań: Gdzie byłeś? Spotkałeś kogoś? Co przede mną ukrywasz?

Kiedy zdarzało mu się skupić nad jakimś problemem w pracy albo

zamyślić się nad czymś głęboko, Donna przyglądała mu się z niepokojem: Stało się coś? Martwisz się czymś? Czy nie chcesz o tym porozmawiać?

Daremnie starał się ją uspokoić. Któregoś wieczoru zastał ją we łzach.

- Już dłużej nie mogę! Taka sytuacja doprowadza mnie do szaleństwa! -  
wybuchnęła.

- Uspokój się. Jaką sytuację masz na myśli?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz! Od kiedy ta baba tu przyjechała, nie jesteś sobą, a nasze małżeństwo się rozpada!

Johnny otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Co ci przyszło do głowy? Pleciesz bzdury, Donna.

- Tak właśnie mówił do Lillibeth Sean, żeby ją udobruchać, a tymczasem spiskował za jej plecami z kochanką.

- To wierutne kłamstwo. Mary znalazła miejsce w jego życiu dopiero, gdy został wdowcem.

- Nie zamierzam umierać, żebyś mógł swobodnie pobiec do ukochanej -  
wycedziła z nienawiścią Donna.

Johnny odwrócił się na pięcie.

- Nie zamierzam tego dłużej słuchać.

- Ale będziesz słuchał! Jeżeli się dowiem, że spotkałeś się z tą kobietą  
albo z kimś z jej rodziny, przysięgam, że pożałujesz.

- Może zażadasz, żebym nie widywał się z własnym ojcem?

- Właśnie tak. On już dokonał wyboru, a teraz ty musisz wybrać.

Johnny westchnął.

- Jest mi tak samo przykro jak tobie, ale to przecież mój...

- Dzisiaj był w sklepie. Wybierał sprzęt wędkarski dla dzieciaka, a kiedy  
weszłam, udał, że mnie nie widzi.

- Może naprawdę cię nie zauważył.

- Nie jestem zjawą. Nie jestem też idiotką. Twój ojciec nigdy mnie nie  
mógł ścierpieć i nie przepuszcza żadnej okazji, żeby mnie zignorować i poniżyć.

Przywiązanie, które okazuje temu bękartowi, to też sposób, by mi wytknąć, że nie potrafiłam dać mu wnuka.

- Przyznaję, że przesadnie go hołubi, ale mój ojciec nie jest aż tak podły. Mieszkając z malcem, w końcu musiał się do niego przywiązać. Wiesz, jakie są dzieci...

Donna spojrzała na niego krzywo.

- Nie, nie wiem.

- Tak czy inaczej, wałkowaliśmy to już tysiąc razy i nie rozumiem, dlaczego nagle robisz z tego tragedię! Sean na pewno nie jest pierwszym mężczyzną, który żeni się po raz drugi i zakłada nową rodzinę.

- Najwyższy czas uświadomić mu, że stracił starą. Spotykając się z nim pokazujesz, że jesteś po jego stronie, i obrażasz mnie.

- Ja się wcale z nim nie spotykam. Kiedy się mijamy, przystaję na chwilę, żeby zamienić z nim dwa słowa albo napić się piwa. To wszystko.

- Od tej pory masz się odwracać w drugą stronę, tak jak on to dziś zrobił na mój widok. Jesteś moim mężem i powinienes dbać o to, żeby mnie szanowano.

- Dlaczego sama nie spróbujesz się trochę wysilić, Donno? Czy przypadkiem nie jest tak, że mój ojciec cię nie znosi, bo zawsze go podle traktowałaś? Nie pamiętam żadnego uśmiechu, miłego gestu ani zwykłego „dziękuję” z twojej strony.

Donna zamierzała odpowiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Przez chwilę wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, przejęta zgrozą. Potem wybuchnęła histerycznym płaczem i czym prędzej wyszła z pokoju.

Przez trzy dni nie odezwała się do niego ani słowem i nie chciała z nim spać, mimo iż gorąco ją przeproszał. Wybaczyła mu dopiero wtedy, gdy uznała, że czuje się dostatecznie winny i wystarczająco się pokajał. Rzeczywiście miał poczucie winy: jak mógł być tak gruboskórny i jątrzyć bolesne rany swojej żony?



Niejasna, mglista niechęć, jaką po raz pierwszy do niej poczuł, tylko podsyciła jego wyrzuty sumienia. Donna nigdy nie miała przyjaciółki, nigdy też nie obchodził jej nikt obcy. Po ślubie przestała odwiedzać nawet własnych rodziców i krewnych, choć mieszkali w sąsiedniej wiosce. Musiał z przykrością stwierdzić, że jeśli spojrzeć na nią obiektywnie, naprawdę sprawia wrażenie osoby niemilej. Oskarżenia, które rzucił jej w twarz w chwili złości i których żałował z całego serca, nie były niestety bezpodstawne - Sean omijał ją z daleka, ponieważ jej nie lubił.

Nikt nie lubi Donny. Prawda ta objawiła mu się niespodziewanie, rodząc smutek i bezsilność. W ciągu następnych dni często zadawał sobie pytanie, w jakim stopniu gadanina, insynuacje i ciągle utyskiwanie Donny przyczyniły się do stopniowego odsunięcia się od nich Seana. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że nie może mieć żalu do ojca o ułożenie sobie życia na nowo, ani obwiniać go o to, iż kobieta, którą kocha, to Mary. Uczciwie musiał przyznać, że sama Mary zawsze odnosiła się do niego z ogromnym taktem i uprzejmością. Jedyne szkopał tkwił w tym, że była matką Mii.

Z tego właśnie powodu od samego początku nie był w stanie traktować ją jak krewną ani cieszyć się nowym życiem swojego ojca, co jednak wcale nie usprawiedliwiało dramatycznego zerwania wszelkich stosunków między nimi. Co by się takiego stało, gdyby zjadł z nim od czasu do czasu obiad albo złożył mu wizytę po uprzednim upewnieniu się, że Mii nie będzie w domu? Mógłby ostatecznie pogodzić się z obecnością dziecka, które było w końcu niewinną ofiarą całej sytuacji.

Donna jednak zmusiła go do zmiany zdania. Zamiast go zachęcić i pomóc mu, wyolbrzymiała wszystkie problemy przedstawiając zachowanie Seana w jak najgorszym świetle. W taki oto sposób z każdym dniem zakłopotanie wywołane ślubem ojca z Mary przekształcało się w jawne potępienie, trudności w nawiązaniu normalnych stosunków zaś w stanowczą niechęć.

Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że zaczyna patrzeć na Donnę innymi

oczami. I wcale mu się nie spodobało to, co widział: żona nie potrafiła znieść myśli, że on może kochać kogoś poza nią. Ich dom został stopniowo zamknięty dla przyjaciół, kolegów z pracy, krewnych. Donna zawsze miała do powiedzenia na ich temat coś przykrego i odsunęła ich od Johnny'ego, zostawiwszy wokół pustkę. Sean był ostatnim intruzem, którego należało się pozbyć; dopóki nie uda jej się sprawić, by Johnny go znienawidził, jej żądza posiadania nie zostanie zaspokojona.

Podczas jednej z coraz częstszych bezsennych, niespokojnych nocy Johnny cofnął się myślami do tego popołudnia, kiedy Donna przyniosła mu do stoczni gazety, w których pisano o skandalu wywołanym przez fotomodelki-prostytutki. Po raz pierwszy dotarło do niego coś, co wtedy mu umknęło: wyraz triumfu, z którym pokazała mu palcem zdjęcie Mii, radosny ton, jakim oznajmiła:

- Ona też jest w to zamieszana!

Wyglądała jak osoba skazana na śmierć, która właśnie się dowiedziała, że ją ułaskawiono, przypomniał sobie z niechęcią Johnny.

Nazajutrz rano, gdy Donna pomagała mu włożyć kurtkę, odepchnął ją odruchowo i cofnął się o krok; nie mógł znieść jej troskliwości ani jej dotyku.

- Co ci jest, Johnny?

- Późno już, muszę iść.

Zamierzała chwycić go za ramię, ale natychmiast opuściła dłoń.

- Proszę cię, zaczekaj - szepnęła.

Odwrócił się z westchnieniem. To, co ujrzał w oczach żony, w jednej chwili stłumiło niechęć, która narastała w nim od tygodni. Donna była upokorzona, poniżona, śmiertelnie przerażona.

- Wybacz mi - bąknął, zbyt zmieszany, by powiedzieć cokolwiek innego.

- Mam tylko ciebie, Johnny. Jeśli chcesz, żebym coś zrobiła albo czegoś nie robiła, wystarczy powiedzieć.

- Wiem.

- Jeśli masz do mnie żal, wolę, żebyś krzyczał lub nawet mnie uderzył, niż patrzył na mnie tak, jakbym była twoim wrogiem.

- Mam żal do losu. To nie twoja wina.

Dzięki Bogu w porę zrozumiał, że nie może zrzucać na Donnę winy za to, co mu się w życiu nie układa. Odizolowała go, odsunęła od ojca i jego nowej rodziny tylko dlatego, że jej na to pozwolił. Gorzej: dlatego, że to on tak zdecydował. Nie potrafiąc wziąć tego na siebie, obarczył żonę odsuwaniem, oskarżaniem, skazywaniem i nienawidzeniem za niego. A teraz stała przed nim nieszczęśliwa i drżąca, pytając, co źle zrobiła. Jak jej wytłumaczyć, że jedynym winnym jest on sam, tchórzliwy i niewdzięczny mocodawca?

## XVIII

W pierwszych dniach grudnia Johnny musiał odbyć podróż służbową do Galway i wyjechał martwiąc się bardzo o Donnę, która od tygodnia cierpiała na silną migrenę. Leżała całymi godzinami w ciemnościach. Na próżno nalegał, aby poszła do lekarza.

Ledwie dotarł do Galway, zatelefonował do sklepu i poprosił bezdzietną Ethel, aby od czasu do czasu rzuciła okiem na jego żonę. Zanim odłożył słuchawkę, zostawił jej numer do hotelu i do stoczni Mahoneyów, aby w razie potrzeby mogła się z nim skontaktować.

Wróciwszy do Clearcove dziesięć dni później, zastał Donnę w łóżku. Miała ściągniętą twarz i wyraźnie schudła. Ethel wyjaśniła mu, że jadła niewiele albo wcale z powodu mdłości, które dołączyły się do bólu głowy.

- Zawiozę cię do lekarza - oznajmił stanowczo Johnny.

Donna zaprzeczyła w milczeniu z wyrazem udręki i zniecierpliwienia na twarzy.

- Tak dłużej być nie może! - wybuchnął.

- Już mi lepiej...

- Nie opowiadaj głupstw. Naprawdę nie rozumiem twojego uporu.

Donna uniosła się na poduszce z nieoczekiwaną energią i krzyknęła:

- Dostyc mam doktorów! Wolę umrzeć, niż znowu dać się położyć w szpitalu!

Johnny przysiadł na brzegu łóżka.

- Bądź rozsądna, Donno. Dlaczego miałabyś pójść do szpitala? Na pewno nic ci nie jest i po odpowiednim leczeniu wszystkie dolegliwości miną.

- Jestem po prostu zmęczona, za parę dni samo przejdzie.

- To powinien stwierdzić lekarz!

- Nie. Koniec dyskusji.

Nazajutrz po południu Ethel przyszła do stoczni, aby mu powiedzieć, że Donna od dwóch godzin wyje z powodu bólu głowy, a ona nie wie, co robić.

- Zostań z nią, ja się tym zajmę - uspokoił ją Johnny.

Wypadł z biura i wsiadłszy do samochodu, ruszył prosto na drugi koniec wioski, gdzie lekarz z Barley Cove otworzył ambulatorium. Przyjmował trzy razy w tygodniu i Johnny miał nadzieję, że go zastanie. W przeciwnym wypadku pojechałby po niego do Barley. Musiał koniecznie porozmawiać z nim na temat dolegliwości Donny i poprosić go o radę. Możliwe, że lekarz zechce ją zbadać. Ułatwi mu to, choćby siłą.

Ambulatorium było otwarte. Johnny zaparkował po lewej stronie furtki, wysiadając zaś spostrzegł w pobliżu inny samochód, należący, jak mu się zdawało, do jego ojca.

Nie mylił się. Gdy wszedł do niewielkiej poczekalni, ujrzał Seana, który rozmawiał z siedzącym obok dzieckiem. Na pewno z synem Mii. Przez chwilę przyglądał im się oszołomiony. Zanim jednak jego zdumienie przerodziło się w zniecierpliwienie lub gniew, ojciec wstał z krzesła i podszedł do niego.

- Witaj, chłopcze, co za przyjemność cię zobaczyć!

- Muszę porozmawiać z doktorem.

- Będziesz musiał trochę poczekać. Lepiej sobie usiądź. - Wskazał krzesło obok swojego.

Johnny mruknął coś niewyraźnie, po czym usiadł odruchowo,

przeklinając w duchu to spotkanie. Wtedy usłyszał głos małego:

- Pan doktor właśnie wkłada w gips nogę mojego przyjaciela Petera. Złamał ją sobie dzisiaj rano, kiedy graliśmy w piłkę na boisku szkolnym.

- Johnny, to jest wnuczek Mary - wtrącił swobodnie Sean.

- Domyśliłem się.

- A ty kto jesteś? - znów głos dziecka.

- To mój syn - rzekł na to z uśmiechem Sean.

- W takim razie jesteś Johnny! Ty też jesteś chory?

- Nie. - Uświadomiwszy sobie, że był zbyt szorstki, Johnny czym prędzej dodał możliwie jak najgrzeczniej: - Moja żona niezbyt dobrze się czuje.

- Ja się uderzyłem w głowę, ale nie powiedzieliśmy nic mamie, żeby jej nie martwić.

Sean znów się uśmiechnął:

- Dzisiejszy mecz był raczej burzliwy.

- Taak...

- Co jest Donnie?

- Migrena i mdłości.

W oczach Seana błysnęła iskierka.

- Czy to nie przypadkiem...

- Nie, nie jest w ciąży - przerwał mu Johnny. - I nie chce nawet dać się zbadać.

- Boi się pana doktora? - spytało dziecko.

- Najwidoczniej tak. - Johnny spojrzał na zegarek;

- Ja się boję tylko wysokich fal i Srebrnej Ręki.

Sean chwycił małego za ramiona.

- Powinieneś być cicho. Może mój syn nie ma ochoty na rozmowę?

Johnny machnął ręką na znak, że mu to nie przeszkadza. Potem spytał uprzejmie:

- Kto to jest Srebrna Ręka?

- Bardzo zły wiking, który napadł na Irlandię. Miał hełm z rogami i jedno ramię zakute w srebrną zbroję. Wszyscy drżeli ze strachu, kiedy błyszczała w słońcu.

- To piękna historia!

- Jak byliśmy w Rzymie, mama ciągle mi opowiadała *seanachs*. To stare irlandzkie opowieści. Znasz moją mamę?

- Torton, dość już - wtrącił się natychmiast Sean.

- Tak, znam.

- A babcię Mary?

- Ją też znam. A ty skąd wiesz, że mam na imię Johnny?

- Skoro jesteś jego synem - chłopczyk wskazał na Seana - musisz się tak nazywać.

Johnny spojrział z ukosa na ojca, niech i on poczuje się niezręcznie.

- Dziadek Sean mówił ci o mnie? - spytał.

- Zawsze powtarza, że jak byłeś mały, łowiłeś ryby lepiej ode mnie. Ale Sean nie jest moim dziadkiem.

- Myślałem, że jest.

Chłopiec popatrzył na niego dumnie.

- Żeby być moim dziadkiem, musiałby być tatą mojej mamy!

- Racja, nie pomyślałem o tym.

- Ale ja i tak go kocham jak najprawdziwszego dziadka, nawet jeśli mama chce, żebym mówił na niego Sean.

- O! A to dlaczego? - zdziwił się Johnny, spostrzegając z sadystycznym zadowoleniem, że ojciec zaczyna wreszcie odczuwać zakłopotanie.

Mały wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Mama każe mi czasami coś zrobić i nie mówi dlaczego. Ale jest bardzo dobra.

- Podoba ci się w Clearcove?

- Strasznie. W Rzymie nie było morza ani mola, ani nawet Seana i babci

Mary. - Chłopiec niespodziewanie przerwał, otworzyły się bowiem drzwi do gabinetu i ukazał się w nich mały Peter z nogą w gipsie. Torton natychmiast podbiegł do przyjaciela.

- Jeśli się spieszysz, wejdź pierwszy - zaproponował synowi Sean.

- Dziękuję. To potrwa tylko chwilę.

Wyszedł po pięciu minutach i po raz drugi podziękował ojcu.

- Co powiedział lekarz?

- Przyjdzie zbadać Donnę, jak tylko skończy przyjmować w ambulatorium.

Zapadło długie milczenie.

- Odezwij się czasem, Johnny. Jeśli nie zobaczymy się przed świętami, serdeczne życzenia dla ciebie i żony.

- Na pewno się spotkamy. - Zwrócił się do Tortona: - Cześć, mały.

Nie było tak źle, pomyślał Johnny wsiadając do samochodu. Poczł nawet ulgę. Miesiącami zadawał sobie pytanie, jak się zachowa, jeśli natknie się na ojca i syna Mii; w końcu to nastąpiło i problem przestał istnieć. Gdyby znów ich kiedyś spotkał, wiedział, że teraz może przystanąć na chwilę i zamienić z nimi kilka słów, nie trzęsąc się przy tym z oburzenia ani nie nieruchomiejąc ze skrępowania.

Niechętnie musiał przyznać, że chłopiec bardzo się różni od rozkapryszonego i natrętnego smarkacza, którego stworzył w myślach. Poznawszy go nieco bliżej, rozumiał, dlaczego Sean tak się do niego przywiązał. To niesprawiedliwe, że szczęście posiadania takich dzieci spotyka niegodne kobiety w rodzaju Mii, omija zaś te, które jak jego żona mają wszystkie potrzebne zalety, aby być kochającymi matkami i odpowiednio wychować swoje potomstwo.

Donna. Myśl o niej natychmiast przywołała Johnny'ego do rzeczywistości. Świadomość, że wkrótce ma ją zbadać lekarz, wcale nie stłumiła jego obaw - a jeśli wykryje jakąś poważną chorobę? Nawet krótki pobyt w

szpitalu dla przeprowadzenia rutynowych badań stawał się problemem z uwagi na stanowczy sprzeciw Donny. Trudno było wszakże nie przyznać jej racji. Po trzech poronieniach i niekończącej się serii hospitalizacji całkowicie straciła zaufanie do lekarzy i leków. Kilka miesięcy wcześniej Johnny zupełnie poważnie zaproponował, aby zaadoptowali jakieś dziecko, wywołało to jednak gwałtowną reakcję Donny.

- Chcę własnego dziecka, nie jakiegoś obcego bękarta!

Bękart. Czy nie tak właśnie przez całe lata pogardliwie nazywał Tortona? Po raz pierwszy poczuł wstyd. Zaakceptowałby i pokochał natychmiast takie dziecko, bez względu na to, kim byliby jego rodzice i skąd by pochodziło. Czy nie tak właśnie postąpił Sean? „Kocham go jak najprawdziwszego dziadka” - oznajmił z powagą Torton. Dziwna rzecz: patrząc na ojca i syna Mii siedzących obok siebie, coraz wyraźniej dostrzegał ich zewnętrzne podobieństwo. Tak, pomyślał z niejasnym poczuciem ulgi, ten mały wydał mi się znajomy, bo porusza się jak mój ojciec, ma takie same oczy, które spoglądają w głąb duszy, i taki sam uśmiech...

Gdyby mi się udało namówić Donnę na adopcję, rzekł sobie w duchu, otrząsnęłaby się z goryczy, a ja byłbym szczęśliwy jak najprawdziwszy ojciec. Ale teraz z pewnością nie był właściwy moment, by o tym mówić. Najpilniejszą sprawą było zdrowie jego żony. Sześć lat po śmierci Lillibeth ciągle nie potrafił się pogodzić z tym, że zabrała ją niespodziewana i śmiertelna choroba, nie dopuszczał więc nawet myśli, że mogłoby się to zdarzyć po raz drugi. Przeklinał sam siebie za to, że nie wezwał lekarza od razu. Prawdopodobnie było to przejściowe niedomaganie, ale tylko doktor mógł to stwierdzić na pewno. Jeśli trzeba będzie wykonywać badania, zrobi się to natychmiast, nawet gdyby miał siłą zaciągnąć Donnę do szpitala.

Lekarz przybył godzinę później i po długiej wizycie u chorej oznajmił Johnny'emu, że jego żonie dolega depresja i wyczerpanie; wszystko wskazuje na to, iż jej migreny mają podłoże nerwowe. Powinna wstać z łóżka, wyjść z



domu, ruszać się. Zostawił

Johnny'emu receptę i dodał, że w obecnym stadium nie widzi potrzeby pobytu w szpitalu ani żadnych badań - wrócą do tego, jeśli ataki nie ustaną.

Była dziewiąta wieczorem, Donna zdążyła właśnie zasnąć pod wpływem zastrzyku, który lekarz zrobił jej przed wyjściem, gdy zadzwonił telefon. Johnny pobiegł go odebrać, mając nadzieję, że nie chodzi o jakieś kłopoty w stoczni. Do diabła, czy już nie może mieć nawet jednego wolnego popołudnia? Na jego szorstkie „halo” odpowiedział niepewny kobiecy głos.

- Czy nie przeszkadzam, Johnny?

- Kto mówi?

- Mary. Słyszałam, że Donna źle się czuje i chciałam się dowiedzieć, czy jej się polepszyło.

- To bardzo miło z twojej strony, dziękuję... - Johnny był tak zaskoczony jej telefonem, że z zakłopotania nie wiedział, co powiedzieć. Słyszając, że Mary milczy i najwyraźniej czeka na jakieś wiadomości, czym prędzej dodał:

- Lekarz twierdzi, że Donna jest po prostu trochę wyczerpana nerwowo.

- Cieszę się, że to nic poważniejszego. Twój ojciec mi mówił, że spotkaliście się dzisiaj w ambulatorium.

- Zgadza się. - Chwila ciszy. - A co tam u małego?

- Wszystko w porządku. Uderzył się w głowę i...

- Wiem, podczas gry w piłkę. - Kolejna chwila ciszy. - Masz ślicznego wnuczka, Mary.

- Przede wszystkim bardzo żywego. To prawdziwy huragan - roześmiała się w osobliwy sposób, jakby z ulgą.

- Jest też bardzo sympatyczny. Masz powód do zadowolenia.

- To prawda. Życzę Donnie zdrowia. - Wyglądało na to, że zapragnęła jak najszybciej skończyć rozmowę.

- Dziękuję za telefon. Tobie też życzę zdrowia.

Odłożywszy słuchawkę, Johnny stał przez chwilę przy aparacie,

zakłopotany i zmieszany. Mary zatelefonowała do niego po raz pierwszy. Dziwne, że nie obarczyła tym męża - założywszy, iż rzeczywiście interesowała się samopoczuciem Donny. Miał niejasne podejrzenie, że Mary chciała się upewnić co do czegoś innego, a on w jakiś sposób dał jej tę pewność. Ale co to było? Powtórzył sobie w myśli niedawno zakończoną rozmowę. Praktycznie nie mówili o niczym konkretnym, poza krótką wzmianką o małym Tortonie. Jeśli wykluczyć, że matka Mii była spragniona pochwał na temat wnuka, pozostawało tylko jedno, pozornie najmniej prawdopodobne wyjaśnienie: po prostu chciała się dowiedzieć, jak się czuje Donna. I skorzystać z okazji, by przełamać pierwsze lody.

Będzie musiał jej kiedyś wytłumaczyć, że nie czuje urazy z powodu ich ślubu i od dawna nie uważał jej za rywalkę matki. Przeciwnie, przyznawał, że za życia Lillibeth zachowywała się niezwykle lojalnie. Był jej wdzięczny za szacunek, jaki okazywała dla pamięci jego matki, odwiedzając co tydzień jej grób i przynosząc kwiaty. Powinien jej powiedzieć także to, dodając, że uważa ją za osobę godną poważania. Jeśli nie może przychodzić do jej domu, to wyłącznie z powodu Mii.

Od lat dręczyło go pewne pytanie, które prędzej czy później zamierzał postawić ojcu: jak on, należąc już teraz do rodziny, potrafi wyjaśnić klęskę poniesioną przez Mary w roli matki? Trudno przecież uwierzyć, że uczciwa, pracująca kobieta mająca szczerą intencję wychowała córkę na dziewczynę tak odmienną od siebie, a przede wszystkim - że tolerowała (jeśli nie akceptowała) wybryki Mii. Czy to nie Mary przyjęła w swoim domu tego włoskiego fotografa, zgadzając się na to, aby córka spotykała się z nim, a potem pojechała za nim do Włoch? Mimo ogromnego przywiązania do żony Sean z pewnością tego nie pochwalał. I na pewno nie mógł mieć dobrego mniemania o Mii.

Bez wątplenia przełamanie lodów okazałoby się łatwiejsze, gdyby ojciec szczerze otworzył przed nim serce, zwierając mu się ze swych zmartwień i prosząc go o wsparcie i zrozumienie. Tymczasem nie uczynił ani jednego kroku

w tym kierunku, dufnie sądząc, że to syn powinien pokonać całą drogę.

Być może nadszedł czas, by wszystko wyjaśnić - powiedział sobie w duchu Johnny - przynajmniej po to, żebym wyrzucił z siebie to, co od lat mnie dręczy.

Niestety chwila ta nadeszła zbyt wcześnie, zaskakując go wtedy, gdy nie był jeszcze gotów.

W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, na krótko przed końcem pracy, do biura Johnny'ego zawitał Sean.

- Przyszedłem złożyć ci życzenia i zapytać o zdrowie twojej żony - oznajmił bez wstępów.

On też?

- Mogłeś zadzwonić - odparł odruchowo Johnny. - To znaczy, nie musiałeś się fatygować, żeby przychodzić aż tutaj. Może usiądziesz?

- To żadna fatyga. Miło spotkać się z tobą.

- Donna czuje się lepiej.

- Cieszę się. - Sean odsunął krzesło i usiadł naprzeciw niego. - Jutro wieczorem Mary przygotowuje indyka z kasztanami i byłoby nam miło, gdybyś przyszedł razem z Donną do nas na wigilię.

Johnny poczerwieniał na twarzy.

- Tato, jak możesz...

- Mia poleciała wczoraj wieczorem do Rzymu i wróci dopiero po świętach.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Gdyby miała być na wigilii, nie zapraszałbym cię - odrzekł spokojnie Sean.

- No tak, zapomniałem, że ona jest najważniejsza! Syna i synową trzyma się w rezerwie i zaprasza dopiero wtedy, kiedy wielka gwiazda nie raczy zająć należnego jej miejsca!

- Jezu, mówisz tak, jakbym ci zatrzaskał drzwi przed nosem!

- Zrobiłeś to, wpuszczając Mię! - odparł ze złością Johnny.

Ojciec spojrział na niego surowo.

- Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze: zapłaciłem wysoką cenę za wszystkie swoje głupie postęпки i błędy. Ty i Mia macie jakieś problemy? To nie moja wina i mojej żony też nie. Dogadajcie się sami, ale nas w to nie mieszajcie.

- Gdyby Mary była dobrą matką, nie wychowałaby takiej podłej córki. - Wreszcie to powiedział.

- Mary urabiała ręce po łokcie, żeby wyprowadzić ją na ludzi.

- I co z tego wyszło?

- Jedno na pewno: ma troskliwą i wdzięczną córkę, która ją naprawdę kocha. Mnie się to niestety nie udało - dodał z goryczą.

- Nie opowiadaj głupstw. Mia to zwykła oportunistka. Zawsze wykorzystywała Mary. Jak myślisz, po co wróciła do Clearcove? Żeby podrzucić jej dziecko i robić, co jej się żywnie spodoba. Ale Mary woli się łądzić, że córka ją uwielbia! I nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobiła, żeby jej się przypodobać. Pozwoliła jej zostawić syna na czas świąt i jechać nie wiadomo gdzie! - Głos mu drżał z oburzenia.

- Mia pojechała odwiedzić szwagierkę w szpitalu - wycedził zimno Sean.

- Jezu, posunęła się aż do takich wykrętów? I wy w to uwierzyliście?

Sean pokręcił głową spoglądając na niego współczująco, ze smutkiem.

- Szwagierka Mii miała przedwczesny poród; jej córeczka zmarła wczoraj o drugiej po południu. Zaraz po telefonie od Serge'a, jej brata, Mia wsiadła do samochodu i popędziła na lotnisko. Musiała przelecieć przez pół Europy, żeby dotrzeć do Rzymu na wieczór.

- Przykro mi... Skąd miałem wiedzieć?

- Mia nie jest taka, jak myślisz.

- Tato, to temat na inną rozmowę, a ja nie mam zamiaru...

- To dobra dziewczyna. Obserwowałem ją bardzo uważnie przez długi

czas i w końcu doszedłem właśnie do takiego wniosku.

- Czy wiesz także, który z jej kochanków jest ojcem dziecka? - zapytał wojowniczo i z ironią Johnny.

Sean milczał przez chwilę.

- Mia nie miała kochanków.

- Cud, oto pojawiło się na ziemi jeszcze jedno dziecko poczęte z Ducha Świętego!

- Instynkt mi podpowiada, że Mia miała tylko jednego mężczyznę: ojca swojego syna.

Johnny uśmiechnął się szyderczo.

- Cóż, twój instynkt czasem jest zwodniczy; mogę cię zapewnić, że miała ich co najmniej dwóch.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co usłyszałeś: ja też kochałem się ze świętą Mią.

- Kiedy? - Sean wydawał się głęboko poruszony.

- Proszę, dajmy temu spokój. - Johnny spojrział na zegarek. - Zrobiło się późno, muszę wracać do domu.

Sean wstał z krzesła.

- Zaraz pójdziesz.

- Dziękuję za zaproszenie na wigilię, ale nie sądzę, żebyśmy...

- Nieważne - przerwał mu Sean zmierzając do drzwi. Wyglądało na to, że nagle zaczęło mu się bardzo spieszyć - dokładnie tak, jak Mary, kiedy niespodziewanie przerwała tamtą dziwną rozmowę przez telefon.

## XIX

Torton jest synem Johnny'ego.

Sean szedł zgarbiony w stronę parkingu - podejrzenie to zrodziło się nagle w jego umyśle, pozbawiając go tchu i rodząc uczucie pustki. Wsiadł do samochodu i tkwił tak bez ruchu, z dłońmi na kierownicy, z niewidzącym wzrokiem. Torton jest synem Johnny'ego. To niemożliwe, zastanów się, nakazał

sobie. Zawsze podejrzewał, że związek obojga młodych nie był platoniczny, co się zatem zmieniło, gdy otrzymał potwierdzenie od własnego syna? Rozstali się na długo przed wyjazdem Mii do Włoch, a dziecko urodziło się wiele miesięcy później. Nie, to niemożliwe.

Sean włączył pierwszy bieg i zapalił silnik. Co za głupiec ze mnie, zlorzeczył sam sobie wjeżdżając na drogę wiodącą do wioski, co ja bredzę? Daty się nie zgadzają, wystarczy odrobina logiki, by zrozumieć, że to absurdalny pomysł.

Torton jest synem Johnny'ego.

Omal nie wpadł w poślizg. Naraz podejrzenie zmieniło się w pewność, przed którą jego własny umysł nie chciał się dłużej bronić. Wbrew oczywistym faktom i bez względu na to, co się wydarzyło, prawda była taka: mały Torton to jego wnuk.

Mary zawsze o tym wiedziała. Tym razem miał natychmiastową i porażającą pewność. Krew uderzyła mu do głowy.

Jak śmiała ukrywać przed nim, że mały jest jego wnukiem? Jakim prawem pozbawiła go dumy i radości bycia dziadkiem? Naraz przypomniał sobie lata ich młodości, kiedy Mary go rzucała i się z nim godziła, wodziła za nos i dręczyła. Mógłbym ją zamordować, pomyślał w przyływie nienawiści. O nie, kochana żono, to by było za wygodne dla ciebie. Każę ci za to płacić po trochu. Teraz nadszedł twój czas męki i cierpienia...

Przed powrotem do domu wpadł do pubu na szklaneczkę whisky. Musiał się uspokoić, opanować. Stary O'Flaherty zaproponował mu następną kolejkę. Kiedy zdecydował się opuścić lokal, dochodziła północ i mimo że wypił duszkiem kilka kolejek, czuł się trzeźwy jak nigdy.

Mary czekała na niego jeszcze w ubraniu.

- Zaczynałam się martwić - oznajmiła z wyraźną ulgą.

Sean ruszył prosto do kuchni, nie odpowiadając, ona zaś niepewnie powędrowała za nim. Ponieważ ciągle milczał, spytała:

- Wszystko poszło dobrze z Johnnym? Miałeś... jakieś kłopoty?

Sean otworzył lodówkę i wyjął karafkę z wodą.

- Możesz mi podać szklankę?

Mary sięgnęła ręką do szafki i spełniła jego prośbę.

- Pytałam, czy...

- Słyszałem. Nie, nie było żadnych kłopotów z Johnnym.

- Czy to znaczy, że przyjdzie do nas razem z Donną na wigilię?

- Mój syn nie zamierza przekroczyć progu tego domu ani jutro wieczorem, ani nigdy.

Mary patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ale przecież dopiero co powiedziałeś, że wszystko dobrze poszło!

- Zgadza się. Kłopoty zaczęłyby się wtedy, gdyby przyjął zaproszenie.

- Piłeś? Naprawdę nie rozumiem, co to za dziwna mowa! - wybuchnęła zniecierpliwiona Mary.

- Powiem jaśniej: czy przedstawienie dzieciaka Donnie nie sprawiłoby ci przypadkiem kłopotu? - odparł Sean spoglądając jej prosto w oczy.

Spuściła wzrok.

- Może masz rację... Twojej synowej nie udało się jeszcze urodzić dziecka i widok Tortona mógłby wprowadzić ją w zakłopotanie.

- Nie doceniasz mojej synowej. Powiedz raczej: mógłby nią wstrząsnąć.

- Jeżeli go nie zobaczy, nie będzie problemu - ucięła Mary. Odwróciła się do niego plecami i podeszła do zlewu.

- Co robisz? - wrzasnął Sean, machnąwszy ręką na opanowanie i plany zimnej zemsty.

- Myję twoją szklankę.

Mężczyzna dopadł do niej jednym susem i ze złością zakręcił kran.

- Mówię do ciebie!

- Myślałam, że nie ma nic więcej do...

- Mówiłem do ciebie o Donnie!

Mary odwróciła się do niego przodem i podniosła ku niemu białą jak płótno twarz.

- Może będzie szybciej, jeśli od razu porozmawiamy o dziecku.

Sean zaniemówił na dłuższą chwilę. Nagle jakby cofnęli się o trzydzieści lat. Znow stali naprzeciw siebie gotowi do ataku. Rozpoznał dumny, wyzywający błysk, który pojawił się w aksamitnych oczach Mary. Tym razem to on spuścił głowę.

Natychmiast podniósł ją z powrotem, wymyślając sobie od idiotów i tchórzy.

- Jak długo zamierzałaś przede mną ukrywać, że Torton jest moim wnukiem? - rzekł z gniewem. - Jak mogłaś za mnie wyjść i żyć ze mną nic mi nie mówiąc?

- Nie mogłam ci powiedzieć, Sean. - Tym razem w oczach Mary widać było udrękę.

- Nie mogłaś? Niby dlaczego?

- Mia mi zabroniła.

- A kimże jest Mia? Panem Bogiem? Jakim prawem odebrała Johnny'emu syna? - Wybuchnął śmiechem przypominającym warczenie. - I pomyśleć, że parę godzin temu broniłem jej, próbując przekonać Johnny'ego, jaka z niej dobra i porządna dziewczyna! Najgorsze jest to, że sam siebie też przekonałem. Ale to on ma rację! Mia to podła, zła matka!

- Johnny ją zgwałcił - powiedziała Mary bezbarwnym głosem.

Sean wybałuszył oczy.

- Co?! Co powie...

- To się zdarzyło siedem lat temu, po jakiejś kłótni. Wziął ją ze złością, zasypując ją gradem obelg, a po kilku tygodniach Mia zorientowała się, że jest w ciąży. - Bezosobowy i obojętny ton Mary podkreślił jeszcze potworność tego, co się stało.

- Powinnaś była mi powiedzieć! Byłbym zatłukł na śmierć tego łajdaka! -



jęknął Sean.

- Mia opowiedziała mi o tym dopiero w przeddzień wyjazdu do Rzymu, kiedy po raz ostatni usiłowałam ją zatrzymać. Ja też myślałam, że wyjeżdża stąd dla kariery. A tymczasem po prostu uciekła.

- Tym bardziej powinnaś była ją zatrzymać, Mary!

- I jaka przyszłość czekałaby tu ją i dziecko? Kumoszki uważały ją za upadłą, Johnny właśnie miał się żenić z Donna, w domu działo się już bardzo źle. Odchodząc miała przynajmniej nadzieję...

Głos Mary załamał się od szlochu, zaraz jednak zaczęła mówić dalej:

- Patrząc, jak odjeżdża, pierwszy raz w życiu dziękowałam Bogu za jej buntowniczy charakter i odwagę. Pojechała będąc w ciąży, sama, bez grosza i zdając sobie sprawę, że Michele Russo może się poczuć oszukany i odesłać ją z powrotem. Jedyne, o co mnie prosiła, to milczenie. Byłam jej to winna. Wywalczyła sobie to prawo, zasłużyła na nie.

- Na twoim miejscu zabiłbym Johnny'ego. Jak możesz go tolerować po tym, co zrobił twojej córce?

- Sean, my też ponosimy za to odpowiedzialność. Nasze dzieci toczyły ze sobą wojnę, a Mia nie jest niewiniątkiem. Dobrze ją znam i wiem, jaka potrafi być zawzięta. Cokolwiek zrobił jej Johnny, ona zabrała mu dziecko; to okrutna zemsta. A teraz przywiozła Tortona tutaj, żeby dorastał na jego oczach. Nadal go prowokuje, ale Johnny o tym nie wie i nie może się bronić. Te wszystkie lata były dla mnie piekłem i dziękuję Bogu, że poznałeś prawdę.

Sean przytaknął, zdążywszy całkowicie ochłonąć.

- To było przecucie. Johnny pomstował na kochanków Mii i wtedy nagle dotarło do mnie, że ona nie z tych, co skaczą z kwiatka na kwiatek.

- Johnny był jej jedynym mężczyzną - szepnęła Mary.

- Dzisiaj uzyskałem pewność, że to prawda. I zwymyślałem sam siebie od kretynów, że nie poznałem wnuka. To Ryan całą gębą.

Mary uśmiechnęła się szelmowsko.

- Czoło i policzki ma po Lillibeth.

- Czy to dlatego tak często chodzisz na cmentarz? - zapytał Sean ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem.

- Tak. Torton połączył w sobie Lillibeth i mnie...- westchnęła Mary. - I jestem pewna, że ona o tym wie. Kiedy wydawało mi się, że już nie dam rady, albo nie wiedziałam, co mam robić, szłam na jej grób i prosiłam ją o pomoc. W ciągu tych lat nikt nie podniósł mnie na duchu ani nie dodał odwagi tak bardzo jak ona.

- Czy Lillibeth nigdy ci nie poradziła, żebyś zwierzyła się mnie? - spytał poważnie Sean.

- Nie. Radziła mi czekać, zapewniała, że wszystko się ułoży, gdy nadejdzie pora.

- Mary, musimy powiedzieć o wszystkim Johnny'emu, zanim będzie za późno.

- Nigdy! - krzyknęła Mary. Po chwili dodała gorączkowo: - Już jest za późno, a prawda tylko zniszczyłaby mu życie i małżeństwo.

- Jak ci się zdaje, długo jeszcze zdołasz ją ukrywać? Dzieciak to wykapany ojciec, a Johnny nie będzie wiecznie ślepy i głupi.

- Skoro nie zorientował się, kiedy zobaczył go po raz pierwszy razem z tobą w ambulatorium, to już się nie zorientuje. Jak myślisz, dlaczego kazałam ci go do nas zaprosić?

- Bo jesteś lekkomyślna i bardzo lubisz igrać z ogniem!

- Nie, mój panie. Jeśli od czasu do czasu Johnny będzie widywał małego, unikniemy ryzyka, że za rok albo za dziesięć lat natknie się na obcego chłopaka kubek w kubek takiego jak on sam. Najgorsze mamy już za sobą. Gdybyś wiedział, jak się przestraszyłam, kiedy mi opowiadałeś o waszym pierwszym spotkaniu! Kamień spadł mi z serca, kiedy do niego zadzwoniłam i wywnioskowałam z rozmowy, że niczego nie podejrzewa!

- Mary, teraz, kiedy już wiem, nie chcę przechodzić przez to piekło razem

z tobą. Nic mnie nie obchodzi małżeństwo Johnny'ego ani jego spokój. Popęłnił błąd i musi za niego zapłacić. Kocham Tortona i chcę, żeby wiedział, że jest Ryanem. Wszyscy w Clearcove powinni się dowiedzieć. Dzieciak jest moim wnukiem i na pewno nie zrezygnuję z własnych praw tylko dlatego, żeby oszczędzić tego nicponia Johnny'ego.

- Powinniśmy uszanować wolę Mii.

- Jak tylko wróci, sam z nią porozmawiam.

Mary spojrzała na niego przerażona.

- Jeżeli to zrobisz, Mia zabierze syna i wyjedzie z Clearcove na zawsze.

- Już ja jej pokażę, gdzie raki zimują! Kiedy pomyślę, ile razy kazała dzieciakowi nazywać mnie Seanem i kładła mu do głowy, że nie jestem jego dziadkiem... - przerwał dla złapania tchu. - Ona też jest podła!

Mary potrząsnęła głową z bezgranicznym smutkiem.

- Żadne z naszych dzieci nie jest podłe. Oboje kochali się już od małego, ale myśmy ich rozdzielili. Obarczyliśmy ich wszystkimi naszymi błędami i urazami, a oni nie umieli sobie z tym poradzić... Są dni, kiedy Mia doprowadza mnie do rozpacz i wtedy mi się zdaje, że jej nienawidzę, ale zaraz uświadamiam sobie krzywdę, którą jej wyrządziłam, i zastanawiam się, jak zdołała mi wybaczyć.

- Myślę, że nie wyrządziłaś jej żadnej krzywdy.

- A zamknięcie jej na dwa lata w szkole z internatem tylko po to, żeby ją rozdzielić z Johnnym, nie było krzywdą? A rzucanie jej kłód pod nogi, zastraszanie, wzbudzanie w niej poczucia winy tylko z tego powodu, że chłopak, którego kochała, był twoim synem? To nie było krzywdą? Byli dla siebie stworzeni... Dzisiaj żyliby sobie szczęśliwie otoczeni dziećmi, gdybyśmy nie odmienili ich losu. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko patrzeć na ich wieczną walkę.

- Przecież nie mogą się nienawidzić do końca życia.

- To jedyne uczucie, na jakie mogą sobie pozwolić. Jedyne, jakie ich

łączy. - Mary uśmiechnęła się smutno. - Gdybym nie nienawidziła cię przez te wszystkie lata, pękłoby mi serce.

- Johnny może się rozwieść z Donna... Nie mają dzieci, nic ich razem nie trzyma.

- Johnny jest taki jak ty: zbyt uczciwy i szlachetny, żeby zostawić żonę.

- Gdyby wiedział, że ma syna, wszystko wyglądałoby inaczej.

- Sean, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Johnny i tak by się nie rozwiódł, czułby się tylko rozdarty. Spowodowaliśmy już zbyt dużo nieszczęść. Dostyc tego. Zostawmy wszystko tak, jak jest.

- Chcę, żeby Torton nazywał mnie dziadkiem.

- A co za różnica? Czy dzięki temu bardziej by cię kochał? Albo ty jego?

- Nie - musiał niechętnie przyznać Sean.

A jednak była ogromna różnica. Uświadomił ją sobie już nazajutrz rano, kiedy Torton zszedł do kuchni i zaspany domagał się wzięcia na ręce. Sean dumny otworzył ramiona: to dziecko to jego wnuk, kontynuacja jego własnego życia. Jedyne, czego żałował - brak syna z Mary - nagle przestało mieć znaczenie, w Tortonie bowiem płynęła jego krew i krew jego ukochanej kobiety. Sean przytulił go do siebie z westchnieniem szczęścia. Otrzymał już od życia wszystko, czego pragnął.

- A wy co, zamierzacie się tak łaścić przez cały ranek? - burknęła żartobliwie Mary.

- Wracaj do garnków i zostaw nas w spokoju, kobieto - odburknął tym samym tonem Sean.

- Babcia musi gotować obiad? - zapytał Torton.

Sean puścił do niego oko.

- Zgadza się. I biada, jeśli nam nie zrobi całej fury pyszności.

- Bryndzy i szarlotki też?

- No jasne! Z masą pysznej śmietany na wierzchu.

- Szkoda, że mamy nie ma i że nie może spróbować...

- Chyba żartujesz? Gdyby była mama, nie mógłbyś zjeść tylu smakołyków naraz!

- Nie pomyślałem o tym. Mama zawsze powtarza, że jak za dużo zjem, rozboli mnie brzuch i będę gruby jak beczka.

- Święta racja - wtrąciła Mary.

Sean dał mu znak, aby jej nie słuchał.

- Właśnie że musisz jeść, bo wtedy zostaniesz silnym i postawnym mężczyzną.

- Jak twój syn Johnny?

- Jeszcze silniejszym.

- W takim razie mogę zjeść śniadanie?

- Mary, uszykuj no zaraz śniadanie dla twoich mężczyzn! - rozkazał Sean i to była cała jego odpowiedź.

- Moi mężczyźni mają ręce i nogi.

Torton roześmiał się rozbawiony.

- Babcia chyba zwariowała!

Mary pogroziła mu warząchwią.

- Tylko spróbuj powiedzieć tak jeszcze raz, a zobaczysz, co się stanie z twoją szarlotką.

- Chyba zwariowałaś! Całkiem zwariowałaś!- zawołał Torton chcąc ją sprowokować.

- Znakomicie. Nici z szarlotki.

- Przepraszam, babciu, już nie będę!

- Tak już lepiej. A teraz jazda do śniadania i przestać mi się kręcić pod nogami.

- Dokąd pójdziemy, Sean? - odezwał się mały.

- A co byś powiedział na dłuższą przejażdżkę samochodem, tylko my dwaj, na cały dzień?

- A pojedziemy coś zjeść do restauracji? - spytał Torton, podniecony.

- Tylko rosół - zgodził się Sean - w ten sposób zachowamy apetyt na wieczór.

- Potraficie mówić wyłącznie o jedzeniu? - zadrwiła z nich Mary. Jeszcze nigdy w życiu nie doznała takiej ulgi i nie czuła się tak bezpiecznie.

W tej samej chwili Sean pomyślał ze wzruszeniem, że ostatni raz widział ją roześmianą, gdy byli dziećmi. Naprawdę otrzymał już od życia wszystko, czego pragnął.

Ów błogostan trwał przez cały dzień. Jako że Torton nigdy nie zapuszczał się poza wioskę, Sean chciał mu pokazać okoliczne miejscowości i najbardziej malownicze zakątki hrabstwa. Ruszywszy powoli drogą wiodącą na półwysep Mizen Head, zatrzymał się na chwilę w Ballydehob i Schull, stamtąd zaś pojechał do Barley Cove. Pokazał chłopcu szkołę, w której uczyła się Mia, sklep, któremu babcia sprzedała swoje pierwsze swetry, pub, w którym sam wypił swoje pierwsze piwo, stary zakład ciesielski, w którym pradziadek Torton kupił belki mające podtrzymać dach jego domu.

Torton słuchał go w podnieceniu i z ogromną uwagą, komentując i zadając masę pytań. Sean spostrzegł, że malec zna już dzieje tych miejsc i swojej rodziny, podobnie jak wszystkie tradycje i legendy irlandzkie, co wzbudziło w jego sercu szczerzy podziw dla Mii. To godne pochwały, że ta młodziutka dziewczyna potrafiła z takim powodzeniem pogodzić karierę i obowiązki matki, znajdując tyle czasu na rozmowy z dzieckiem. Wzruszająca była też miłość, jaką zdołała mu zaszcześcić do Irlandii i własnych korzeni.

Nagle pojął coś, czego nie potrafił dotąd zrozumieć: jak to możliwe, że Torton nigdy nie pyta o ojca ani nie sprawia wrażenia, jakby mu go brakowało - najwyraźniej Mia obdarzywszy go miłością i przywiązaniem do ojczyzny, zaspokoila oczekiwania i fantazje sześciolatka. Prędzej czy później chłopiec wyfrunie ze swego maleńkiego świata i wszystkie te pewniki przestaną mu wystarczać. Sean zmusił się, by o tym nie myśleć. Mieli przed sobą zbyt piękny dzień, aby zatruwać go smutkiem.

Posilili się w gospodzie u Michaela, starego przyjaciela Seana, po czym pobiegli na opustoszałą ławicę piaskową. Wrócili do domu późnym popołudniem. Stół był już nakryty, w olbrzymiej kuchni zaś rozchodził się zapach jabłek i wanilii. Zanim jeszcze ów długi, niezapomniany dzień dobiegł końca, Seana spotkała ostatnia radość: otóż Johnny zadzwonił z życzeniami, przeprasząc, że nie mógł przyjść. Zdawał się szczerze zmartwiony.

XX

Mia i Serge spędzili w szpitalu cały pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Lisa dała się w końcu przekonać i zjadła parę kęsów. Była blada i wycieńczona; bolesna strata bardzo nią wstrząsnęła. Jej córeczka, urodzona przedwcześnie w dwudziestym drugim tygodniu ciąży, żyła zaledwie dwie godziny. Lisa dotąd nie mogła o tym mówić bez płaczu.

Kiedy minął pierwszy okres, w którym nie widziała i nie czuła nic poza własnym bólem, zaczęła wypytywać Mię o Seana, Mary i małego Tortona, który, biedak, został na święta bez mamy.

Nieco później rodzeństwo zasiadło w restauracji do pierwszego od paru dni przyzwoitego posiłku. Serge uściśnął spoczywającą na stole dłoń Mii.

- Nie wiem, jak dalibyśmy sobie radę bez ciebie.  
- Powinieneś zawiadomić matkę. Ojca Lisy też.  
- Ojciec Lisy nie dał znaku życia, odkąd ożenił się po raz drugi. Nawet nie wiedział, że Lisa jest w ciąży.

- A twoja matka? - spytała Mia, nie doczekawszy się dalszego ciągu.

Serge cofnął rękę.

- Wolę o niej nie rozmawiać. Powiedzmy, że w tej chwili nie mam ochoty ani nie czuję się w obowiązku dzielić się z nią informacjami o moim życiu.

- Jesteś niesprawiedliwy, Serge.

- Dziwne, że właśnie ty to mówisz, po tym, co zrobiła tobie i twojej matce.

Mia potrząsnęła głową.

- Za wiele się spodziewałeś myśląc, że odnowi kontrakt z naszym zakładem dziewiarskim i przyzna mi prawa, których oficjalnie nie posiadam. Ja i matka byliśmy dla niej intruzami, obcymi, i gdy tylko zmarł jej mąż, właśnie tak nas potraktowała.

- Ale ty nie jesteś obca! A ona wykorzystała stary testament ojca, w którym sama dziedziczy wszystko, chociaż doskonale wiedziała, że tata zamierzał go zmienić.

- Proszę cię, już o tym rozmawialiśmy. Otrzymałam miłość naszego ojca i odnalazłam brata; to wszystko, czego mogłam oczekiwać. I nie chcę, żebyś z mojego powodu poróżnił się z matką. Musisz mi obiecać, że jutro do niej zadzwonisz.

Serge uśmiechnął się nieznacznie.

- Czy to ze strachu przed spotkaniem z nią tak bardzo nalegałaś, żeby zamieszkać w hotelu?

Prawdziwym powodem, dla którego zrezygnowała z gościnności brata, była niemal fizyczna potrzeba samotności, odczuwana przez nią już od dziecka w chwilach silnego wzburzenia bądź podniecenia - niekiedy wystarczył jej kwadrans ciszy i odosobnienia, aby napięcie opadło i mogła odzyskać panowanie nad sobą.

Podczas trzech dni spędzonych w szpitalu przy łóżku Lisy była zbyt przejęta i zbyt cierpiała, aby myśleć o czymkolwiek innym. Teraz jednak, znalazłszy się sama w pokoju hotelowym i uspokoiwszy się wreszcie, po raz pierwszy poczuła gwałtowne wzruszenie z powodu powrotu do Rzymu. Spędzony z Serge'em wieczór przywołał wszystkie wspomnienia tych pięciu lat, które tu przeżyła. Zachowała je wprawdzie w pamięci, lecz pozbawiła wszelkiego zabarwienia uczuciowego i zredukowała do czystej esencji; było tak, jakby zawsze mieszkała w Clearcove. Ilekroć ostatnio myślała o przeszłości, pobyt we Włoszech wydawał jej się tyleż krótki, co nienaturalny - niczym przymusowe wygnanie albo cena, jaką musiała zapłacić, aby odzyskać prawo do



normalnej egzystencji.

Naraz uświadomiła sobie, jak powoli mijały te lata, ile się podczas nich przewinęło twarzy, w ile wydarzeń i uczuć obfitowały. Wszystko stanęło jej przed oczyma, przywodząc na myśl emocje tamtych dni.

Podniecenie wywołane pierwszymi spacerami po ulicach Rzymu, wyczerpujące oczekiwanie powrotu Michele Russa z Niemiec, strach przed tym, że zauważy jej ciążę, ulgę, gdy okazało się, że jest serdeczny i ma mnóstwo planów... Jego witalność dosłownie ją porwała.

Nazajutrz po swoim przyjeździe zabrał ją do studia i fotografował przez dziesięć godzin bez przerwy: całą postać, samą twarz, z profilu, w kostiumie kąpielowym, w bieliźnie i w najrozmaitszych rodzajach ubrań. Anna, jego asystentka, podawała jej coraz to nowe stroje ze zręcznością i szybkością prestidigitatora. Pomiędzy kolejnymi ujęciami wkraczali charakteryzator i fryzjerka, aby poprawić niesforny kosmyk włosów, podkreślić rumieniec na policzkach, przypudrować nos.

Michele powiedział, że fotografie te zostaną wykorzystane do jej albumu. Ponieważ nie zrozumiała, wyjaśnił, że to rodzaj wizytówki, którą będzie pokazywać projektantom, redaktorom działu mody oraz przedstawicielom agencji reklamowych, aby docenili jej fotogeniczność, urodę i cechy zewnętrzne.

- Każda fotomodelka ma swój album. Rzecz jasna, gdy zostaniesz sławna, przestaniesz go potrzebować. To oni będą się za tobą uganiać, a nie my za nimi.

Pod koniec owego szalonego dnia poznała Gretę. Ledwie zdążyła usiąść przed stanowiącym tło płótnem, na którym widniała obmywana przez morskie fale plaża, kiedy do studia wpadła dziewczyna o jasnych włosach i niesamowicie długich nogach.

- Jeszcze tutaj? - spytała Michele.

- Jak widzisz, pracuję. Mio, to jest Greta, najslawniejsza fotomodelka w naszej agencji.

Blond walkiria nie zaszczyciła jej nawet jednym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o naszej kolacji.

- Przekaszę coś w domu razem z Mią. Jeśli chcesz, możesz się do nas przyłączyć - odparł Michele.

Mia była zdumiona zarówno jego grubiańskim tonem, jak i tym, że Greta przyjęła zaproszenie. Przywołując w myślach tamtą kolację, przebiegającą w milczeniu i pełnej napięcia atmosferze, nadal czerwieniła się z zakłopotania. W pewnej chwili Michele wstał.

- Jestem zmęczony i idę spać.

- Nie możesz mnie tak zostawić! Już od trzech tygodni próbuję się z tobą rozmówić!

- Ty też powinnaś pójść spać, Greto. Masz straszne sińce pod oczami.

Ledwie Michele wyszedł z pokoju, Greta chwyciła butelkę whisky i napełniła szklanekę po sam brzeg. Wreszcie zdecydowała się spojrzeć na Mię.

- *Prosit*, dziecinko. Obyś doczekała się takiej chwili jak najpóźniej. - Wypiła whisky duszkiem, jakby to była woda.

Mia również się jej przyjrzała. Dostrzegła drobne kurze łapki i delikatne bruzdy wokół ust. Ręce Greta ponownie sięgnęły po butelkę i nie uszło uwagi Mii, że drżą.

- Nie powinnaś tyle pić - powiedziała impulsywnie.

- Niby dlaczego? Nie czekają mnie już żadne pokazy ani zdjęcia. Stara Greta może teraz pić, jeść, tyć, budzić się z zapuchniętymi oczami.

- Powinnaś to zrobić dla samej siebie.

Greta wybuchnęła szyderczym śmiechem.

- Jezu, to brzmi jak tytuł artykułu z „Cosmopolitan”!

- I wcale nie jesteś stara.

- Trzydzieści pięć lat to początek starości w naszym zawodzie. Teraz, kiedy straciłam Michele i klasę, tylko to mi pozostało. - Podniosła szklanekę.

Skrępowanie i niechęć, które Greta początkowo wzbudziła w Mii,

zniknęły. Było wszakże w tej kobiecie coś, co nie pozwalało się nad nią litować: może iskierka dumy lśniąca w jej spojrzeniu? A może onieśmielająco idealne rysy twarzy? Mia pojęła to dopiero po upływie wielu tygodni: siła Grety opierała się na jej poufałym stosunku do życia, dzięki któremu była wolna od obaw, wyrachowania, zasad, ograniczeń. Stawiała czoło ludziom i sytuacjom kierując się instynktem, z zuchwałością osoby nieskończenie wspaniałomyślniej. Jednym słowem, była z życiem i z ludźmi za pan brat.

Już pierwszego wieczoru Mia wyczuła, że ma do czynienia z kimś wyjątkowym. Jak to możliwe, że Michele Russo się nią znudził? Odpowiedź na to pytanie także przyszła dopiero z czasem. Mia wielokrotnie obserwowała ich razem i przysłuchiwała się ich licznym kłótniom. Greta traktowała ten związek z takim zaangażowaniem i oddaniem, że Michele ją odrzucił. Nie kochając jej dość mocno, poczuł lęk i irytację.

Greta zaczęła pić. Coraz częściej zapominała, że jest umówiona na zdjęcia, sprzeczała się z redaktorkami działów mody, rzucała pracę w połowie. Dopóki w jej życiu nie pojawił się Willy Spitz - Niemiec, podobnie jak ona, i podobnie jak ona nieuznający zasad ani żadnych ograniczeń. Kolosalna różnica między nimi polegała na tym, że Spitz nie miał serca. Nie chcę o nim myśleć, powiedziała sobie w duchu Mia, zeszytniawszy nagle. Zanim ten człowiek wtargnął w ich życie, wydarzyło się mnóstwo innych rzeczy. Najważniejszą z nich było odkrycie, że ma brata.

Któregoś wieczoru, pod koniec kolejnego nadzwyczaj długiego i nerwowego dnia, Michele Russo zabrał ją na kolację do gospody w pobliżu Placu Hiszpańskiego. Obok ich stolika siedzieli Serge i Lisa. Przywitawszy się z nimi serdecznie, Michele przedstawił ich Mii: ona pracuje jako modelka w jego agencji, on zaś jest jej narzeczoną.

Chłopak, ściskając jej dłoń, spojrzał na nią z zakłopotaniem.

- Poza kolorem włosów - wyjaśnił jej później - jesteś dosłownie kopią naszego ojca.

Mia czuła na sobie jego spojrzenie niemal przez całą kolację, ale w jakiś osobliwy sposób nie wprawiło jej to w złość ani w zakłopotanie, co byłoby zresztą zupełnie naturalne. Za każdym razem, gdy napotykała wzrok Serge'a, uśmiechała się nieśmiało. Czekali właśnie na warzywa z rusztu, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Michele. Usłyszeli suche „Halo” i, po chwili milczenia, przekleństwo. Skończywszy rozmowę, Russo zwrócił się bezpośrednio do Serge'a i Lisy.

- Kochani, muszę lecieć. Nie mielibyście nic przeciwko temu, żeby dotrzymać Mii towarzystwa i odwieźć ją do domu?

Zsunęli stoliki i zaczęli wspólną kolację, jakby od dawna byli przyjaciółmi. Serge opowiedział o sobie pierwszy: jest Francuzem, we Francji się też urodził, po uzyskaniu zaś dyplomu z architektury przeniósł się do Rzymu i pracuje w biurze projektów w znanej firmie budowlanej. Poznał Lisę dwa lata temu w pewnej galerii sztuki, a tydzień później rozpoczęli wspólne życie.

- Ciągle szaleję na jej punkcie - roześmiał się. Lisa, ściskając jego dłoń, wtrąciła:

- On jest moją rodziną.

Straciwszy matkę, Lisa w wieku siedmiu lat zamieszkała u babki. Wkrótce po jej śmierci poznała Serge'a. Zaczęła pracować jako fotomodelka, żeby opłacić studia na uniwersytecie.

- Ale w pewnej chwili musiałam je rzucić - dodała.

Serge mrugnął do niej porozumiewawczo:

- Dlaczego się nie przyznasz, że zasmakowały ci wysokie honoraria?

Lisa, zwracając się do Mii, wyjaśniła:

- Kiedy Serge otworzył oczy na świat, zobaczył pełne uwielbienia twarze mamusi i tatusia, pochylonych nad jego złotą kołyską.

- Chciałbym ci przypomnieć, że wtedy mojego ojca nie było...

- Zdażył nadrobić straty. Ważne jest to, że nie potrafisz zrozumieć, co znaczy dorastać w biedzie i być sierotą. Kiedy człowiek dochodzi do wieku, w

którym zaczyna samodzielnie myśleć, uświadamia sobie, że nikt mu nigdy nie da, że wszystko, czego zapragnie, będzie musiał zdobyć sam. Jednocześnie zaczyna rozumieć, że wszystko ma swoją cenę: chleb, szkoła, zabawki, buty, bilet tramwajowy, kino... Brak pieniędzy oznacza życie w ciągłej frustracji, ponieważ nie można mieć tego, co się chce albo co jest potrzebne. No dobrze, przyznaję się bez wstydu: kiedy Michele Russo dał mi pierwszy czek, straciłam głowę. Uwielbiam pieniądze!

Mia zapytała ją o ojca. Lisa odparła z ledwie dostrzegalnym smutkiem:

- Odwiedził mnie pół roku po śmierci mamy przynosząc mi w prezencie dwie pary prześlicznych pantofelków o trzy numery za małych i cudowny komplet do tańca klasycznego, który w ogóle mi się do niczego nie przydał, jako że ja i babcia raczej nie chodziłyśmy na bale! Jak się zapewne domyślasz, mój ojciec jest czymś w rodzaju zjawy, która przez wszystkie te lata dawała o sobie znać w najmniej oczekiwanych momentach i w najmniej odpowiedni sposób.

- Ja nie znam mojego ojca - powiedziała impulsywnie Mia. W tamtej chwili nikt nie zdołałby jej powstrzymać: wreszcie mogła pozbyć się napięcia, goryczy i lęku ostatnich miesięcy i pragnęła się od nich uwolnić jak najprędzej. Zanim Serge i Lisa odprowadzili ją do domu, zdążyli poznać całą historię jej życia.

Jedyną rzecz, o jakiej nie odważyła się powiedzieć wcześniej, wyznała w bramie, jednym tchem:

- Jestem w ciąży i nie wiem, co będzie, jak Michele Russo się o tym dowie.

Serge zasępił się.

- Powinnaś jak najszybciej mu o tym powiedzieć, zanim poczuje się oszukany.

- Bzdura - oznajmiła spokojnie Lisa. - Przeciwnie, powiesz mu o tym jak najpóźniej. Dopiero wtedy, gdy wyrobisz sobie markę i będzie cię za bardzo potrzebował, żeby się ciebie pozbyć. - Posłała Mii krzepiący uśmiech. - Nikt nie

zauważy twojego stanu co najmniej przez dwa miesiące, a mam nadzieję, że tyle ci wystarczy, żeby się wybić.

Sugestia Lisy była zgodna z własną decyzją Mii, toteż jej poczucie winy w stosunku do Michele znacznie się zmniejszyło.

Chcąc całkowicie uspokoić sumienie, w ciągu następnych tygodni rzuciła się w wir pracy bez słowa skargi, dając dowód poczucia odpowiedzialności i zdyscyplinowania, które zadziwiły pracowników agencji. Wszystkie żurnale mody domagały się jej zdjęć, „Panorama” zaś zamieściła jej fotografie na okładce i okrzyknęła ją nową gwiazdą.

Mia była jednak zbyt zmęczona i oszołomiona, aby cieszyć się ze swego sukcesu.

Gdybym nie miała Serge’a i Lisy, wspominała, na pewno bym się załamała. To właśnie oni dodawali jej otuchy, podtrzymywali na duchu i pomogli w przeprowadzce do małego mieszkanca, które wynajęła dla niej agencja. Greta również okazała jej prawdziwą przyjaźń. Nieunikniona zawiść sławy, o której już mało kto pamiętał, wobec wschodzącej gwiazdy ustała, kiedy Mia wyznała jej, że spodziewa się dziecka.

Wówczas Greta pokazała swą szlachetną i wrażliwą naturę. Pewnego poranka, kiedy znajdowały się w hali zdjęciowej, zdumiona krawcowa powiedziała do Michele:

- Chyba nam dali ubrania w złym rozmiarze; Mia nie może się dopiąć!

Michele skrzywił się z niezadowoleniem:

- To nie ubrania są za małe, tylko Mia za gruba.

- Zlustrował ją od stóp do głów z nadzwyczaj krytyczną miną, po czym zwrócił się do niej chłodno: - Dosłownie tyjesz w oczach. Zmień dietę. W ciągu przyszłego tygodnia musisz stracić co najmniej trzy kilogramy.

Wtedy Greta postąpiła krok do przodu, osłaniając przyjaciółkę niczym tarcza.

- Mia jest w ciąży.

- Co ty pleciesz? - Michele zdawał się naprawdę nie rozumieć.

- Mia jest w szóstym miesiącu ciąży - wyjaśniła Greta ściskając ją za rękę. Nim grymas złości na twarzy Michele przerodził się w wybuch gniewu, dodała pospiesznie:

- Albo ją odesłesz natychmiast do Irlandii i tyle ją będziesz widział, albo pozwolisz jej utyć i urodzić, a potem wrócić do pracy.

Mia nigdy nie zapomni strasznej ciszy, jaka potem nastąpiła; na samo wspomnienie serce waliło jej tak jak wówczas. Wreszcie Michele przemówił. Do krawcowej.

- Każ przynieść te same modele, ale o numer większe - warknął, po czym zwrócił się do Mii: - Myślę, że będziemy mogli pracować jeszcze przez trzy albo cztery tygodnie. Tymczasem postaraj się nie utuczyć; ginekolog chyba ci powiedział, że wcale nie trzeba jeść za dwoje.

Nie zadawał żadnych pytań, nie robił wymówek ani nie żądał wyjaśnień. W ciągu następnych dni zachowywał się wobec niej najzupełniej normalnie. Dopiero gdy ciąża stała się zbyt widoczna, aby można ją było ukryć, Michele zjawił się w jej mieszkaniu i oznajmił ni stąd, ni zowąd:

- Nadszedł czas, żeby ogłosić nowinę. Czy dziecko ma ojca? Czy jest ktoś, przed kim czujesz się odpowiedzialna za to, co zrobimy i powiemy?

- Nie. To moje dziecko i nie...

- Dobrze. Możemy dać do zrozumienia, że ja jestem ojcem. Nie rób takiej miny, wcale nie mam zamiaru uznać twojego dziecka ani pozować do zdjęć przy zmianie pieluszki. Jeżeli zgodnie z moim przypuszczeniem jakieś plotkarskie pismo przypisze mi ojcostwo noworodka, po prostu nie będziemy zaprzeczać.

- Przepraszam, jaki to ma sens?

- Miłość między Pigmalionem a jego uczennicą zawsze jest w cenie.

Z biegiem czasu Mia dokładnie rozumiała sens tego zdania: Michele ogłosił wiadomość o jej ciąży ze zręcznością urodzonego menedżera. Musiała jednak przyznać, że dał jej zarazem dowód ogromnej ludzkiej solidarności. Po

ostatnich zdjęciach (udało mu się załatwić jej kontrakt na reklamę słynnej kolekcji ubiorów dla przyszłych matek) zostawił ją w spokoju, dbając o to, by niczego jej nie brakowało. Kiedy zaś urodził się Torton, wcale jej nie ponaglał, by wróciła do pracy. Przeciwnie, wykazał nadspodziewaną wyrozumiałość wobec młodej matki, jakby pojmował, że od tej pory Torton jest dla niej ważniejszy niż wszelkie obowiązki i ambicje. Oto dlaczego dwa lata później nie chciała uwierzyć, że Michele Russo mógł świadomie rzucić ją w ramiona Willy'ego Spitza.

Mia wciąż nie mogła pojąć, w jaki sposób w bilansie agencji tak prężnej i zajmującej tak wysoką pozycję jak agencja Michele mogła powstać wyrwa. A przecież to właśnie się stało. Dopiero interwencja Luigiego, brata Michele, uratowała ich przed wierzycielami. Jak zeznała w sądzie, nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że w pewnym momencie firma przekształciła się w agencję towarzyską dla grubych ryb. Pozornie nic się nie zmieniło: modelki nadal podpisywały kontrakty i pracowały, Michele utrzymywał kontakty z prasą i agencjami reklamowymi, nie krążyły też żadne niepokojące pogłoski. Przed wszystkim jednak nikt nigdy jej nie stręczył żadnych mężczyzn.

Willy'ego Spitza przedstawił jej Michele. Greta rozplęwała się w zachwytach nad nim. Mia powstrzymała się przed wyznaniem, że ów mężczyzna od razu wzbudził w niej nieufność. W Spitzu było coś demonicznego. Nawet jeśli to określenie mogło się wydawać zbyt mocne, a nawet infantylne, życie pokazało, że nie było w nim żadnej przesady. Spitz należał do tego typu osobników, którzy posiadają nadzwyczajną inteligencję, za to pozbawieni są wszelkich ludzkich uczuć. Nie czuł - po prostu chciał. Nie pragnął - po prostu zastanawiał się nad sposobem, aby wziąć. Nie cierpiał - po prostu zapominał. Jego emocjami sterowała głowa.

Podczas podróży służbowej do Włoch zobaczył w gazecie zdjęcie Grety, swojej sławnej rodaczki, i postanowił ją poznać. Luigi Russo przedstawił mu ją z prawdziwą radością. Nie podejrzewając, że została wykorzystana przez



agencję w roli przynęty, Greta zakochała się w Niemcu na zabój. Niestety, Spitz, zaspokoiwszy swą zachciankę, pozbył się jej.

I właśnie wtedy nieświadomie włączyła się do gry Mia. Jak się później dowiedziała, niemiecki biznesmen, uprosiwszy Luigiego, aby usunął mu z drogi Gretę, domagał się „tej Irlandki”. Niech Luigi coś wymyśli.

Będąc doskonałym psychologiem, podobnie jak ludzie nawykli do oszustw i hazardu, brat Michele pojawił się pewnego dnia u Mii w domu ze zmartwioną miną.

- Powinnaś porozmawiać z Willym Spitzem. Ma kłopoty z Gretą i nie chciałbym, żeby ją zostawił.

- Jakie kłopoty? O ile mi wiadomo, Greta ma za miesiąc wrócić z nim do Niemiec i wyjść za niego.

- Wierz mi, dzieje się coś niedobrego i proszę cię o pomoc właśnie dlatego, że jesteś jej najlepszą przyjaciółką.

Mia dała się namówić na kolację ze Spitzem, chociaż czuła się zakłopotana. Biznesmen, najwyraźniej poinstruowany przez Luigiego, znakomicie odegrał rolę wrażliwego i zakochanego.

- Greta pije - zwierzył się Mii. - Cierpi na urojenia typowe dla alkoholików i ma napady szału.

Mia nie posiadała się ze zdumienia. Po zerwaniu z Michele Greta rzeczywiście przesadzała z alkoholem, ale co najmniej od dwóch lat nie widziano jej z kieliszkiem w ręku. Na tę jej uwagę Spitz odpowiedział ze smutkiem:

- Jak wszyscy alkoholicy potrafi się znakomicie maskować.

Mia postanowiła zbadać tę sprawę, wypytała więc przyjaciółkę. Nazajutrz zatelefonowała do Spitza:

- Wydaje mi się, że to pan cierpi na urojenia - oznajmiła lodowato. - Greta z całą pewnością nie pije.

- Może porozmawiamy o tym w cztery oczy?

Po licznych naleganiach Mia zgodziła się z nim spotkać jeszcze raz. Na swoje nieszczęście rozdrażniony jej chłodem Spitz, o dziwo nie mając żadnych argumentów, popełnił błąd i otwarcie wysunął miłosne propozycje. Ona zaś natychmiast sobie poszła, wymyślając mu od łajdaków, rozdarła między chęcią opowiedzenia Grecie, co się stało, a obawą, jak ona to przyjmie. Zanim jednak zdążyła podjąć decyzję, sam Spitz pospieszył otworzyć oczy Grecie, wysyłając do niej list, w którym odprawiał ją z kwitkiem i do którego dołączył czek.

Greta połknęła dwie fiołki tabletek nasennych. Przez trzy dni pozostawała w śpiączce. Znalazła ją Joséphine, ciemnoskóra dziewczyna, która pracowała w agencji od paru tygodni i mieszkała tymczasowo u Grety. Kiedy policyjny detektyw zapytał ją, co się stało, wstrząśnięta Joséphine wybuchnęła płaczem. Opacznie zrozumiawszy gest przyjaciółki, opowiedziała o szerzącej się w agencji prostytutce, w którą sama była zamieszana, zwiedziona obietnicą uzyskania kontraktu fotomodelki.

Wszystkie szczegóły wyjawione przez dziewczynę potwierdziły się podczas śledztwa i wybuchł prawdziwy skandal. Bracia Russo zostali zatrzymani, agencja zajęta, dla Mii zaś rozpoczęła się męka upokarzających przesłuchań, pikantnych artykułów, zdjęć na pierwszych stronach gazet. I znów nie kto inny, lecz właśnie Serge i Lisa, którzy zdążyli się już pobrać, podtrzymywali ją na duchu i pocieszali.

Któregoś wieczoru Serge oznajmił:

- Rozmawiałem właśnie przez telefon z ojcem. Ponieważ wie, że Lisa pracowała dawniej w agencji Russa, zadzwonił, żeby spytać, czy przypadkiem też nie ma kłopotów. Uspokoilem go i skorzystałem z okazji, żeby wspomnieć mu o tobie, Mio; jego zdaniem potrzeba ci adwokata, który się tobą zajmie i wytoczy proces o miliardowe odszkodowania.

- Ja nie jestem o nic oskarżona, na szczęście dotarło do nich, że nie mam z tym nic wspólnego.

- Ale masz wizerunek, którego należy bronić. Jeśli pozwolisz gazetom,

żeby bezkarnie rozszarpały cię na strzępy, możesz nie znaleźć więcej żadnej pracy ani innej agencji.

- Masz rację... Znasz jakiegoś dobrego adwokata?

- Ojciec polecił mi Saveria Marzulla, który zajmuje się jego interesami we Włoszech. Sam z nim porozmawia o twojej sprawie, bo za dwa dni ma przyjechać do Rzymu.

## XXI

Ilekcio Mia myślała o ojcu, czuła, jak ogarnia ją fizyczna błogość podobna do tej, którą przeżywała jako dziecko, gdy na dworze szalała burza, a ona tuliła się w olbrzymim łóżku do babci Betsey. Ból spowodowany jego śmiercią był wprawdzie ogromny, nie zdołał wszakże wymazać tego wrażenia ani nie wywołał u niej rozdzierającego poczucia straty, jakiego doświadczyła po odejściu dziadków. Przeżyła ponad dwadzieścia lat nie wiedząc, kto jest jej ojcem i w pewien sposób przyzwyczaiła się do jego braku. Kiedy go zaś poznała, wyobrażenie zastąpił rzeczywisty człowiek. Mimo że Paula już nie było, i tak wypełnił pustkę, ponieważ pozostawił po sobie niezatarte wspomnienie serdecznych słów, uśmiechów, opiekuńczych gestów, pełnych czułości spojrzeń. Przede wszystkim jednak zostawił jej brata.

Myśl o Serge'u przywołała ją natychmiast do rzeczywistości. Była trzecia w nocy, a ona nadal siedziała na brzegu hotelowego łóżka i snuła wspomnienia. Poszła do łazienki, aby zmyć makijaż, włożyła koszulę nocną i zamówiła budzenie na ósmą. O dziewiątej miał przyjechać po nią Serge. Razem wybierali się do szpitala do Lisy, w południe zaś czekał ich przykry obowiązek odebrania ciała dziewczynki i urządzenia jej wreszcie normalnego pogrzebu.

Lisa poczuła ogromną ulgę na wieść, że ksiądz zdążył ją ochrzcić. Dwie godziny życia i imię Pauline - to było wszystko, na co mogła liczyć ta maleńka istotka oczekiwana z tak wielką miłością. Co za potworna niesprawiedliwość, że okrutny los wziął się na dwoje tak wspaniałych ludzi jak Serge i Lisa.

„Sprawiedliwość to wymysł ludzi. Czy morze, nawałnice, grad, trzęsienia

ziemi albo śmierć dziecka są czymś sprawiedliwym? Samo życie nie jest sprawiedliwe. Natura nie jest sprawiedliwa. Dlaczego więc twoja nauczycielka miałaby być sprawiedliwa?”. Mia słyszała głos dziadka Tortona, który próbował cierpliwie uspokoić jej oburzenie z powodu niezasłużonej, jej zdaniem, złej oceny. Podniosła z westchnieniem kołdrę i wśliznęła się do łóżka. Mój ojciec był sprawiedliwy, pomyślała.

- Tato, to jest Mia, nasza irlandzka przyjaciółka, o której ci mówiłem. - Mia wyciągnęła rękę, mężczyzna zaś przytrzymał ją nieco zbyt długo. Wydawał się zmieszany, zakłopotany, ona natomiast wpatrywała się weń jak zahipnotyzowana. Te jasne patrzące z uwagą oczy, te wysokie kości policzkowe, te mięsiste wargi lekko uniesione do góry... Czowała się tak, jakby spoglądała w lustro i widziała obraz mężczyzny o identycznej twarzy.

Usłyszała wesoły głos Serge'a:

- Tato, czy też odnosisz wrażenie, że znasz ją od zawsze?

Paul puścił jej dłoń.

- Opowiadałeś mi o niej chyba z kwadrans, więc to wrażenie jest nieuniknione! - roześmiał się.

Czar prysł. Nagle mężczyzna jakby zaczął się spieszyć.

- Jutro rano mam spotkanie z adwokatem. Żeby zyskać na czasie, powinnaś mi podać swoje dane, Mio: nazwisko, wiek, stan cywilny, miejsce urodzenia i adres.

Wyjął z aktówki pióro i notatnik, po czym zaczął zapisywać to, co Mia gorliwie mu dyktowała.

W pewnej chwili podniósł głowę znad notatnika.

- Clearcove... Jak się mieszka w miejscu, którego nawet nie ma na mapie?  
- spytał tonem uprzejmej konwersacji posyłając jej miły uśmiech.

- Przez dwadzieścia lat marzyłam tylko o tym, żeby się stamtąd wyrwać, ale ledwie wyjechałam, od razu zaczęłam tego żałować.

- Twoi rodzice nadal mieszkają w Clearcove?

- Mam tylko matkę. Ciągłe tam mieszka. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto byłby bardziej przywiązany do...

- Jak dawno zmarł twój ojciec?

Po dłuższej chwili wahania Mia odparła:

- Nigdy go nie znałam. Wiem tylko tyle, że był francuskim malarzem i wyjechał z Clearcove, kiedy matka nie wiedziała jeszcze, że jest w ciąży.

Paul z powagą skinął głową.

- Nigdy nie wyszła za mąż? - zapytał tym samym uprzejmym i serdecznym tonem.

- Nie, nigdy.

Paul zamknął notatnik i wstał. Teraz już wyraźnie się spieszył. Mia dowiedziała się później, że po wyjściu z domu Serge'a uruchomił wszelkie możliwe środki, chcąc uzyskać potwierdzenie tego, czego i tak był już pewien: że Mia jest jego córką.

Pięć dni później Paul poprosił ją i Serge'a, aby przyszli do niego do hotelu. Usiadł naprzeciw nich i starannie dobierając słowa, a jednocześnie dając się ponieść wzruszeniu, szczerze wyznał im całą prawdę.

Z tamtej uroczystej chwili Mia zapamiętała jedynie brak jakiegokolwiek reakcji. Powinna drzeć, wpaść w osłupienie, a tymczasem siedziała tam i słuchała jego słów nie czując nic poza ciekawością. Kiedy Paul skończył, rozległ się spokojny głos Serge'a:

- Mam wrażenie, jakbym o tym wiedział od zawsze. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem Mię, pokochałem ją jak siostrę.

- A ty, Mio? - W głosie Paula słychać było niespokojne wyczekiwanie, jego oczy wpatrywały się w nią niemal błagalnie.

Mam wrażenie, jakbym też o tym wiedziała od zawsze, odparła w duchu. Patrzyłam w twarz tego człowieka i rozpoznałam w niej siebie samą. Oto dlaczego nie byłam zaskoczona ani wstrząśnięta: powiedział mi coś, co moje serce zrozumiało już wcześniej.

- Mio... - usłyszała wystraszony głos ojca.

- Wszystko w porządku, tato.

Oczy mężczyzny napęłniły się łzami.

- Czy mogę cię przytulić?

Przywarłszy do niego, Mia po raz pierwszy zaznała uczucia absolutnej błogości. Czowała się bezpiecznie, niczym mała dziewczynka, która po koszmarze sennym ponownie zasypia w ramionach mamy z całkowitą pewnością, że nic strasznego nie przedrze się przez ten gorący uścisk. Jednakże zastanowiwszy się nad tym głębiej, nabrała przekonania, iż stała się dorosła dopiero wtedy, gdy ojciec ją przytulił. Odnalazła wówczas brakującą część siebie i spełniło się jej przeznaczenie jako córki. Aż do tamtej chwili była zależna od owej brakującej części i ograniczona przez nią: nawet zostawszy z matką, ciągle czuła ciężar bycia córką tylko w połowie.

Paul dał jej pewność i tożsamość osoby dorosłej. Dopóki żył, był najczulszym dziadkiem dla Tortona i nadzwyczajnym rodzicem dla niej. Jedynie sprzeciw żony uniemożliwił mu zostanie w pełni jej ojcem. Interwencja Serge'a na nic się tu nie zdała. W pewnym sensie wręcz podsyciła wrogość Josette, której ta obca kobieta nie tylko odbierała męża, ale i syna. Paul zmarł na zawał podczas jednej z częstych podróży do Rzymu. Josette czym prędzej przyleciała z Francji, aby zabrać ciało i potwierdzić wszystkie należne sobie prawa. Mii zabroniono nawet pożegnać Paula po raz ostatni. Na próżno pełen oburzenia Serge zachęcał ją do walki, do jakiejś reakcji. Josette zabrała przecież ciało, nie jej ojca. Nikt nigdy nie zdoła odebrać Mii tego, co pozostawił jej po sobie Paul.

Lisa została wypisana ze szpitala 31 grudnia po południu. Serge pojechał po nią, a Mia popędziła do najbliższego supermarketu, by zrobić zakupy, lodówka była bowiem zupełnie pusta. W drodze powrotnej kupiła bukiet kwiatów, który postawiła na stoliku. Jako że miała jeszcze trochę czasu, wykorzystwała go na sprzątanie. Zmieniła pościel, odkurzyła dywany, wytrzepała poduszki na kanapach i umyła wszystkie filiżanki po kawie, które Serge

zostawił w kuchni.

Dzwonek odezwał się w chwili, gdy kończyła wycierać kuchenną podłogę. Lisa miała jeszcze ściągniętą i bladą twarz, nie było już na niej wszakże udręki ściskającej serce. Mia zauważyła, że bratowa umalowała się starannie; najwyraźniej usiłowała za wszelką cenę powrócić do normalnego życia.

Kiedy mąż zaproponował jej, by odpoczęła, odrzekła zdecydowanie:

- Nie jestem ani zmęczona, ani chora. I na pewno leżenie i rozpamiętywanie albo płacz nie zrobiłyby mi dobrze.

- Zwłaszcza w noc sylwestrową - uśmiechnęła się Mia. - Kupiłam mnóstwo frykasów i zamierzam zrobić superkolację godną powitania Nowego Roku.

- Pomoc kuchenna melduje się na posterunku - odparła dziarsko Lisa. - Pozwól mi tylko włożyć fartuch i wygodniejsze buty.

Nieco później Serge nakrył do stołu, a gdy usiedli do kolacji, zapalił świece. Był to kameralny i pogodny wieczór z domieszką melancholii, której nikt nie próbował na siłę rozpraszać. Poczucie, że stanowią jedność w tych trudnych chwilach, sprawiało im przyjemność.

O dziesiątej Mia zadzwoniła do Clearcove, aby złożyć życzenia matce i Seanowi i potwierdzić swój powrót zaplanowany na drugiego stycznia. Torton, bardzo podekscytowany, również chciał z nią rozmawiać.

- Jeszcze nie jestem w łóżku, mamusiu! O północy Johnny będzie puszczał na molu fajerwerki i...

- Daj mi jeszcze raz babcię, kochanie, dobrze? - przerwała mu lodowato Mia.

- Kiedy wrócisz do domu?

- Niedługo. Chciałabym porozmawiać z...

Usłyszała spokojny głos Mary.

- Wiem, co zamierzasz mi powiedzieć. Donna jest w szpitalu, a ponieważ

Johnny został sam, przyszedł do nas na kolację.

- I ty na to pozwoliłaś? Oszalałaś, mammo?

- Johnny jest synem mojego męża, nie mogę mu zamykać drzwi przed nosem. I nie ma nic szalonego w tym, że od czasu do czasu zobaczy się z moim wnuczkiem.

- Gdzie jest teraz?

- Na molu, przygotowuje fajerwerki, a Sean właśnie wyszedł, żeby mi pomóc. Uspokój się, córeczko, nic się nie stało.

Zanim Mia zdążyła odpowiedzieć cokolwiek, Mary odłożyła słuchawkę.

Serge i Lisa, którzy słuchali tej rozmowy nie rozumiejąc, co zaszło, spoglądali na nią z niepokojem.

- Johnny jest u matki w domu i wspólnie spędzają sylwestra. Razem z moim synkiem - wyjaśniła krótko Mia zagniewanym tonem.

Serge popatrzył na nią z powagą.

- To również dom Seana. A Clearcove to mała wioska. Jeśli nie chcesz, żeby Johnny spotykał się z małym, nie pozostaje ci nic innego, jak przeprowadzić się z powrotem do Rzymu.

- Nie mogę...

- Miałabyś nas - wtrąciła Lisa. - Wiesz, jak bardzo kochamy ciebie i Tortona.

- Wiem! Tylko dzięki wam udało mi się wytrzymać prawie sześć lat. Ale ja nie chcę tylko wytrzymywać, chcę być szczęśliwa. Rzym okazał się dla mnie ratunkiem i dał mi wszystko to, czego potrzebowałam, a nawet o wiele więcej, ale... - zamilkła na chwilę, szukając właściwych słów. - To trudno wyjaśnić... Żyłam tu jak ktoś, kto ucieka przed niebezpieczeństwem i znajduje schronienie w luksusowym i przepięknym domu, u bardzo troskliwego gospodarza. Zawsze jednak czułam się tu gościem. Nie mogłam się doczekać, kiedy niebezpieczeństwo minie i będę mogła wrócić do Clearcove. Tam jest moja przyszłość, tam jest mój dom i nie potrafię żyć gdzie indziej. Wiem, że to trudno



wyjaśnić... - powtórzyła.

Serge ponownie na nią spojrział.

- Bardzo jasno się wyraziłaś. Nie możesz żyć z dala od Johnny'ego, bo on jest twoim przeznaczeniem.

- Johnny jest żonaty - powiedziała natychmiast Mia.

Lisa pokiwała głową.

- Ale ciągle go kochasz. Pomyśl o wszystkich mężczyznach, którzy przez te wszystkie lata cię pożądali, uwodzili... Co ci przeszkodziło się zakochać albo chociaż spróbować? Odpowiedź jest tylko jedna, Mio.

- Miałam syna, którym musiałam się opiekować, i pracę, która pochłaniała mnie bez reszty: to jest prawdziwa odpowiedź.

Serge pokręcił głową.

- To tylko odpowiedź, którą chcesz nam dać. Nawet w Clearcove nie będziesz się mogła czuć jak u siebie w domu, bo w rzeczywistości nadal uciekasz: od siebie samej i od prawdy.

- Czy żyłoby mi się lepiej, gdybym uświadomiła sobie, że wciąż kocham żonatego mężczyznę i że moje życie osobiste jest całkowitą klęską? Czy przed takimi prawdami powinnam się ugiąć? - krzyknęła Mia bliska płaczu.

- Dostyc, Serge, nie możesz jej tak dręczyć - zganiała męża Lisa.

Serge odpowiedział siostrze, puściwszy słowa Lisy mimo uszu:

- Nie ugiąć się, tylko po prostu zrozumieć, z czym masz walczyć. Jeśli nie przyznasz się sama przed sobą, że kochasz Johnny'ego, nigdy nie zdołasz o nim zapomnieć.

Nigdy mi się to nie uda, pomyślała Mia ze znużeniem. Spoglądając wszakże na twarze brata i szwagierki uświadomiła sobie, że powiedziała to na głos.

- Przepraszam, nie chciałam wam psuć sylwestra własnymi kłopotami.

Lisa posłała jej uśmiech.

- Zepsuliśmy go także naszymi problemami. Ale jeszcze młoda godzina, a

przed nami dużo jedzenia...

- Indyk się spalił! - zawołała Mia biegnąc do kuchni.

W ciągu kilku minut powrócił kameralny, swobodny nastrój, jaki panował na początku wieczoru. Serge opowiedział o błędzie komputera, którego nie zauważył żaden inżynier, a z którego wynikało, że projektowany budynek miał ważyć dwa kilogramy. Lisa napomknęła o ostatnim liście, który napisała do niej z Niemiec Greta; była bardzo szczęśliwa w małżeństwie i spodziewała się drugiego dziecka.

Wspominając minione wydarzenia, skierowali rozmowę na Michele Russa. Serge oznajmił, że spotkał go dwa dni po jego wyjściu z więzienia. Michele wydał mu się przybity, co zrozumiałe, i bardzo się postarzał.

- Pytał mnie o ciebie. Powiedział, że zawsze brakowało mu odwagi, aby do ciebie napisać. I wcale się nie zdziwił, że wróciłaś do Irlandii.

O północy wzniesli toast za nowy rok.

- Chciałabym zaraz mieć drugie dziecko - szepnęła Lisa.

- Będziemy je mieli - odparł Serge obejmując ją ramieniem.

Najgorsze było już za nimi. Natomiast Mia spoglądając w przyszłość widziała przed sobą jedynie kłopoty i zagrożenia. Wówczas przypomniała sobie coś, co często powtarzał dziadek Torton: „Kiedy niebo za bardzo się chmurzy, trzeba mieć nadzieję, że przyjdzie burza i przegoni chmury”.

Rankiem drugiego stycznia Serge odwiózł ją na lotnisko. Wyczerpana emocjami i napięciem ostatnich dni, Mia przez całą drogę drzemała nie myśląc o niczym. Ku jej zdumieniu, na miejscu czekał na nią Sean. Kiedy tylko wsiedli do samochodu, oznajmił bez wstępów:

- Mary nie wie, że po ciebie przyjechałem, będzie więc lepiej, jak w Barley weźmiesz taksówkę.

- Mogłam od razu wziąć taksówkę.

- Chciałem z tobą porozmawiać w cztery oczy, Mio.

- Mów. - Jej spokojny ton nie pasował do stanu ducha.

- Donna jest od czterech dni w szpitalu.

- Mama mi mówiła. Co jej jest? - zapytała z uprzejmości.

- Lekarze mówią, że jest wyczerpana nerwowo, że cierpi na depresję...

Johnny znalazł ją w kuchni ogoloną na zero, jak rozrywała sobie twarz widelcem. Cała drżała i bełkotała coś niezrozumiale.

- To straszne... Naprawdę mi przykro.

- Uprzedzam cię, że matka nie ma pojęcia o tym, co zamierzam ci powiedzieć. Trzy godziny przedtem, nim Johnny znalazł ją w takim stanie, Donna była w sklepie i widziała twojego syna. Ann O'Hara powiedziała mi, że najpierw wpatrywała się w niego parę chwil z rozdziawionymi ustami, a potem uciekła, jakby zobaczyła ducha. Rozumiesz, co mam na myśli, prawda? - spytał Sean nie przestając spoglądać na drogę.

Mia otworzyła i zamknęła buzię, usiłując złapać oddech.

- Natychmiast wyjeżdżam z Clearcove razem z dzieckiem - powiedziała, kiedy wreszcie była zdolna wykrztusić słowo.

Sean zahamował gwałtownie omal nie wypadając z szosy.

- Torton to nie paczka, którą możesz przewozić, gdzie ci się podoba! Mamy do rozwiązania problem i musimy to zrobić wspólnie. Ty, twoja matka i ja.

- Trzymaj się od tego z daleka, Sean. To ciebie nie dotyczy.

Mężczyzna odruchowo uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć, ale natychmiast ją cofnął.

- Jestem dziadkiem Tortona - powiedział bezbarwnym głosem ponownie włączając silnik.

- Jak widać, matka nie umiała trzymać języka za zębami - zauważyła ironicznie Mia.

- Zostaw Mary w spokoju, to taka sama wariatka jak ty. Nic by mi nie powiedziała, gdybym sam nie rzucił jej prawdy prosto w twarz.

- Sean, są sprawy, których nie potrafisz zrozumieć.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- A właśnie że rozumiem. I mimo że Johnny jest moim synem, stoję po twojej stronie. Cokolwiek postanowisz, nie sprzeciwię się, ale nie pozwolę ci wyjechać z dzieckiem.

Oczy Mii napełniły się łzami.

- Co mam robić? Już sama nie wiem... - załkała.

Sean znów zahamował, tym razem łagodnie, i zatrzymał samochód na poboczu. Objął ją ramieniem.

- Mio, w tej chwili ja też nie wiem, co powinnaś zrobić. Jak już powiedziałem, mamy problem, który musimy wspólnie rozwiązać. Jedyna rzecz, o jaką cię proszę, to żebyś mi zaufała.

Mia przytaknęła w milczeniu.

- Wiem, jak bardzo kochałaś twojego prawdziwego ojca, ale teraz, kiedy go już nie ma, proszę, żebyś dała mi odrobinę miłości, jaką miałaś dla niego. - Zamilkł na moment, gdyż wzruszenie odebrało mu głos. - Mogłabyś być moją córką. Odkąd byłaś małą dziewczynką, codziennie martwiłem się, co robisz albo co ludzie mogą zrobić tobie. Obserwowałem cię z daleka i widziałem córkę, którą Mary powinna była dać mnie...

Poruszona do głębi tym wyznaniem Mia zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dziękuję...

- A niby za co? - zapytał gderliwie.

- Za to, co powiedziałeś. Za miłość, którą czujesz do Tortona i... do mojej matki.

- A teraz wracajmy do domu, mała. - Zamierzał uruchomić silnik. Mia jednak chwyciła go za rękę.

- Co się stanie, jak Donna powie Johnny'emu prawdę? - To był właśnie najtwardszy orzech do zgryzienia.

Sean rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Nic mu nie powie. Nie sądzę, żeby oszalała aż do tego stopnia, aby

chcieć go utracić.

## XXII

Przez całą zimę Mia skupiała się na pracy. Chociaż udało jej się zdobyć sporo zamówień od domów towarowych i butików z wybrzeża, sprzedaż była o wiele mniejsza niż możliwości produkcyjne firmy. Połowa maszyn, które Mary zakupiła w okresie współpracy z Paulem, stała niewykorzystana, a co najmniej dwadzieścia z trzydziestu zatrudnionych wówczas robotnic było w tej chwili niepotrzebnych.

Aby móc wypłacać im pensje, Mia musiała co miesiąc uszczuplać osobiste konto, ale za nic na świecie nie chciała zwolnić dziewcząt i kobiet, które harowały u boku jej matki z takim oddaniem i zapałem.

- Wcześniej czy później twoje oszczędności się wyczerpią - powtarzał jej Sean - i będziesz zmuszona zamknąć fabrykę wyrzucając je wszystkie na bruk. Lepiej już teraz temu zapobiec.

Jego rada była słuszna, Mia wolała wszakże trzymać się mądrości dziadka: jak twierdził Torton, nieprzyjemne decyzje lepiej podejmować jak najpóźniej. Mogą okazać się niepotrzebne, a przynajmniej zyskasz parę tygodni lub miesięcy. Rzecz jasna, Mia nie mówiła tego Seanowi; z księgą rachunkową w ręku dowiódłby jej bowiem, że w tym przypadku czas działał tylko na jej niekorzyść.

Właściwie Mia potrafiła dostrzec w tej sytuacji także pozytywne strony. Ponieważ nie goniły jej żadne terminy, miała o wiele więcej czasu dla syna. Mogła codziennie rano odprowadzać go do szkoły i jadać z nim razem obiad podczas południowej przerwy, zamiast zostawić go w szkolnej stołówce. W słoneczne dni, które wraz z nadejściem wiosny zdarzały się coraz częściej, kupowała w sklepie bułki, po czym zjadali je wspólnie na plaży. Torton powtarzał w zachwycie, że to ich piknik.

Kolejną pozytywną stroną było to, że napięcia i zmartwienia związane z pracą odrywały ją od kłopotów osobistych. Może był to pretekst, aby nie musieć

stawić im czoła? Po szczerzej rozmowie, jaką przeprowadzili w drodze z lotniska do domu, Sean nie poruszał więcej tego tematu. Poprosił tylko w naturalny i niemal żartobliwy sposób Tortona, aby nazywał go dziadkiem. Mały wspominał jej niekiedy, że widział Johnny'ego u dziadków albo że spotkał go na drodze bądź w sklepie. Ponieważ nigdy się nic nie wydarzyło i Mia była przekonana, że panuje nad sytuacją, nie wdawała się w zbędne dyskusje i pretensje.

Sean nie mylił się co do Donny: wyglądało na to, że nie podzieliła się z mężem swymi podejrzeniami czy też przeświadczeniem o tym, kto jest ojcem Tortona. Mia miała cichą nadzieję, że nigdy ich nie wyjawią. Niestety, kumoszki szeptały między sobą, że Donna jest nie zrównoważona. Mówiła sama do siebie, przestała poznawać ludzi, pewnego popołudnia zaś rzuciła się w sklepie na bezdzietną Ethel, oskarżając ją o zdradę i spiskowanie przeciw niej.

Mary napomknęła o Donnie tylko raz. Oznajmiła krótko i niemal z niechęcią, że Donna jest poważnie osłabiona, Johnny zaś bardzo się o nią martwi, ponieważ żona nie chce się zgodzić na badania lekarskie. Ponadto wyrzuciła wszystkie pigułki, które jej przepisano podczas pobytu w szpitalu.

- Śpi w dawnym pokoju Seana - powiedziała na zakończenie - i przed położeniem się do łóżka zamyka drzwi na klucz.

W połowie kwietnia nadeszła wreszcie dobra wiadomość: zatelefonował Serge, prosząc, aby skontaktowała się jak najprędzej z Larrym Mortonem z Londynu.

- To stary przyjaciel naszego ojca; mówiłem mu o tobie. Morton jest właścicielem sieci domów towarowych i wydaje się bardzo zainteresowany twoimi swetrami.

Była to prawda. Morton przeprowadził z nią długą uprzejmą rozmowę telefoniczną, wpytując o park maszynowy w fabryce i jej możliwości produkcyjne. Wspomniał też o ewentualnym kontrakcie na wyłączność. Na koniec zaprosił ją do Londynu, aby osobiście omówić szczegóły.

Mia wyruszyła dwa dni później, tłumiąc podniecenie i starając się nie

rozbudzać w sobie nadziei. Zdążyła się już odzwyczaić od szczęśliwych wydarzeń; w głębi duszy uważała je za niemożliwe. Tymczasem wszystko poszło tak dobrze, że nie potrafiłaby sobie tego nawet wymarzyć. Przejrzawszy w obecności prawnika całą przedstawioną przez Mię dokumentację i omówiwszy ostatnie szczegóły, Morton zapragnął jak najszybciej sfinalizować umowę.

- Jeśli zostanie pani w Londynie kilka dni, możemy od razu podpisać kontrakt. A ja z przyjemnością zaprosił bym panią na kolację.

Mia zgodziła się z entuzjazmem. Po wyjściu z biura Mortona pojechała taksówką do hotelu, który polecił jej Serge. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było zatelefonowanie do niego do Rzymu, aby oznajmić mu nowinę. Serge wpadł w jeszcze większą euforię (jeśli to w ogóle było możliwe) i był równie szczęśliwy jak ona.

Następnie Mia zadzwoniła do Clearcove. Mary jak zwykle zachowała spokój i powściągliwość, nie sposób wszakże było nie zauważyć, jak wielką poczuła ulgę.

- Zostań tak długo, jak trzeba - powiedziała. - Torton ma się znakomicie.

Mia spędziła popołudnie spacerując po Londynie z przewodnikiem w rękę, ale była zbyt podekscytowana, by dostrzegać ulice, domy, sklepy czy pomniki; patrzyła na to wszystko niczym w transie. Usiłując później przypomnieć sobie tamto popołudnie, znajdowała w głowie pustkę bez obrazów i wspomnień. Na dowód, że je rzeczywiście przeżyła, został jej miniaturowy żaglowiec, staroświecka broszka z onyksu ze szmaragdem i fajka z morskiej pianki - prezenty dla Tortona, Mary i Seana, które musiała przecież wybrać i gdzieś kupić.

Dokładne wspomnienia zaczynały się dopiero od chwili, gdy usiadła przy stole z Larrym Mortonem. Była to nadzwyczaj miła kolacja, podczas której Morton opowiedział jej o przyjaźni łączącej go z jej ojcem, o niedawno narodzonym wnuku, a także o tym, jak się noszą Angielki. Żartował na temat

skandali na dworze królewskim i oznajmił, że wbrew wszelkim sondażom i protestom monarchia jest niezniszczalna i godna uwielbienia.

Mia z kolei opowiedziała mu o latach spędzonych w Rzymie, o spotkaniu Serge'a, o Tortonie, o swoim powrocie do Clearcove. Odprowadziwszy ją do hotelu, Morton pocałował ją serdecznie w policzek.

Nazajutrz o dziewiątej rano zadzwonił z wiadomością, że kontrakt jest gotowy i że zaraz przyśle po nią szofera. O jedenastej Mia znajdowała się już na lotnisku.

Po wylądowaniu odebrała samochód z parkingu, lecz zamiast wrócić do domu, pojechała prosto do fabryki. Mary spodziewała się jej dopiero nazajutrz, ona zaś nie mogła się doczekać chwili, kiedy powie swoim pracownikom, że transakcja została pomyślnie zakończona i produkcja rusza pełną parą.

- Możesz na nas liczyć - odparła z powagą kulawa Annie. - Wszystkie dobrze wiemy, ile cię kosztowało zatrudnianie nas, gdy nie było pracy, i nigdy ci tego nie zapomnimy.

Przyszła kolej na oklaski, uściski, przepelnione wzruszeniem słowa. Była prawie czwarta, kiedy Mia opuściła fabrykę. Czowała się wyczerpana - zwłaszcza emocjonalnie - i pragnęła jak najprędzej znaleźć się w domu. Z pewnością Torton bardzo się ucieszy na jej widok. Już wyobrażała sobie radość małego, kiedy otworzy paczuszkę z żaglowcem. Kontrakt z Mortonem, który dosłownie spadł jej z nieba, miał wszakże swoje minusy: znacznie ograniczał ilość czasu, jaką od tej pory będzie mogła poświęcić synowi. Skończą się, przynajmniej na kilka miesięcy, pikniki na plaży, wycieczki rowerowe, długie rozmowy. Będzie wy chodziła do fabryki zbyt wcześnie, aby odprowadzać go do szkoły, wracała zaś zbyt późno, aby go odbierać.

Spojrzała na zegarek: była za pięć czwarta. Jeśli się pospieszy, może zdąży dojechać pod szkołę. Torton kończył lekcje mniej więcej o tej porze i oszalałby z radości widząc ją przed wejściem razem z babcią Mary albo z dziadkiem Seanem. Nie wiadomo, które z nich dwojga poszło go odebrać.



Dotarłszy do rozwidlenia dróg, skręciła w stronę centrum. Wyładowany drewnem traktor, który posuwał się jak żółw, zmusił ją, by zwolniła. Kiedy skończyły się zakręty i mogła go wreszcie wyprzedzić, ujrzała przed sobą furgonetkę spółdzielni rybackiej. Drżąc z niecierpliwości, nacisnęła parę razy klakson, spędzając zawalidrogę na pobocze.

Kiedy wreszcie zajęła pod szkołę, mały dziedziniec był pusty. Na murku siedziało jedynie dwoje starszych dzieci, które wymieniały się obrazkami.

- Widzieliście, czy wychodził Torton O'Sullivan? - spytała wychylając się przez okno.

Jeden z chłopców podniósł rękę i pokazał niewyraźnie jakiś kierunek.

- Widziałem, jak szedł w tamtą stronę.

- To znaczy gdzie?

Drugi chłopiec, rozdrażniony jej dociekliwością, dodał:

- Może na plażę.

Temat został wyczerpany, powrócili więc do swoich obrazków.

Najwyraźniej Mary bądź Sean, jak zawsze przy ładnej pogodzie, zabrali Tortona na spacer, aby odetchnął świeżym powietrzem. Przez dłuższą chwilę stała niezdecydowana, czy powinna pójść za nimi czy też zaczekać w domu. Pragnienie uściskania Tortona przeważało nad zmęczeniem. Zaparkowała samochód i ruszyła pieszo w kierunku drogi wiodącej nad morze.

Dostrzegła go za ostatnim zakrętem, z wysokości skały: biegł za latawcem razem z jakimś chłopcem, którego nie rozpoznała z daleka. Słyszała ich pełne podniecenia okrzyki. Nie widać było ani Seana, ani Mary. Zaczęła schodzić po wąskich schodach wykutych w skale i zawołała Tortona, ale jej głos nie brzmiał dość mocno. Gdy znalazła się w połowie zbocza, wydało jej się, że rozpoznaje chłopca, który krzyczał i śmiał się razem z nim: był to Eric, najmłodszy wnuk Bloomów. Wychyliła się, aby lepiej widzieć, lecz po Seanie i Mary nie było śladu.

- Torton, Eric! - zawołała tak głośno, jak potrafiła.

Wreszcie Torton usłyszał.

- To mama! - powiedział z niedowierzaniem. Pomachał jej radośnie. -  
Chodź, puszczaemy latawiec Johnny'ego!

Kiedy mały wypowiedział jego imię, Johnny wyłonił się zza skały i podniósł głowę. On także ją zobaczył. Mia zamierzała odwrócić się na pięcie i wejść z powrotem na górę z łomoczącym sercem, ale Torton nie przestawał wołać i machać rękami. Co by sobie pomyślał widząc, że ucieka jak oszalała? Zmuszając się do zachowania spokoju, powoli zeszła na dół.

- Chodź, mamó, ja nie mogę się ruszyć! - Palce Tortona oplecione były wokół sznurka, na którym usiłował utrzymać targany wiatrem latawiec. Eric Bloom pomagał mu trzymać sznurek. Mia ruszyła w ich kierunku, udając, że nie zauważyła obecności Johnny'ego. Pochyliła się nad synkiem i przytuliła go do siebie.

- Czy nie miałaś wrócić jutro, mamó?

- Bardzo się spieszyłam, żeby być z moim małym mężczyzną.

Torton wyswobodził się z jej uścisku i poszukał wzrokiem Johnny'ego.

- To on nam zrobił latawiec.

- Johnny, znalazłeś krótszy sznurek? - niecierpliwił się Eric.

Mia nie mogła dłużej udawać, że nie widzi trzeciej osoby.

- Cześć - powiedziała obojętnie, modląc się w duchu, aby Johnny nie zachował się wobec niej agresywnie lub wrogo w obecności Tortona. Nie zrobił tego.

- Cześć - odparł usiłując się uśmiechnąć.

Mia poczuła tak wielką ulgę, że posłała mu spojrzenie pełne niedowierzania. Obawa, że mogła się pomylić albo że on niespodziewanie przybierze inny wyraz twarzy, kazała jej się jak najprędzej oddalić.

- Zmieńcie sznurek w latawcu - powiedziała - a ja tymczasem usiądę sobie tam - wskazała na jedną ze skał.

Oparła się o gładkie zagłębienie i zwróciła twarz ku słońcu, zamykając oczy i nie myśląc o niczym. Czuła osłabienie i pustkę. Głosy Johnny'ego i chłopców dobiegały do niej z daleka: ciągnij, uważaj, poluzuj, nie biegnij, tak dobrze...

Nagle głos Johnny'ego zabrzmiał całkiem blisko.

- Przeszkadzam?

Mia otworzyła oczy.

- Nie, nie. - Dodała jednym tchem: - Nie wiedziałam, że odbierzesz Tortona ze szkoły, inaczej nie poszłabym po niego. - Pustka wypełniła się nagle wzburzeniem i lękiem.

Johnny usiadł obok niej.

- Jesteśmy za starzy, żeby się bawić w ciuciubabkę. Krótko mówiąc, to ty miałaś rację: skoro nie możemy udawać, że się nie znamy, lepiej zachowujmy się jak ludzie cywilizowani.

Mia odwróciła się gwałtownie, chcąc mu się przyjrzeć, i ze ściśniętym sercem spostrzegła, że ma sporo siwych włosów i smutny, zrezygnowany wyraz twarzy, jak człowiek chory lub starzec.

- Jak się czuje Donna? - spytała.

Johnny wykonał nieokreślony gest i wzruszył ramionami. Wskazał na Tortona, który biegł wraz z Erikiem ciągnąc latawiec.

- To niezwykle dziecko. Czasami bawimy się razem; mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Nie, oczywiście, że nie. Mogłoby przeszkadzać Donnie - dodała nienawidząc siebie za to, co powiedziała.

- Donna przez całe dni siedzi zamknięta na klucz w swoim pokoju. Nie widziałem jej od miesiąca; otwiera tylko swojej matce, która raz dziennie przychodzi ją umyć i nakarmić.

- Mój Boże... Sean mi mówił, że jest wyczerpana nerwowo, ale nawet nie przypuszczałam, że...

- Lekarz, który ją leczył, twierdzi, że powinna natychmiast pójść do szpitala, ale jej rodzice nawet nie chcą o tym słyszeć. Jakiś czas temu próbowałem siłą wyciągnąć ją z pokoju. Podczas szarpaniny zwichnęła sobie ramię i rozcięła wargę. Jej ojciec oskarżył mnie o pobicie i uszkodzenie ciała.

Wydawał się spragniony zwierzeń niczym narkoman, któremu udało się w końcu zdobyć działkę i uwolnić od skurczów głodu.

I w pewnym sensie jest jak narkoman, pomyślała z niepokojem Mia. Narkoman oszołomiony cierpieniem i samotnością.

- Sean nic mi nie powiedział...

- On nic nie wie. Wreszcie ma ukochaną kobietę, spokojne życie, dziecko, które nazywa go dziadkiem; dlaczego miałbym go obarczać własnymi kłopotami?

- Przecież jesteś jego synem! - Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. - Johnny, nie możesz tak dłużej żyć. Musisz coś zrobić, pozwolić sobie pomóc.

Gwałtownie zabrał dłoń.

- Nie chcę twojej litości. - Z jego twarzy zniknął wyraz rezygnacji i smutku, w oczach zaś pojawił się błysk dawnej nienawiści.

Ta nagła zmiana, zamiast ją rozdrażnić albo zranić, wywołała poczucie niewysłowionej ulgi.

Johnny musiał to zauważyć, ponieważ zadał jej cios.

- To ty budzisz litość. Jak poszło w Londynie? Znalazłaś nowego kochanka i sponsora?

Mia potrząsnęła głową.

- Nie chcę się z tobą kłócić.

- Niby dlaczego? Myślisz, że nie umiem się bronić? Czy twoim zdaniem jestem bez jaj?

Mia głęboko westchnęła.

- Kocham cię, Johnny.

Przez kilka chwil wpatrywał się w nią niezdolny wymówić ani jednego

słowa, po czym wybuchnął szyderczym śmiechem, przypominającym warczenie psa.

- Aż taką litość w tobie budzę?

- Kocham cię - powtórzyła Mia.

- Jak chcesz mnie pocieszyć, daj sobie spokój z tym patosem. Ostatnia osoba, której bym szukał, to taka dziwka jak ty - wyrzucił z siebie. Zerwał się nagle i dołączył do chłopców, którzy ciągle bawili się latawcem.

\*

Dwa dni później czekał na nią przed wejściem do fabryki.

- Muszę cię przeprosić. Chciałem zachować się grzecznie, jak cywilizowany człowiek, ale wyprowadziłaś mnie z równowagi. Nadal masz tę wadę, że potrafisz być denerwująca i nieznośna.

Mia popatrzyła na niego.

- Myślałam, że chcesz mnie przeprosić.

- A nie zrobiłem tego?

- Nie zauważyłam.

- Do licha z tobą, Mia, mam paść na kolana?

- Prędzej czy później to zrobisz - odrzekła lekko.

Johnny stał naprzeciw niej w milczeniu. Najwyraźniej miał dość tej rozmowy.

- Przepraszam - powiedział w końcu, odchodząc.

## XXIII

W połowie kwietnia Donna została przewieziona do szpitala, przez dwa dni bowiem nie chciała otworzyć drzwi do swego pokoju nawet matce, oskarżając ją, że stoi po stronie Johnny'ego i spiskuje przeciw niej.

- Lekarze określają jej chorobę mnóstwem kompletnie niezrozumiałych słów - skomentował z goryczą Sean - ale tak naprawdę biedna dziewczyna oszalała tak samo jak jej babka Ida, która zmarła w domu wariatów. Nie wierzę, żeby można ją było wyleczyć, jak to prawdopodobnie usiłowali wmówić

mojemu synowi.

Ponieważ Donny nie wolno było odwiedzać, Johnny skorzystał z okazji, aby odbyć ciągle odkładaną podróż do Galway.

- To tylko wymówka. Chce być sam jak palec! - zwierzył się Mary Sean.

- Skoro tego pragnie - odrzekła - zostaw go w spokoju. Nie my mu będziemy mówić, co jest dla niego lepsze.

Pesymizm Seana okazał się bezpodstawny. Wróciwszy po trzech tygodniach z Galway, Johnny przyszedł do nich z wizytą. Przyniósł upominek dla Tortona oraz wspaniałą wiadomość: Donna czuje się o wiele lepiej. Dopiero co się z nią widział i chociaż była trochę oszołomiona i miała trudności z wysławianiem się, zachowywała się normalnie i mówiła z sensem.

Mia spostrzegła z ulgą, że Johnny wydawał się naprawdę spokojniejszy. Jego twarz nie sprawiała już wrażenia, jakby był chory albo stary.

Donna została wypisana miesiąc później i Sean poszedł ją odwiedzić. Po powrocie do domu przyznał niechętnie i z zakłopotaniem, że owszem, wygląda na normalną. Odrostły jej włosy, była starannie ubrana, poczęstowała ich kawą, zapytała, jak mu idzie w pracy.

- Musi chodzić na kontrolę dwa razy w miesiącu. Bezdzienna Ethel co dzień rano robi jej zastrzyk, poza tym Donna łyka dwie pigułki dziennie. Sam nie wiem, co o tym myśleć - zakończył.

- Dlaczego chociaż raz nie możesz pomyśleć, że się myliłeś? - docięła mu Mary.

Pod koniec maja Mia zdołała wysłać pierwszą partię swetrów do sklepów Morlona. Serge powiadomił ją, że Lisa znów jest w ciąży. Adwokat Josette pisał, iż jego klientka postanowiła wspaniałomyślnie z własnej, nieprzymuszonej woli przyznać Mii legat w wysokości dwóch milionów franków. Torton okazał się najlepszym uczniem w klasie. Wieści na temat zdrowia Donny były coraz bardziej uspokajające.

Jednym słowem wyglądało na to, że sprawy mają się coraz lepiej i

nareszcie zaświeciło dla niej słońce. Mimo to ciągle dręczył ją niepokój. Miała niejasne przeczucie, że nadchodzi burza.

- Bzdury - skwitowała Mary, kiedy Mia odważyła się jej o tym powiedzieć.

Budziła się rano wyczerpana nocą pełną koszmarów, przeczuwając zagrażającą jej coraz bardziej katastrofę. Największy niepokój budziło w niej to, że musiała biernie czekać, nie wiedząc, gdzie czai się niebezpieczeństwo i w jaki sposób ma się przed nim bronić. Jeżeli coś ma się stać, myślała, niech się stanie jak najprędzej.

No i stało się. Pewnego wieczoru, całując Tortona na dobranoc, zauważyła w jego łóżeczku małego pluszowego niedźwiadka, którego nigdy wcześniej nie widziała.

- Ale ładny! - uśmiechnęła się.

- Ma na imię Patrick. Dostałem go od Donny. Mia aż podskoczyła.

- Od Donny?!

- No tak, od żony Johnny'ego - wyjaśnił ze zniecierpliwieniem mały.

- Gdzie ją widziałeś? Kiedy... - Nie chcąc wprawiać synka w zakłopotanie, ciągnęła dalej mniej wzburzonym głosem: - Kiedy podarowała ci tego misia?

- Dzisiaj po szkole. Zapomniałem poprosić o nowy ołówek i babcia Mary pozwoliła mi pójść do sklepu. Byli tam Donna i Johnny.

- A co było potem?

- Och! Donna mówiła dużo miłych słów i dała mi buzi. Potem wzięła z półki misia i powiedziała, że to prezent.

- Dobrze, kochanie. A teraz śpij.

Nazajutrz rano Mia wyszła z domu o siódmej i udała się na parking wiedząc, że Johnny powinien się pojawić lada chwila.

Nie myliła się. Zaczekała, aż Johnny wysiądzie z samochodu, po czym podeszła do niego prędko, mówiąc bez ogródek:

- Stało się coś bardzo poważnego i musimy o tym porozmawiać.

- Słucham.

- Wczoraj twoja żona podarowała mojemu synkowi zabawkę. To się nie powinno więcej zdarzyć. Chcę, żeby Donna trzymała się od niego z daleka.

Usta Johnny'ego wykrzywiły się w grymasie.

- Szlachetność nigdy nie była twoją mocną stroną, ale nienawiść do osoby słabej i chorej to już szczyt potworności. Donna po prostu chciała być miła.

- Donna nigdy nie bywa miła.

- I co jeszcze? - popatrzył na nią wyzywająco.

- Chora czy nie, to hiena. - Pragnąc za wszelką cenę ochronić własne dziecko i przekonać Johnny'ego, dodała pospiesznie: - Wszyscy w okolicy wiedzą, że przez cały rok nie pozwałała twojej matce pójść na operację... Lilibeth umarła z jej winy!

- Co ty za bzdury opowiadasz? - wybuchnął z furią Johnny.

- Zapytaj Ann O'Hara! Zapytaj bezdzietną Ethel, jeśli będzie miała odwagę ci odpowiedzieć!

- Jesteś podła - syknął Johnny.

- Myśl sobie, co chcesz, ale trzymaj Donnę z daleka od mojego syna. - Mia odzyskała panowanie nad sobą.

- Powinienem go trzymać z daleka od takiej matki jak ty!

- Niby jakim prawem? Może jesteś jego krewnym? Albo ojcem? - spytała napastliwie i wpatrzyła się weń wstrzymując oddech.

Johnny wytrzymał jej spojrzenie uśmiechając się złośliwie.

- A dlaczego nie? Ten biedny dzieciak ma dziesiątki potencjalnych ojców i słusznie pomyślałem sobie któregoś dnia, że kiedy się począł, ze mną też byłaś...

Wystraszony, nie, przerażony wzrok Mii zaraz po tym, jak rzuciła mu ze złością to pytanie... Przypomniawszy mu tamto nieszczęsne popołudnie wzdrygnęła się, jakby ukąsił ją wąż. A potem zostawiła go na parkingu i uciekła.



Przed czym? Przed jakim niebezpieczeństwem?

Niech to lichy porwie, powiedział sobie w duchu Johnny. Co ja sobie wmawiam? Przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, po czym podszedł do stołu kreślarskiego, nie potrafił się jednak skupić ani rozproszyć irytującego niepokoju. Bezustannie stawała mu przed oczyma brutalność, z jaką tamtego upalnego dnia, siedem lat wcześniej, zgwałcił Mię. Poczucie winy i wstyd zniknęły, kiedy w Rzymie zobaczył ją w ciąży z innym mężczyzną. Kto wie, z kim. Siedem lat wcześniej. A Torton urodził się... ile miesięcy później?

Dosyć, nakazał sobie. Ponieważ ciągle czuł niepokój, spróbował myśleć o czymś innym. „Twoja matka zmarła z winy Donny... Zapytaj Ann, zapytaj bezdzietną Ethel!” O piątej po południu wyszedł ze stoczni. W skroniach pulsowała mu gorączka, mięśnie karku zaś bolały go tak, jakby przez cały dzień walił głową w mur. Musiał coś z tym zrobić. Musiał się wydostać z ciemności, w których się pogrążył.

Nie mógł wprawdzie tego wiedzieć, ale stan jego ducha był dokładnie taki sam jak Mii: miał wrażenie, jakby nadciągała burza. Żadne z nich się nie myliło. On również począł dostrzegać kolejne sygnały ostrzegawcze.

Pierwszym z nich było spotkanie z siostrą proboszcza. Ann wcale nie była zdziwiona, kiedy wpadł do jej domu o ósmej wieczorem. Wyraz lekkiego niepokoju na jej twarzy ustąpił miejsca bezbrzeżnemu smutkowi, gdy Johnny zapytał ją niespodziewanie, od jak dawna Lilibeth wiedziała, że ma raka piersi.

- Och, Johnny, to było tak dawno! Zostaw zmarłych w spokoju.

- Żywi też potrzebują spokoju. Czy to prawda, że moja matka czekała aż rok, zanim poszła do lekarza? I że to właśnie Donna zmusiła ją do odłożenia operacji?

- Skąd to wiesz? - wybuchnęła Ann. Natychmiast jednak się poprawiła: - Kto mógł ci nagadać takich rzeczy?

- Nieważne. I nie musisz już nic więcej mówić.

Ann chwyciła go za ramię.

- To było tak dawno... - powtórzyła. - Proszę cię, nie rób głupstw.

\*

Lekarz opiekujący się Donna w szpitalu w Baltimore wyrażał się bardzo oględnie. Mówił o „zaburzeniach psychosomatycznych”, o psychozie maniakalno-depresyjnej, o psychonerwicy obsesyjnej. Z całego tego długiego i pełnego ogólników wyводу Johnny zrozumiał, że jego żona nie jest wariatką, ale pozostawiona sama sobie może przejawiać niekontrolowaną agresję i dążyć do samookaleczenia. Na pożegnanie lekarz poradził mu, by pilnował, czy chora stosuje się do zaleceń. I niech ma się na baczności nawet w chwilach pozornego spokoju.

Pewnego poranka Johnny zapragnął odwiedzić matkę na cmentarzu. Zastał tam Mary. Wyrywała właśnie z grobu chwasty, spostrzegłszy go zaś, uśmiechnęła się i czym prędzej poszła nalać wody do konewki.

Mamo, pomóż mi, poprosił w duchu Johnny, wpatrując się w nieruchome oczy Lillibeth, jej wysokie czoło, usta rozchylone w dalekim uśmiechu. Nagle wydało mu się, jakby twarz ożyła: usta rozciągnęły się szerzej, w oczach zaśnił błysk dziecięcej radości. Zadrzał.

- Wracam do domu, Johnny - usłyszał za plecami głos Mary.

Odwrócił się powoli.

- Matka kogoś mi przypomina - powiedział niemal błagalnie.

- Wszyscy kogoś przypominamy - odrzekła Mary. Tylko że nie od razu. I jakimś dziwnym głosem.

Któregoś popołudnia przyszła mu ochota zobaczyć Tortona, postanowił więc zaczekać na niego przed szkołą, modląc się jednocześnie w duchu, żeby nie natknąć się na Mię. Gdyby ją spotkał, natychmiast by zawrócił. Zatrzymał samochód za rogiem budynku i z ulgą stwierdził, że przed furtką stoi Sean. Czym prędzej wysiadł i wtedy ją zobaczył. To była Donna. Przycupnąwszy przy murze, przyglądała się wychodzącym ze szkoły dzieciom. Johnny podszedł do niej cicho i podążył spojrzeniem za jej wzrokiem. Kiedy Torton ukazał się w

drzwiach i podbiegł do Seana, w oczach Donny pojawił się przerażający błysk nienawiści. „Trzymaj ją z daleka od mojego syna”. Mia miała rację. Dlaczego jej nie uwierzył? Jakże jeszcze prawdy uznał za kłamstwa?

Pod koniec tego czerwcowego popołudnia słońce niespodzianie się schowało, chmury zaś zgęstniały pokrywając niebo czarnym płaszczem. Wiatr ucichł i wszystko pogrążyło się w niepokojącym, nierzeczywistym bezruchu.

Stojąc przez oknem swojego biura Johnny obserwował, jak robotnice Mii opuszczają zakład i podbiegają do rowerów bądź aut. Wkrótce jego fabryka także opustoszała.

Został sam.

Muszę iść, pomyślał. Nie potrafił się jednak oderwać od okna. Coś miało się stać. Naraz rozpętała się burza. Ciemności rozjaśniło światło błyskawicy i powietrze zadrgało od grzmotu. Trzasnęły jakieś drzwi. Gdzieś zaszczekał pies. Powiał wiatr.

Wtedy zadzwonił telefon.

- Johnny? - usłyszał głos Seana.

Muszę go poprosić o pomoc. On wie.

- Tato, potrzebuję...

- Czy nie widziałeś przypadkiem Tortona, synku?

- Sean starał się nad sobą panować jak ktoś, kto boi się przyznać do lęku.

- Nie... Nie ma go w domu?

- Mary spóźniła się po niego do szkoły i już go nie było.

- Nie wiecie, gdzie jest od czwartej po południu? - spytał przejęty zgrozą Johnny.

- Szukamy go. Muszę kończyć.

- Zaczekaj! Już do was jadę.

- Zastaniesz tylko Mary. Mia chodzi od domu do domu próbując się czegoś dowiedzieć od jego kolegów szkolnych, a ja wracam do portu. Mały mógł się schować w jakiejś łodzi ze strachu przed burzą.

- Zaraz tam będę. - Skończywszy rozmowę, znów podniósł słuchawkę i wykręcił numer, lecz natychmiast ją odłożył, rozdrażniony. Jaki sens miało telefonowanie do Donny? To, co przyszło mu do głowy, było szaleństwem.

Biegiem dopadł samochodu. Młode drzewka na dziedzińcu uginały się pod naporem wiatru, błyskawice i grzmoty następowały po sobie coraz szybciej. Johnny miał wrażenie, jakby czas się cofnął o całe lata. Właśnie w taką noc jak ta odszedł inny Torton. Tylko nie dziecko! - jęknął. Uruchomił silnik, z gardłem ściśniętym ze strachu.

Nie zważając na nawałnicę, ludzie wylegli na ulice, biegali i krzyczeli. Jak tamtej nocy. Przyspieszył, zapytał o drogę, zaklął. Zaparkował sto metrów od portu i ruszył dalej biegiem, rozmyślnie nie patrząc na światła reflektorów, zataczające koła po wzburzonym morzu. Jak tamtej nocy. Ojciec dostrzegł go pierwszy i natychmiast wyszedł mu na spotkanie.

- Wezwali szalupy z Barley - powiedział. - Ale to niemożliwe, żeby Torton wypłynął w morze; pojedę sprawdzić na wzgórzu i na ścieżce Świętego.

- Jadę z tobą, tato.

Właśnie wsiadali do samochodu, gdy ujrzeli zbliżającego się policjanta, który dawał im gorączkowe znaki.

- Fabryka O'Sullivanów się pali! - krzyknął. - I zdaje się, że w środku jest jakieś dziecko!

Sean wrzucił pierwszy bieg i ruszył gwałtownie, Johnny zaś wychylił się przez okno, wrzeszcząc do gapiów, aby zrobili im miejsce i rozeszli się do domów.

W końcu wydostali się z wioski.

- Niedawno wyszedłem ze stoczni. Nie widziałem żadnych śladów pożaru w fabryce Mii.

- Mogło się zapalić tylne skrzydło.

- Jak to możliwe, że tam jest Torton? Że tam jest jakiegokolwiek dziecko? - spytał z niedowierzaniem.

- Johnny, przestań.
- Musimy wezwać straż pożarną.
- Na pewno policjant już to zrobił.
- Jak możesz być taki spokojny? - oburzył się Johnny.
- Trzęsę się ze strachu, kretynie, ale strachem nie pomogę Tortonowi!
- Torton jest moim synem - szepnął Johnny. - A ty o tym wiedziałaś... -

Był zdruzgotany.

Sean poczuł dla niego litość.

- Nie czas teraz na takie rozmowy.
- Co ja ci zrobiłem, żebyś mnie aż tak karał, tato? A Mia... jak mogła?

Czy można nienawidzić aż do tego stopnia? - Głos mu się załamał od szlochu.

- Zgwałciłeś ją. I ożeniłeś się z inną - powiedział z bólem Sean.

- Zasługuję na piekło... Przyjmę każdą karę, ale nie widok własnego syna ginącego w płomieniach!

- Bóg na to nie pozwoli.

Mary i Mia stały przytulone do siebie wpatrując się w okno ponad ich głowami, przemoczone do suchej nitki. Mary odsunęła się od córki i powiedziała do Seana:

- Torton jest w środku z Donna. Przed chwilą wychyliła się przez okno i krzyknęła, że jeśli ktoś wejdzie, żeby zabrać dziecko, wrzuci je w płomienie...

Sean drgnął.

- Donna? - Odwrócił się do syna, który stał za nim z twarzą bladą jak płótno. - Jak twoja żona dostała się do środka? I dlaczego jest z nią Torton?

- Moja żona oszalała... - Ciało Johnny'ego zadrżało, jakby poraził go prąd. Wyprostował się i z twarzą wykrzywioną wściekłością

254wrzasnął do okna: - Donna, słyszysz mnie? Idę na górę! Jeśli ośmielisz się zrobić krzywdę dziecku, przysięgam, że pożałujesz!

Policjant powstrzymał go energicznie.

- Niech pan nie zgrywa bohatera. Z drugiej strony hangaru jest straż

pożarna i policja. Jak tylko ugaszą pożar, pójdą po dziecko.

- Jeśli Donna to zauważy... Nie wiecie, do czego jest zdolna!

Przerwał mu krzyk żony.

- Brawo, Johnny, powiedz tym panom, że twoja żona nie jest idiotką! I sam też zostań tam, gdzie stoisz! Zamiast oddać wam dziecko, zabiję się razem z nim!

- Bądź rozsądna, Donno! - zawołał Johnny.

Odpowiedział mu jej szyderczy śmiech.

- Donna nie jest rozsądna, Donna to wariatka! - wrzasnęła falsetem. - Czy nie ty to powiedziałeś? Mogę być szalona, ale nie ślepa i głupia jak ty! Od samego początku wiedziałam, że ten bękart to twój syn!

Wtedy Johnny usłyszał głos Mii.

- Rób, co ona mówi. Nie mogę stracić Tortona - szepnęła błagalnie.

Łzy zasłoniły mu oczy.

- Ja też nie.

- Przykro mi, że dowiedziałeś się w taki sposób.

- Powinnaś mnie nienawidzić - załkał.

Podniosła wzrok w kierunku okna i z rozpaczą bezradnie rozłożyła ręce.

- Dość już nienawiści. Zobacz, do czego nas doprowadziła.

- Kiedyśmy się ostatni raz widzieli, powiedziałaś mi w żartach, że będę cię prosił o wybaczenie na kolanach. Klęczę przed tobą, Mio. Klęczę, odkąd cię straciłem.

Nigdy mnie nie straciłeś, chciała odpowiedzieć, ale właśnie w tej chwili podszedł do nich dowódca strażaków.

- Pańska żona wylała kanister benzyny na bele wełny - powiedział półgłosem do Johnny'ego. - Nie pozostaje nam nic innego, jak wtargnąć do środka, zanim pożar rozszaleje się na dobre.

Mia zamknęła oczy czując, że zaraz zemdleje. Kiedy je otworzyła, ujrzała, jak Johnny pędzi na tył hangaru, głuchy na wołania i prośby biegnącego

za nim dowódcy.

- Stój! - krzyknęła. Sean objął ją ramieniem.

- Nikt go nie powstrzyma, Mio.

Dziewczyna wyrwała się.

- Chodźmy za nim!

Kiedy przestało grzmieć? Ciszę przerywały teraz jedynie podmuchy wiatru. Nagle dały się słyszeć wzburzone głosy, pełen wrogości ryk Donny, rozpaczliwe „nie!” Johnny’ego, znów wzburzone głosy.

- Nie żyje, zostawcie ją...

I znowu cisza.

Sean i Mary instynktownie podbiegli do Mii, chcąc ją podtrzymać. Mia zastygła wpatrzona w kręte schody prowadzące do magazynu wełny, gdzie w ciemnościach widać było blask płomieni.

Nagle u szczytu schodów ukazał się Johnny w nadpalonej koszuli, z twarzą poczerniałą od dymu. W ramionach ścisnął Tortona. Mia rzuciła się ku nim, lecz Mary chwyciła ją za rękę.

- Dziecko też nie żyje - jęknęła w udręce, odwracając się do męża.

- Żyje! - zawołał Sean wskazując chłopca. Torton mocno oplótł swymi małymi ramionkami szyję ojca. - Żyje! - powtórzył Sean. Jedną ręką objął Mary, drugą zaś popchnął Mię ku jej mężczyźnie i ich dziecku.